AGNIESZKA ZAKRZEWSKA

Życie jak czekolada

Opowieść o pasji i miłości ze szczyptą najróżniejszych *smaków.*

FILIA

Table of Contents

Karta tytułowa

Cytat

ROZDZIAŁ 1. Duszący zapach Pani Walewskiej

ROZDZIAŁ 2. Pakt milczenia

ROZDZIAŁ 3. Nina na tropie afery

ROZDZIAŁ 4. Pora na Manianę

ROZDZIAŁ 5. Aurelia odkrywa karty

ROZDZIAŁ 6. Kłamstwo ma krótkie nogi

ROZDZIAŁ 7. Mata Hari made in Poland

ROZDZIAŁ 8. Nadmorscy Romeo i Julia

ROZDZIAŁ 9. Tajemniczy klient

ROZDZIAŁ 10. Biznesy Eugenii i duchy przeszłości

ROZDZIAŁ 11. Prezydent czekoladowej republiki

ROZDZIAŁ 12. Siostry kontra świat

ROZDZIAŁ 13. Coś wisi w powietrzu

ROZDZIAŁ 14. Dziarska staruszka wkracza do akcji

ROZDZIAŁ 15. Kontrakt z Panem Bogiem

ROZDZIAŁ 16. Blond harpia i komedia pomyłek

ROZDZIAŁ 17. Kolacja z wielkim finałem

ROZDZIAŁ 18. Kac i katastrofa

ROZDZIAŁ 19. Światełko w tunelu

ROZDZIAŁ 20. Jak skutecznie odstraszyć klientelę

ROZDZIAŁ 21. Rzymskie wakacje

ROZDZIAŁ 22. Cmentarne konwalie i szpitalna kapusta

ROZDZIAŁ 23. Dyplomacja i łowy

ROZDZIAŁ 24. Zakazany owoc

ROZDZIAŁ 25. Pierwsza Bombonierka

ROZDZIAŁ 26. Odkrycie i pojednanie

ROZDZIAŁ 27. Rzeźby z czekolady i kwiatowy projekt

ROZDZIAŁ 28. Tykająca przesyłka szefa mafii

ROZDZIAŁ 29. Tort dla papieża

ROZDZIAŁ 30. Piekielne pokusy

ROZDZIAŁ 31. Tęsknota o zapachu wanilii i cynamonu
ROZDZIAŁ 32. Pociąg zwany przeznaczeniem
ROZDZIAŁ 33. Absztyfikant, arystokracja i pospolite ruszenie
ROZDZIAŁ 34. Szwajcarska bajka i marzenia
ROZDZIAŁ 35. Kłótnie ostre jak piri-piri
ROZDZIAŁ 36. Przyjaciółka incognito
ROZDZIAŁ 37. Romantyczne bajki o czekoladowym deszczu
ROZDZIAŁ 38. Ganasz z zazdrości i kłamstwa
ROZDZIAŁ 39. Twarzą w twarz z wrogiem
ROZDZIAŁ 40. Nowy kraj, nowe wyzwania
ROZDZIAŁ 41. Spojrzenie słodkie jak sernik
ROZDZIAŁ 42. Ucieczka pod osłoną nocy
ROZDZIAŁ 43. La grande finale
OD AUTORKI
Czekoladowe receptury bohaterów (ściśle tajne!)
Spis treści
Reklama
Karta redakcyjna

AGNIESZKA
ZAKRZEWSKA

Życie jak czekolada

FILIA

Szczęście. Proste jak szklanka, jak czekolada albo kręte jak ścieżki serca.
Gorzkie. Słodkie. Żywe.
Joanne Harris

ROZDZIAŁ 1

Duszący zapach Pani Walewskiej

– W końcu musisz mi przyznać rację! Tak się nie zachowują dorośli ludzie! – Witold Kostrzewski sapnął głośno i upił spory łyk przestygłej kawy. – Nawet ta filiżanka jest wybrakowana! – dodał po chwili, wpatrując się w wyszczerbioną porcelanę. – W tym domu wszystko chyli się ku upadkowi! Łącznie z zastawą!

– Witek, nie dramatyzuj jak stara baba nad własnym grobem! – prychnęła jego starsza siostra, poprawiając jedwabny żabot bluzki na specjalne okazje. – Sam żeś te skorupy z szafki naszej świętej pamięci mamusi, świeć Panie nad jej duszą, wyciągnął, krzycząc wszem wobec, że to niezwykle cenna porcelana. Wszystkie talerze i spodki pod lupę wziąłeś, szukając jakiejś tam tej… koafiury!

– Sygnatury, Eugenio, na litość boską! – zapowietrzył się Witold. – Sygnatury! To jest znak firmowy producenta, którym oznacza się każdy egzemplarz naczynia. Te tutaj, o… – wysiorbał szybko resztki kawy z filiżanki i odwrócił ją spodem do góry, z dumą prezentując przetarte już nieco symbole – pochodzą z manufaktury miśnieńskiej! Zwróć uwagę na te dwa skrzyżowane miecze, pomalowane podszkliwnym kobaltem…

– Jak zwał, tak zwał! – przerwała mu niecierpliwie Eugenia i już chciała dodać jakąś kąśliwą uwagę, ale nagle urwała i rozejrzała się uważnie.

W zazwyczaj na błysk wysprzątanym salonie Kostrzewskich panował teraz niezły rozgardiasz. Na kanapie poniewierały się jakieś męskie swetry i kobiece fatałaszki, szklana ława zastawiona była baterią brudnych kubków po bardzo mocnej herbacie, a na środku pokoju tkwiła rzucona niedbale na wpół rozbebeszona walizka Witolda.

– Nie mogłeś trochę ogarnąć tej stajni Augiasza? – rzuciła z wyrzutem w kierunku brata Eugenia. – Wszystko zawsze na głowie biednej Aurelii! À propos, gdzie ona jest? Jeszcze śpi?

– A jakże! W pokoju gościnnym! Wróciła zaledwie dwie godziny po mnie – rzucił z urazą w głosie Witold. – Nawet nie zdążyłem ust otworzyć, a od razu histerycznie na mnie wyskoczyła, żebym o nic nie pytał! Rozumiesz coś z tego?! Należą mi się w końcu jakieś wyjaśnienia, do cholery!

– Oczywiście, że się należą, Witoldzie. – Od strony korytarza dobiegł nagle łagodny kobiecy głos.

Głowy siedzących przy stole jak na komendę odwróciły się w kierunku, skąd dochodził. W drzwiach stała wyprostowana jak struna Aurelia. Uśmiechała się lekko, choć jej podkrążone jasne oczy pozostały poważne, wręcz smutne. Była ubrana w puchaty czerwony szlafrok, przewiązany ciasno w wąskiej talii. Jej włosy, zebrane w niedbały węzeł na czubku głowy, opadały łagodnymi pasmami na blade policzki. Aurelia podeszła do stołu, poprawiła machinalnie podwiniętą szydełkową serwetę leżącą na blacie i usiadła ciężko na krześle.

– Poza tym, gwoli ścisłości, prosiłam cię o chwilę oddechu wcale nie histerycznie, a błagalnie, mój drogi. Byłam wykończona.

– Jak mogłaś zostawić mnie na pastwę losu? Ja tu odchodziłem od zmysłów – szepnął z wyrzutem Witold i po sekundzie wahania położył swoją dużą kwadratową rękę na drobnej dłoni żony.

Eugenia już otwierała usta, żeby skomentować po swojemu tyradę brata, ale Aurelia uciszyła szwagierkę jednym szybkim i stanowczym spojrzeniem.

– Napisałam ci krótką wiadomość, że wracam za kilka dni – wyjaśniła cierpliwie. – Naprawdę musiałam zostać sama i przy okazji załatwić pewną ogromnie ważną sprawę. Nie miałam pojęcia, że zinterpretujesz moje słowa po swojemu i bez chwili namysłu ruszysz do Niny, do Holandii. Skąd ci to przyszło do głowy?

– A, czyli już wszystko wiesz! – Witold błyskawicznie cofnął rękę. – A co miałem sobie pomyśleć? To naturalne, że pierwszym, co mi przyszło na myśl w związku z twoim tajemniczym zniknięciem, było nasze dziecko.

– Czyli według ciebie w moim życiu istnieje tylko Nina? Nie mogę mieć już innych… swoich spraw, niezwiązanych z naszą rodziną?

– Bardzo was przepraszam, moi drodzy, ale chyba na mnie pora! – Eugenia odchrząknęła znacząco i z impetem odsunęła krzesło od stołu. – Nic tu po mnie. Nie pisałam się na

rodzinnego mediatora i, szczerze mówiąc, nie mam ochoty opowiadać się po żadnej ze stron. Wolę pozostać NEUTRALNA.

– A to coś nowego – mruknęła pod nosem Aurelia.

Od kiedy pamiętała, szwagierka zawsze uwielbiała wsadzać nos w nie swoje sprawy, pytana, a raczej zdecydowanie częściej niepytana, wygłaszać swoje opinie i złote rady, a tu nagle taka zmiana!

– Mówiłaś coś, moja droga? – Eugenia nachyliła się nad Aurelią, roztaczając wokół nieco duszący zapach perfum Pani Walewska, których wiernie używała od lat. Twierdziła, że jako patriotce i wnuczce powstańca wielkopolskiego nie wypada jej stosować zagranicznych zapachowych odpowiedników, tym bardziej że Pani Walewska stanowiła znakomitą polską odpowiedź na zdecydowanie przereklamowaną francuską Chanel nr 5.

– Masz rację, droga Eugenio. Nie będę cię zatrzymywać – dyplomatycznie wybrnęła Aurelia, z całą mocą powstrzymując się od siarczystego kichnięcia. Pani Walewska wierciła ją w nosie, ale nie mogła w żaden sposób narazić się teraz Eugenii. Jeszcze, nie daj Boże, zmieniłaby zdanie, a Aurelia zdecydowanie wolała zostać z mężem sama. – Nie obrazisz się, jeżeli nie odprowadzimy cię do wyjścia? Mamy tu z Witoldem do pogadania…

– Oczywiście, już mnie nie ma – odezwała się szybko Eugenia.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Po prawdzie miała cichą nadzieję, że Kostrzewscy zaprotestują i jednak poproszą ją o pozostanie i asystowanie przy rozmowie. Bądź co bądź miała za sobą lata doświadczeń w rodzinnych mediacjach, ale skoro nie, to nie. Bez łaski!

– Nie kłopoczcie się o mnie – dodała, a z jej słów powiało arktycznym chłodem. – Trafię do drzwi. Znam ten przybytek lepiej niż własną kieszeń. Tylko radzę, żebyście po tych waszych rozmowach trochę ogarnęli ten burdel, a przynajmniej uchylili okna, bo, pardon za bezpośredniość, siekierę tu można powiesić!

Kilka chwil potem solidne trzaśnięcie wrót głównych i energiczne stukanie obcasami po kamiennych schodach na zewnątrz niechybnie świadczyły o pozbyciu się, przynajmniej na jakiś czas, seniorki rodu. Zważywszy na dające wiele do zrozumienia huknięcie furtką, które zadźwięczało niczym wybuch z armaty, na zdecydowanie dłuższy czas.

Witold i Aurelia siedzieli przez chwilę w ciszy, a potem jak na zawołanie odezwali się w tym samym momencie:

– Ja…

– Chciałbym…

– Ty mów pierwsza – wspaniałomyślnie zezwolił Witold. – Ale najpierw odpowiedz mi na pytanie, gdzie się podziewałaś i dlaczego nie mogłaś mi po prostu o tym powiedzieć… Po co ta cała konspiracja, Relka?

Aurelia drgnęła i otworzyła szeroko oczy.

Relka… Reeelkaaa…. Już od tylu lat Witold tak do niej nie mówił. Tylko on nie przeciągał miękko samogłosek jak Emilka. To właśnie ona wymyśliła to zdrobnienie, wieki temu. Obie miały wtedy długie warkocze, słuchały Niemena i kochały się w charyzmatycznym amerykańskim Bobie Dylanie. A raczej to Aurelia się w nim kochała. Emilia miała już wówczas chłopaka. To była największa wspólna siostrzana tajemnica, okupiona przyrzeczeniem krwi. Mama nie mogła się o niczym dowiedzieć, bo od razu zrobiłaby karczemną awanturę. Obie siostry odnosiły wrażenie, że lubiła na nie krzyczeć i wiecznie je musztrować, tak jakby odreagowywała w ten sposób jakieś swoje niewyleczone traumy z przeszłości. Aurelia nie umiała sobie przypomnieć, czy Michalina Dobrzycka kiedykolwiek przytuliła którąś z córek. Tak po prostu, jak mama tuli do siebie swoje dziecko. Była szorstka, kostyczna i nigdy nie zmieniała raz podjętej decyzji. Świętym obowiązkiem panien Dobrzyckich były nauka, ślepe posłuszeństwo oraz kościół. Na ganianie za chłopakami miały jeszcze czas.

A przecież Emilka była prawie dorosła! Tego lata, kilka miesięcy po swoich siedemnastych urodzinach, po raz pierwszy pojechała nad morze, do Jelonkowa, razem z grupą młodych wiernych z kościelnej oazy. Mama zgodziła się na ten wypad tylko dlatego, że młodzież pojechała z księdzem Teofilem, który miał, podobnie jak ona, bardzo konserwatywne podejście do spraw świata i wiary. To właśnie na plaży w Jelonkowie Emilka całowała się po raz pierwszy. Miejscowy chłopak miał na imię Michał i mieszkał prawie przy samym morzu. Kilka tygodni temu Aurelia z czeluści pamięci wyszperała nazwę ulicy, o której wspominała kiedyś Emilia. A raczej nazwę cukierni, w której spotykali się młodzi zakochani. To właśnie tam pojechała w tajemnicy przed Witoldem, mając nadzieję, że ta cukiernia cały czas istnieje.

ROZDZIAŁ 2

Pakt milczenia

Otmuchów, 1977

Emilia siedziała na pokrytej cepeliowską narzutą niskiej wersalce i ze zmarszczonymi brwiami gmerała w pudełku z przyborami do szycia. Mama pod groźbą srogiego lania nie pozwalała córkom dotykać drewnianego przybornika z akcesoriami krawieckimi, który zabawnie nazywała niciakiem. Odziedziczyła go po świętej pamięci babci, która dorabiała sobie szyciem dla majętnych otmuchowianek. Ani Emilii, ani tym bardziej Aurelii nie interesowały bynajmniej nici i igły, o wiele bardziej ciągnęło je do antycznego cacka po dziadku, a mianowicie pierwszej polskiej maszyny do pisania Orzeł, wyprodukowanej w latach dwudziestych na licencji niemieckiego Adlera. Tym razem jednak stukanie w klawisze nie wchodziło w grę.

– Relka, zobacz, mam! – wykrzyknęła triumfalnie Emilia i zerwała się z wersalki.

Jej ciężkie włosy, zaplecione w dwa grube warkocze, podskoczyły zawadiacko na plecach. W lewej dłoni trzymała długą, grubą igłę. Wymachiwała nią jak miniaturową szpadą, zaśmiewając się do rozpuku. Aurelia z przerażeniem w dużych oczach wpatrywała się w siostrę.

– Chyba nie sądzisz, że wbiję sobie to narzędzie tortur w palec?!

– Nie masz wyjścia! Chyba że wolisz, żebym nacięła ci skórę nożem, a potem przystawiła do rany pijawkę. Podobno w starożytnym Egipcie leczenie pijawkami było bardzo popularne.

– Na szczęście nie żyjemy w starożytności – jęknęła Aurelia. – Chociaż jak słucham tych twoich pomysłów, a raczej guseł, to mam nieodparte wrażenie, że cofnęłam się o kilkaset lat.

Czy naprawdę uważasz, że przypieczętowanie krwią przysięgi milczenia jest konieczne? Nie mogę po prostu dać słowa honoru, że nie powiem niczego mamie?

– To za mało! – oznajmiła władczo Emilia. – Matka ma na ciebie swoje sposoby. Jedyne, co może cię powstrzymać przed kłapaniem paszczą, to ból. Dawaj tę rękę, nie cackaj się tak! Nie jesteś laleczką z kruchej porcelany. Dwie sekundy i po krzyku! – mówiąc to, Emilia niepostrzeżenie wbiła czubek igły w zaróżowiony opuszek palca siostry.

Aurelia nie zdążyła nawet krzyknąć, a kilka czerwonych kropel spłynęło wolno po jasnej skórze. Emilia błyskawicznie podstawiła pod palec siostry papier pokryty drobnym dziewczyńskim pismem.

– Teraz napisz swoje inicjały, ale szybko, bez gadania! – zarządziła.

Oszołomiona Aurelia nakreśliła krwią koślawą literkę A. W tym czasie Emilia kilkakrotnie nakłuła swój palec i bez jednego grymasu na twarzy zgrabnie wyrysowała duże i kształtne E.

– Teraz jesteśmy złączone tą tajemnicą na wieki – oznajmiła uroczyście. – Nikt oprócz nas nie wie, że za kilka dni stanę się prawdziwą kobietą. Gdyby mama o tym usłyszała, już bym leżała w rodzinnym grobowcu, obok babci Józefy i dziadka Franka.

– O czym to niby miałabym słyszeć? I jakim prawem szargasz dobre imię moich rodziców, Emilio? – Drzwi do pokoju panienek Dobrzyckich uchyliły się nagle i stanęła w nich ubrana w gospodarski fartuch z cajgu postawna kobieta. Jej pokryta drobną siateczką zmarszczek twarz o regularnych rysach miała nieprzenikniony wyraz. Głębokie bruzdy wokół ust dodawały jej lat, a wymykające się spod bawełnianej chustki siwe kosmyki przyklejały brzydko do błyszczącego czoła.

Kobieta omiotła uważnym spojrzeniem pokój córek. Kiedy jej wzrok zatrzymał się na stojącym na wersalce niciaku, na jej policzki wypełzły wypieki.

– Która z was, pomimo mojego wyraźnego zakazu, ruszyła przybornik babci? – zapytała spokojnie, ale stalowy ton jej głosu nie wróżył niczego dobrego.

Emilia przezornie ukryła za plecami kartkę i desperacko włożyła krwawiący palec do tylnej kieszeni dżinsów.

– To ja, mamo! Aurelia nie ma z tym nic wspólnego! – powiedziała głośno i wyraźnie. – Przepraszam, ale…

Michalina Dobrzycka, nie czekając na wyjaśnienia córki, postąpiła krok i z całej siły zdzieliła ją otwartą dłonią w twarz. Dziewczyna zamknęła oczy, ale nie wydała z siebie nawet jednego dźwięku. Po chwili po jej policzku spłynęła pojedyncza łza.

– A teraz marsz do lekcji! I żeby mi to było ostatni raz, zrozumiano, moja panno? – Dobrzycka ujęła mocno drewnianą rączkę niciaka i nie oglądając się za siebie, wymaszerowała na korytarz.

ROZDZIAŁ 3

Nina na tropie afery

Nina, ubrana w czarną rozkloszowaną sukienkę, nerwowo stukała obcasami swoich lakierowanych czółenek po popękanym, miejscami całkowicie wytartym ohydnym zielonym linoleum. Wyłożony nim długi korytarz szpitala psychiatrycznego w Zaborowicach oświetlały liczne nagie jarzeniówki. Wokół roznosił się drażniący nos ostry, intensywny zapach lekarstw i środków dezynfekujących. Korytarz tonął w trupim świetle, a złowieszcze cienie wykonywały swój makabryczny taniec na pomalowanych białą farbą ścianach. Wisiały na nich plakaty, oprawione w tanie plastikowe ramki, reklamujące środki uspokajające o trudnych do wymówienia nazwach. Nina zatrzymała się przed jednym z nich i usiadła na twardym krześle. *Dobra kondycja psychiczna podstawą zdrowia ogólnego* – głosił podręcznikowy slogan. Wiszący nad jej głową plakat ozdabiała przerażająco smutna twarz młodej kobiety w czerwonych okularach. Nina przymknęła na moment powieki. Marzyła o kilku godzinach spokojnego snu, bez natrętnych myśli, które ani na sekundę nie dawały o sobie zapomnieć. Ostatnie dni wyczerpały jej pokłady energii i optymizmu i czuła, że jeżeli teraz, zaraz, natychmiast nie usłyszy jakiejś dobrej wiadomości, może się to źle skończyć.

– Pani do mnie? – Zmęczony głos wyrwał Ninę z letargu. Czyżby jednak przysnęła na chwilę? Nie, to niemożliwe! Nie na tym rozchwierutanym krześle, na którym siedziała. Zdezorientowana zamrugała.

– Halo! Mówię do pani! – Głos brzmiał teraz niecierpliwie, a wręcz złowrogo.

Przed Niną stał ubrany w biały lekarski fartuch zgarbiony staruszek. Z wypchanych niemiłosiernie kieszeni jego kitla wystawały jakieś pogniecione ulotki. Miał na sobie znoszone granatowe crocsy i nieco przykrótkie spodnie z brązowego sztruksu.

– Nazywam się Nina Kostrzewska. – Zerwała się z krzesła i dygnęła jak pensjonarka. – Pan Lucjan Obarski? Dzwoniłam do pana w sprawie mojej ciotki Emmy, przepraszam, Emilii Dobrzyckiej. Była kiedyś pana pacjentką…

– Tak, już pani o tym wspominała… – Mężczyzna patrzył na nią zniecierpliwiony. – Ale czy zdaje sobie pani sprawę, ilu ludzi przewinęło się przez te wszystkie lata przez mój oddział? Gdybym znał historię choroby każdego z nich, już dawno sam wylądowałbym na intensywnej terapii. Nie za bardzo wiem, jak mógłbym pani pomóc. Emilia van Toorn leczyła się, o ile mnie pamięć nie myli, w Świętej Urszuli w Trzebieszynie. Ten zakład spłonął kilka lat temu. Ogień zaprószył jakiś niedopilnowany pacjent…

– Tak, to już wiem – powiedziała spokojnie Nina. – Ale podobno ocalałe z pożogi archiwa przeniesiono właśnie tutaj. Pan był wtedy ordynatorem tego oddziału, na pewno coś pan pamięta… – Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. – To bardzo ważne.

– Niestety, nie jestem w stanie nic dla pani zrobić. – Lekarz wzruszył ramionami. Nina patrzyła mu prosto w oczy, ale on uparcie uciekał wzrokiem w bok, tak jakby celowo unikając jej spojrzenia. – A teraz proszę wybaczyć, obowiązki mnie wzywają. Jestem już, co prawda, na emeryturze, ale o dobrych fachowców, szczególnie w psychiatrii, obecnie tak trudno, że od czasu do czasu biorę dyżury.

Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu, a potem skinął głową i odszedł tak szybko, jak się pojawił.

Nina bezwiednie zazgrzytała zębami. W tym momencie jej mała skórzana torebka zaczęła głośno wibrować. Nina pośpiesznie wyciągnęła komórkę z bocznej kieszonki.

– Teraz ty mi znikasz! – Po drugiej stronie telefonu rozległ się wesoły głos Maniany. Nina, słysząc przyjaciółkę, z trudem się powstrzymywała, żeby nie rozpłakać się w głos. – Gdzie ty jesteś? Od rana próbuję cię złapać!

– Właśnie miałam starcie z prawdziwym lekarskim betonem – westchnęła Nina i hałasując obcasami, skierowała się do wyjścia. – Mówiłam ci, że mam dziś ważne spotkanie. Chodziło o być albo nie być naszej Bombonierki. I chyba położyłam sprawę. Jak ja to powiem Larsowi?

– Możesz mi w końcu zdradzić, o co chodzi? – Maniana ściszyła nieco głos. W oddali słychać było radosny uliczny gwar. – Jestem właśnie na targu z Evelien. Wybiera najbardziej dorodne truskawki, więc to może jeszcze trochę potrwać.

Nina roześmiała się bezwiednie. Tego jej było trzeba. Tej beztroski, którą zostawiła w Deventer. Tak jej brakowało chocolatierki. I jej dziewczyn… Rozluźniła się na moment, ale po sekundzie niepokój ponownie chwycił ją mocno za kark.

– Rozmawiałam z lekarzem, pod którego opieką w latach siedemdziesiątych była ciocia Emma. Nie chciał mi nic powiedzieć… Zachowywał się dziwnie, z dystansem, tak jakby chciał się mnie jak najszybciej pozbyć – powiedziała wolno Nina.

Miała nieodparte wrażenie, że przeoczyła coś ważnego, jakąś informację, którą pomiędzy wierszami przekazał jej Obarski. W tyle głowy dźwięczała natrętna myśl, ale nie potrafiła jej uchwycić i sprecyzować.

– Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałaś?! – krzyknęła Marianna. – Przecież ja doskonale wiem, kto mógłby ci pomóc!

Ale Nina już nie słuchała przyjaciółki. Jej mózg niczym błyskawica przecięła nagle ostra jak brzytwa myśl. Już wiedziała, co się nie zgadzało w rozmowie z gburowatym lekarzem. Musiała to jak najszybciej sprawdzić!

ROZDZIAŁ 4

Pora na Manianę

Benio sapnął niespokojnie przez sen. Przez chwilę mamrotał coś pod nosem, a potem roześmiał się krótko, dźwięcznie. Siedząca w fotelu Marianna czujnie uniosła głowę. Ostatnie dni przyniosły małemu tyle nowych wrażeń. Nic dziwnego, że przepracowywał je we śnie. Nowi ludzie, nowe otoczenie, obcy język, który brzmiał tak zabawnie, szczególnie w uszach Benia.

– Mamusiu, oni cały czas charczą – mówił do niej, ściskając mocno za rękę. – Chyba nigdy nie nauczę się tak mówić – dodał, zabawnie marszcząc nosek.

– A chciałbyś? – zapytała spontanicznie Marianna, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że to chyba nieco za wcześnie na takie deklaracje.

Benio z powagą pokiwał głową.

– Tak, mamusiu. Będziemy się uczyć razem, dobrze? Tatuś mówił, że mam bardzo dobrą pamięć. Trochę za nim tęsknię… – dodał po chwili wahania. – Ale niech na razie tutaj nie przyjeżdża. Był dla ciebie niedobry i głośno krzyczał. Ale ty wiesz, że ja cię bardzo kocham, mamusiu? I nigdy nie będę na ciebie zły.

Marianna nadsłuchiwała uważnie jeszcze przez chwilę, ale niespokojny oddech synka znów stał się regularny. Pomimo tego odłożyła na stolik czytaną książkę i wstała do dziecka. Pogładziła małego delikatnie po jasnej główce pokrytej miękkimi lokami i czule poprawiła zsuwającą się z jego szczuplutkich ramion kołdrę. Przychyliłaby Benkowi nieba, nawet jeżeli od tej pory miało nosić obcą nazwę.

Od początku wszystko się jej tutaj podobało, pomimo że ich holenderska przygoda rozpoczęła się z perturbacjami. Kiedy okazało się, że zamiast Niny przed malinową kamienicą

spotkali jej rozeźlonego ojca, Marianna z trudem powstrzymała się od płaczu. Najwyraźniej los nie zamierzał jej oszczędzać i właśnie po raz kolejny karał za to, w jaki sposób potraktowała Ninę.

– A pani tak sobie tu przyjechała i nawet nie uprzedziła o swojej wizycie? – Witold Kostrzewski patrzył na nią z wyrzutem. – W dodatku ciągnąc za sobą dziecko? To skrajnie nieodpowiedzialne. – Tu wskazał dobitnie na przysypiającego na ogromnej walizie Benia.

Każda wzmianka o synku budziła w jego matce lwicę.

– Nie uprzedziłam. Podobnie jak pan – odgryzła się błyskawicznie Marianna.

– Ja to co innego. Jestem jej ojcem! – żachnął się Witold. – Czyli najbliższą rodziną.

– A ja jej przyjaciółką! – pisnęła.

– O ile dobrze pamiętam, już nie taką bliską, o ile w ogóle jakąkolwiek! – Kostrzewski nie zamierzał dać się zagadać tej pyskatej dziewczynie. – Ostatnio jej pani szukała, a ja lojalnie uprzedzałem, żeby dała jej pani spokój. I, jak widać, wyszło na moje!

Zajęci wzajemnym odbijaniem kolejnych słownych piłeczek Marianna i Witold nie zauważyli, że od kilku minut za ich plecami stała drobna kobieta w jasnym prochowcu. W rękach trzymała pęk kluczy, a pod pachą – naręcze kolorowych tulipanów owiniętych do połowy w brązowy papier.

– Przepraszam najmocniej… – odezwała się w końcu po angielsku. – Czy państwo nie są czasem z Polski? Przyjechaliście do Niny? Bardzo mi przykro, ale właśnie wczoraj poleciała do Warszawy. Niemniej jednak zapraszam na kawę do Bombonierki. I oczywiście coś słodkiego – mówiąc to, uśmiechnęła się ciepło i podeszła do przeszklonych drzwi malinowej kamienicy.

– Z tego całego wywodu zrozumiałem tylko „Warszawa”… – odchrząknął zbity z pantałyku Witold. – Wprawdzie uczyłem się angielskiego na studiach, ale było to całe wieku temu, jeszcze przed narodzinami Niny. Czy mogłaby pani pomóc w tłumaczeniu… z łaski swojej – dodał po sekundzie namysłu. Nie uśmiechała mu się nagła zależność od Marianny, ale chyba nie miał innego wyjścia.

Marianna pochyliła się nad siedzącym na walizce synkiem. Mały odruchowo zarzucił rączki na jej ramiona i ufnie przytulił się do jej piersi.

– Może go pani położyć na górze, w sypialni Niny – odezwała się nagle nieznajoma.

Jej ciepły, życzliwy głos podziałał jak plaster na obolałą duszę dziewczyny. Tak bardzo potrzebowała teraz odrobiny ciepła. I gorącej aromatycznej kawy!

– Ma pani na imię Marianna? – zapytała, przekrzywiając nieco głowę. – Nina często opowiadała mi o pani. Od razu panią poznałam. Ja jestem Evelien. Zapraszam do środka, a resztę… resztę spraw omówimy po śniadaniu. Niech się pani niczym nie martwi. Pomogę pani.

Marianna zakochała się w Bombonierce od pierwszego wejrzenia. To miejsce było magiczne, pachnące czekoladą i egzotycznymi przyprawami. Nina najwyraźniej włożyła w jego urządzenie całe swoje serce. Ale przecież taka już była, zaangażowana w każdy projekt na tysiąc procent. Również i Witold rozglądał się po wnętrzu jak oniemiały.

– I to wszystko to zasługa mojej córki? – powtarzał, spoglądając na pyszniące się za witryną różnokolorowe pralinki. – Nie miałem pojęcia, że ma takie zacięcie do biznesu. Bo przecież ta księgarnia to był jeden wielki niewypał.

Marianna puściła mimo uszu tę niezbyt grzeczną uwagę i spojrzała z uśmiechem na synka. Benio stał z przyklejonym do witryny noskiem, a oczy mu się śmiały. Senność i zmęczenie małego ulotniły się jak kamfora, ustępując miejsca dziecięcej ciekawości świata. W dodatku świata pełnego barw i czekolady!

A tymczasem Evelien sprawnie uruchomiła ekspres do kawy i po chwili po wnętrzu rozszedł się zniewalający aromat świeżo palonych ziaren. Marianna nagle poczuła błogi spokój. To było niczym niewytłumaczalne, irracjonalne uczucie. Nadal nie miała dachu nad głową ani żadnych perspektyw, ale instynktownie wiedziała, że znalazła się w dobrym miejscu. Podeszła do Evelien i delikatnie dotknęła jej kościstego ramienia.

– Dziękuję pani – powiedziała.

– Ale za co? – Evelien się roześmiała. – Przecież nic jeszcze nie zrobiłam.

– Wręcz przeciwnie… Dała mi pani nadzieję, że może wszystko jeszcze się jakoś ułoży…

Kilka godzin później urażony Witold wsiadł do auta i ruszył w drogę powrotną do kraju. Nie był w stanie pojąć, jak Marianna mogła odmówić jego życzliwej propozycji zabrania się z nim do domu. Nie zamierzał nawet prosić jej o dołożenie się do kosztów benzyny, nie zwykł bowiem żerować na samotnych matkach z dziećmi, ale ta dziewczyna miała gdzieś jego dobre chęci i serce. Sama nie wiedziała, czego chce. Już zapakował jej tobołki do bagażnika, gdy nagle z rozwianym włosem dopadła jego wypucowanego auta i krzyknęła:

– Rozmawiałam przed chwilą z Niną! W końcu odczytała mojego maila. Kazała mi zostać w Bombonierce do jej powrotu! Będzie w Polsce jeszcze przez kilka dni. Poleciła mi pana serdecznie pozdrowić – dodała, nieco mijając się z prawdą, gdyż Nina na wieść o eskapadzie

ojca nie przebierała w słowach i rzuciła do słuchawki kilka zwrotów uznawanych powszechnie za nieparlamentarne.

– A nie powiedziała czasem, gdzie się podziewa jej matka? – burknął. – Z wami, babami, to tylko problemy! Proszę jej przekazać, z łaski swojej, żeby jak najszybciej do mnie zadzwoniła. Mamy kilka spraw do obgadania. A teraz proszę wybaczyć, na mnie już pora. Czeka mnie długa droga.

ROZDZIAŁ 5

Aurelia odkrywa karty

W willi Kostrzewskich przy Parkowej wszystko zdawało się biec starym rytmem. W salonie znowu zapanował idealny porządek, lodówka zapełniła się przysmakami pana domu, a rząd idealnie wyprasowanych koszul zawisł kolorami od najciemniejszego do najjaśniejszego na drewnianych wieszakach w garderobie. Aurelia przesiadywała głównie w domowej bibliotece, przeglądając stare rodzinne albumy, a na standardowe pytanie Witolda: „Wszystko w porządku?", które zadawał od razu po powrocie z pracy, jeszcze przed zmianą zamszowych sztybletów na miękkie bambosze, odpowiadała z ciepłym uśmiechem: „Jak najbardziej". A jednak coś się zmieniło. A może to ona sama się zmieniła?

Kilka dni temu do domu niespodziewanie zawitała ich marnotrawna córka, ale zamiast bić się w piersi i przeprosić starego ojca, że naraziła go na koszty, jeszcze z niego szydziła.

– Sam przyznasz, tatku, że ta wyprawa nie miała sensu. Ale przynajmniej tyle dobrego, że zobaczyłeś, jak świetnie sobie radzę w tej Holandii. I żadna pomoc nie jest mi potrzebna – podkreśliła z mocą, rzucając ostrzegawcze spojrzenie w kierunku matki.

Aurelia zdawała się doskonale rozumieć intencje córki, gdyż zamaszyście kiwnęła głową i dodała:

– Naprawdę jesteśmy z ciebie dumni, córeczko. Tata opowiadał, że twoja Bombonierka to istne cacko. Nie sądziłam, że tak szybko odnajdziesz się w obcym kraju. I przede wszystkim że tak błyskawicznie zgłębisz tajniki produkcji czekoladek.

– Jeszcze dużo pracy przede mną, mamo – uczciwie przyznała Nina. – Muszę się wiele nauczyć. Ale masz rację, połknęłam czekoladowego bakcyla. Wszystko jest na dobrej drodze. Mam doświadczone współpracownice, bez których na pewno bym sobie nie poradziła.

Witold czuł podskórnie, że pod tym radosnym i beztroskim szczebiotem kryło się jakieś drugie dno.

– To skoro wszystko idzie jak po maśle, skąd ta nagła wyprawa do Warszawy? – zagaił nagle.

Matka i córka wymieniły spłoszone spojrzenia. Ha! A jednak! Przeczucie nigdy go nie myliło. Te dwie diablice coś knuły!

– Nic się nie dzieje – odpowiedziała szybko (za szybko!) Nina. – Mam chwilowe problemy…

– Czy wy naprawdę myślicie, że jestem idiotą? – Witold nie wytrzymał i uderzył pięścią w stół. Porcelanowa cukiernica zadrżała złowieszczo. – Chcę natychmiast wiedzieć, co się dzieje albo…. – zapowietrzył się Kostrzewski.

– Albo co? – wtrąciła się Nina. – Odetniesz mi tygodniówkę? Tato, błagam!

– Uważam, córeczko, że powinnaś powiedzieć ojcu prawdę – odezwała się w końcu Aurelia.

– Całą prawdę, mamo? – W głosie Niny zabrzmiał wyrzut.

– Tę dotyczącą Bombonierki – spokojnie odpowiedziała Aurelia. – Chyba że wolisz, żebym ja to zrobiła.

Nina pokiwała głową. Nagle ogarnęło ją zwątpienie, ale nie mogła się poddać. Zbyt wiele do tej pory osiągnęła, żeby teraz, na ostatniej prostej, spocząć na laurach.

– Ktoś z przeszłości mojej siostry próbuje odebrać naszej córce Bombonierkę – zaczęła Aurelia.

Witold zerwał się na równe nogi.

– Jak to?! – krzyknął. – Przecież Emilia przepisała kamienicę w spadku Ninie! Wszystko zgodnie z tamtejszymi przepisami!

– A jednak… – rzuciła Nina. – Syn jej byłego męża uzurpuje sobie prawa do schedy po macosze. Nie wiemy, w jaki sposób się dowiedział, że Emma przebywała w zakładzie psychiatrycznym i na jej… problemach psychicznych opiera swoją teorię, jakoby nie była w pełni władz umysłowych, przepisując mi kamienicę.

– Ależ to bzdura! – zaperzył się Witold. – Wyssane z palca brednie.

– A jednak nie do końca… – ciągnęła Nina. – Richard van Toorn, bo tak nazywa się pasierb Emmy, wynajął najlepszych adwokatów, którzy grzebią teraz w przeszłości ciotki.

– Emilia nigdy nie była w zakładzie dla obłąkanych! Skąd te kłamliwe pogłoski? Owszem, przez jakiś czas przebywała w klasztorze, ale od kiedy klasztor nazywany jest domem

wariatów?

– O to musisz zapytać mamę, tatku… Ona jedna wie, co tak naprawdę wydarzyło się przed laty. I chyba właśnie w związku z tą sprawą zniknęła na kilka dni.

Aurelia podniosła nagle głowę. W jej oczach błysnęły łzy.

– Ja sama długo nie znałam prawdy – westchnęła w końcu. – Zostałam zmanipulowana przez własną matkę. I pora to w końcu powiedzieć… bardzo skrzywdziłam siostrę. Jedynym moim usprawiedliwieniem może być fakt, że zrobiłam to nieświadomie. I mam tylko nadzieję, że w głębi duszy ona o tym wiedziała.

ROZDZIAŁ 6

Kłamstwo ma krótkie nogi

Otmuchów, 1977

– Myślisz, Relka, że ten szydełkowy kombinezon nadaje się na romantyczne wieczory na plaży? – Emilia, stojąc na taborecie wyniesionym z kuchni, próbowała przeglądać się w niewielkim okrągłym lustrze upstrzonym po bokach modnymi nalepkami z butelek po piwie. – Mam wrażenie, że ten splot pogrubia mnie w biodrach – trajkotała, gibając się na wszystkie strony. – Matczakowa zażyczyła sobie za ekspresową robotę bony towarowe PKO. Na pewno kupi za nie w peweksie prawdziwe dżinsy dla tej swojej naburmuszonej córuni. Młoda chwaliła się już w szkole, że ma prawdziwą puszkę coca-coli! No nie ma co, a jej matka spartaczyła ten ścieg. Co sądzisz? No, powiedz coś w końcu! – Emilia z impetem zeskoczyła z taboretu i pociągnęła siostrę za gruby warkocz.

– Emilka… Ja sama nie wiem. – Aurelia patrzyła na siostrę z przestrachem. – Nie możesz okłamać mamy, mówiąc, że jedziesz na spotkanie oazowe! Przecież to się wyda!

– Nic się nie wyda, głupia! Mama będzie przekonana, że jestem w Jelonkowie na obozie z księdzem Teofilem, a ksiądz, że w ostatniej chwili zmogła mnie choroba i zostałam w domu.

– Jaka choroba? – zapytała słabo Aurelia.

– Pospolite, aczkolwiek bardzo uciążliwie rozwolnienie, moja droga.

Aurelia przewróciła oczami.

– Fuj! – jęknęła z obrzydzeniem. – Nie mogłaś wymyślić czegoś bardziej… eleganckiego? – Skrzywiła się.

– A co, może miałam udawać, że mam globusa, jak, nie przymierzając, moja imienniczka Emilia Korczyńska z *Nad Niemnem*? Relka, myśl, dziewczyno! To dyplomacja! Przecież ksiądz prędzej spali się ze wstydu, niż sprawdzi u matki, czy rzeczywiście jej krnąbrna córeczka ma sraczkę.

– Błagam cię!

Aurelia się wzdrygnęła, ale po chwili namysłu musiała przyznać siostrze rację. Jak głosiła wieść gminna, ksiądz Teofil, znany w okolicy esteta i erudyta, podobno jadał w białych rękawiczkach, na pozłacanych talerzach, które dostał na czterdziestolecie posługi kapłańskiej od samego biskupa. W jego słowniku na pewno nie było miejsca na pospolite… rozwolnienie.

– A skąd weźmiesz to… zaświadczenie? – zapytała z głupia frant.

Emilia wzruszyła ramionami i podeszła szybko do biurka. Szarpnęła za szufladę i wyciągnęła z niej złożoną na pół kartkę.

– Już je napisałam – oznajmiła triumfalnie. – Sama powiedz, że po mistrzowsku podrobiłam pismo matki!

Aurelia wolała nie patrzeć.

– A kto dostarczy je księdzu?

– No jak to kto? Ty! Nie chcę słyszeć nawet jednego słowa wymówki. Musisz mi pomóc. Jesteś moją siostrą i mam tylko ciebie.

Jelonkowo, 17 maja 1977 roku

Kochana siostrzyczko!

Nie mogę uwierzyć, że znowu tutaj jestem! Mam nadzieję, że mój list dotrze do Ciebie przed moim powrotem do domu. Znając opieszałość poczty, z pewnością nie, ale i tak muszę Ci wszystko opisać, bo PĘKNĘ!

Relka, ja jestem naprawdę zakochana! Michał to najpiękniejszy chłopak na ziemi! Zajrzyj za okładkę mojego zeszytu do matmy, ukryłam tam wycięte z „Filmu" zdjęcie Jamesa Deana z Buntownika bez powodu*... Michał wygląda tak samo jak James! A nawet (ale może nie jestem obiektywna) jest jeszcze przystojniejszy! Nosi prawdziwe wranglery, a nie jakieś tam drelichowe podróbki, i pali papierosy! Nawet dał mi się zaciągnąć, ale powiem Ci, że to chyba nie dla mnie. O mało nie przepaliłam sobie krtani.*

Starzy Michaela (postanowiłam tak do niego mówić, to brzmi bardziej światowo niż poczciwy polski „Michał", bo od razu staje mi przed oczami Wołodyjowski, a właściwie Tadeusz Łomnicki) przeprowadzili się nad morze gdzieś spod Bydgoszczy. Jego ojciec zachorował na płuca i lekarz zalecił mu nadmorską kurację. Oczywiście po kilku tygodniach pobytu tak się zakochał w okolicy, że nie wyobrażał sobie powrotu na stare śmieci. Ściągnął do Jelonkowa żonę i syna. Po przyjeździe zaprzyjaźnili się z samotną właścicielką lokalnej cukierni Eklerka i po kilku latach przejęli lokal, razem z ludźmi i maszynami. Ich rurki nie mają sobie równych, mówię ci! Matka Michaela produkuje też własnej roboty czekoladki, po które ustawiają się kilometrowe kolejki. Co prawda on sam nie zamierza stać przy konszy (to taka mieszalnica), ale bardzo interesuje go nowoczesna technologia. Już od października zaczyna studia na inżynierii produkcji! Pokazywał mi nawet pierwszą w całej okolicy maszynę do lodów, włoską, firmy Carpigiani, ale nie mogłam się skupić na lodach, bo cały czas trzymał mnie za rękę.

Nie martw się, jego rodzice nie wiedzą, że jestem tutaj nielegalnie, myślą, że przyjechałam z rodzicami na kurację jodem i mieszkam w pobliskim hotelu. Tak naprawdę Michael przemyca mnie do swojego pokoju nad cukiernią. Ma tam adapter Bambino i płyty Czerwono-Czarnych. Ostatniej nocy przy dźwiękach muzyki trochę się zapomnieliśmy… Michael rozpiął mi bluzkę i dotykał moich piersi, a potem jego ręka zjechała jeszcze niżej…

– A cóż ty tak podczytujesz z wypiekami na twarzy, moja panno? Wyglądasz okropnie, jakbyś miała gorączkę! – Na zasłaną już pościelą w drobne kwiatki wersalkę, na której leżała Aurelia, padł złowrogi cień.

Dziewczyna błyskawicznie wcisnęła zapisaną starannym pismem kartkę pod poduszkę i podniosła głowę. Tuż nad nią stała ubrana we flanelową koszulę nocną Michalina Dobrzycka. Pomiędzy jej palcami spływały szklane paciorki różańca po babci. Matka jak co wieczór już od kilkunastu dni odmawiała sumiennie nowennę pompejańską, a wtedy lepiej było schodzić jej z drogi.

– Nic mi nie jest, mamo – zapewniła i przekręciła się z brzucha na plecy, mocno przyciskając głowę do wypchanej pierzem poduszki. – Idź już spać, miałaś ciężki dzień. Dobranoc – dodała miękko.

Matka dłuższą chwilę przyglądała się jej bez słowa, a potem nagle wyciągnęła rękę.

– Daj mi to – powiedziała cicho.

Aurelia bezwiednie zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się boleśnie w jej skórę.

– O czym ty mówisz, mamo? – zapytała, patrząc jej prosto w oczy.

Michalina nie odpowiedziała, tylko z całej siły szarpnęła córkę za ramię. Ta próbowała się bronić, ale żelazny uścisk matki paraliżował jej ruchy.

– Natychmiast oddaj mi to, co ukrywasz pod poduszką!

– Nie! – krzyknęła histerycznie Aurelia. – To list… prywatny. Tylko do mnie. Nie możesz go czytać! Mamo! Proszę cię… – Wielkie jak grochy łzy spływały teraz po jej trupio bladej twarzy. – Nie masz prawa tego robić!

Michalina pociągnęła za długie włosy córki i jednym ruchem wyciągnęła spod poduszki pomiętą kartkę.

– Milcz, głupia dziewczyno! To jest mój dom i ja ustalam tutaj zasady!

Dobrzycka szybkim, niecierpliwym wzrokiem przebiegła po gęsto zapisanej stronicy. Jej twarz na przemian to czerwieniała, to bladła, aż w końcu zastygła na kształt wykrzywionej maski. Przez chwilę stała bez ruchu, a potem zaczęła metodycznie drzeć kartkę na coraz drobniejsze kawałki.

– Zapłacisz mi za to, moja panno… – powiedziała złowieszczym szeptem i nie zaszczycając młodszej córki nawet jednym spojrzeniem, wyszła z pokoju.

Aurelia ukryła twarz w dłoniach i zapłakała bezgłośnie. Jeżeli matka zabije Emilię, to będzie wyłącznie jej wina!

ROZDZIAŁ 7

Mata Hari made in Poland

Nina rozejrzała się uważnie po swoim mieszkaniu. Mimo że mama wietrzyła je regularnie i starannie ścierała kurze, kawalerka wyglądała przygnębiająco. „Jak opuszczony pies, który rozpaczliwie tęskni za swoim właścicielem" – pomyślała melancholijnie Nina. Ale pomimo całego swojego przywiązania do tego miejsca już nie wyobrażała sobie powrotu do Polski. Nawet jeżeli ten przebiegły Richard odbierze jej Bombonierkę, to ona i tak znajdzie sposób, żeby zostać w Deventer. Kilka dni temu nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że przejęcie jej biznesu może się udać, ale teraz już nie była tego taka pewna. Kiedy doktor Obarski w rozmowie na korytarzu szpitala wspomniał holenderskie nazwisko Emmy, chociaż Nina nawet słowem o nim nie napomknęła, pojęła, że ma do czynienia z silnym przeciwnikiem. Obarski migał się od ujawnienia szczegółów choroby Emmy, ale kto wie, co zdołał wyciągnąć od niego van Toorn. Wszystko wskazywało na to, że Richard był o dwa kroki przed nią i już skontaktował się z lekarzem ciotki. On posługiwał się zupełnie innymi metodami niż Nina. Zdecydowanie bardziej skutecznymi, a to nie wróżyło niczego dobrego. Dziewczyna westchnęła. Nie chciała zawieść Larsa van Haasterena, przyjaciela i prawnika ciotki, ale naprawdę nie wiedziała, co jeszcze mogłaby zrobić.

Rozmyślając głęboko nad losem Bombonierki, podeszła do niewielkiej biblioteczki i chwyciła kilka stojących na półkach książek. W tym momencie leżący na kuchennym blacie telefon zawibrował głośno. Na wyświetlaczu pojawiło się imię Maniany.

– Już spakowana? – radosnym głosem zapytała przyjaciółka. – Szykujemy na twoje powitanie prawdziwą ucztę. Evelien nauczyła mnie wczoraj przyrządzać przepyszne czekoladowe serduszka. Specjalnie dla ciebie!

Nina roześmiała się głośno. Mimo że odkładały trudną rozmowę z Mańką na „po powrocie Niny do Holandii", już teraz wiedziała, że się dogadają. Obie popełniły kilka karygodnych błędów, na szczęście nie było jeszcze za późno, żeby je naprawić. Zupełnie inaczej niż w przypadku mamy i Emmy…

– Co to są te tajemnicze serca? – zapytała szybko, żeby odgonić czarne myśli, które ponownie zaczęły ją opadać.

– Mus na bazie białej czekolady z limonką, z dodatkiem wody różanej, na czekoladowym biszkopcie nasączonym amaretto! – wyrecytowała dumnie Mańka. – Ale czekaj, bo z tego wszystkiego zapomniałam cię zapytać… Rozmawiałaś z Marią Grodnicką?

– Z kim? – zapytała zdziwiona Nina.

– Z Grodnicką! Pracowała w Świętej Urszuli na tym samym oddziale co Obarski. Podobno strasznie się pokłócili w sprawie błędnej diagnozy dotyczącej twojej ciotki…

– I dopiero teraz mi o tym mówisz?! – krzyknęła Nina.

– Przecież wspomniałam o niej od razu po twoim spotkaniu z tym leciwym doktorkiem!

– Dobra, nieważne. Jak do niej trafić? Masz jej adres? – Nina czuła, że wstępują w nią nowe zapasy sił witalnych. Nagle ujrzała światełko w tunelu.

– No jasne, że mam! To moja stara sąsiadka. Całe życie mieszkała na obrzeżach miasta, przy Kamienistej. To bardzo dobry i uczynny człowiek. Na pewno ci pomoże. *By the way,* od kiedy pamiętam, mówili na nią „Filomena". No wiesz, ta z *Karolci*. Ale Maria nie jest żadną złą czarownicą. Wręcz przeciwnie…

Nina nie zdążyła nawet przetrawić w myślach tej niespodziewanej wiadomości, gdy nagle rozległ się natarczywy dzwonek do drzwi.

– Odezwę się do ciebie później, Mańka! – rzuciła do telefonu. – Ktoś się do mnie dobija. To pewnie kurier. Zamówiłam kilka drobiazgów dla Evelien i dziewczyn…

Szybkim krokiem podeszła do wejścia i odsunęła łańcuch. Uchyliła nieco drzwi i oniemiała. Gwałtownym ruchem próbowała je zatrzasnąć, ale nieproszony gość był szybszy.

– Cóż, sądząc po twojej trwożliwej reakcji, chyba się mnie nie spodziewałaś, Nineczko? – Iwo brutalnie wsadził stopę pomiędzy drzwi a futrynę. – Ale mam nadzieję, że zaprosisz męża swojej najlepszej przyjaciółki do środka. Czy może już zapomniałaś o podstawowych zasadach savoir vivre'u? – Szarpnął z całej siły za klamkę. – Gdzie jest, kurwa, moje dziecko? – syknął tuż przy jej twarzy.

Nina poczuła nieznośny zapach przetrawionego alkoholu. Mechanicznie odwróciła głowę, z trudem powstrzymując torsje.

– Ta wariatka gdzieś go wywiozła bez mojej zgody! Radzę po dobroci, podaj mi jej adres! Niczego więcej od ciebie nie chcę!

– Nie wiem, gdzie jest Marianna – z zimną krwią skłamała Nina. – Skoro wyjechała bez słowa, musiała mieć swoje powody. Nie mnie oceniać, czy zasadne. Ale patrząc na ciebie, chyba nie mam żadnych wątpliwości, że tak. Zachowujesz się jak wariat.

– Bo tęsknię za swoim synem! – wrzasnął. – Ale co ty możesz o tym wiedzieć, samolubna suko?! Nigdy nikogo nie kochałaś…

– Dzień dobry, pani Nino, czy wszystko w porządku? – W drzwiach mieszkania naprzeciwko pojawił się nagle pan Stanisław, emerytowany nauczyciel muzyki. Po śmierci żony zamienił swój czteropokojowy apartament na kawalerkę, dokładnie taką jak ta Niny. – Nie chciałbym się wtrącać, ale te hałasy trochę mnie zaniepokoiły. Jeżeli mógłbym w czymś pomóc…

– Nie ma takiej potrzeby, panie Staszku. – Nina z trudem panowała nad głosem. – Mój… gość już sobie idzie, prawda?

Iwo obejrzał się za siebie. Sąsiad Niny nadal twardo stał w drzwiach, jak mityczny Cerber albo rycerz na białym koniu.

– Dokończymy wkrótce naszą rozmowę… – syknął Łagiewski i jak niepyszny odwrócił się na pięcie.

Na razie musiał się poddać, bo ten staruch wyglądał na zdeterminowanego. Ale Iwo obiecał sobie, że jeszcze tutaj wróci.

8

– Obawiam się, moje drogie dziecko, że nie jestem dla jakiejkolwiek instancji wiarygodnym świadkiem. – Maria Grodnicka upiła ze szklanki w srebrnym koszyczku łyk bardzo mocnej herbaty i spojrzała przepraszająco na Ninę.

Dziewczyna siedziała zamyślona i rozglądała się po wypełnionym starymi meblami pokoju. Jak przez mgłę pamiętała, że w domu babci Michaliny w Otmuchowie stał identyczny solidny kredens z litego drewna, z nadstawką. Babcia trzymała w nim rodowe kryształy i bogato zdobione adamaszkowe obrusy, których pod żadnym pozorem nie można było nikomu dotykać.

Nagła dzwoniąca w uszach cisza, która zapadła w pokoju, wyrwała Ninę z objęć wspomnień.

– Przepraszam, mówiła coś pani?

– Tak. – Grodnicka się roześmiała. – Ale, jak widać, lubisz bujać w obłokach. Tak jak twoja ciotka. Wiesz, że jesteście bardzo podobne? Tylko ty masz radośniejsze oczy. Z jej wyzierał bezgraniczny smutek.

Przez gładką, lekko upudrowaną twarz Niny przebiegł cień.

– Wiem, że to pani pomogła Emilii uciec z tego piekła – powiedziała cicho.

– Dlatego wyrzucono mnie na zbity pysk – odparła pozornie lekko Grodnicka, z trudem próbując ukryć drżenie rąk. – Obarski bardzo naciskał, żebym opuściła jego placówkę z wilczym biletem. Kilkakrotnie dawałam mu do zrozumienia, że nie ma potrzeby faszerować Emilii środkami odurzającymi. Wmawiali jej depresję nerwicową, ale ta dziewczyna nie była szalona. Niestety, Obarski miał sprzymierzeńca. Nie miałam żadnych szans w starciu z obojgiem.

– Tym sprzymierzeńcem była jej własna matka, moja babcia… – szepnęła Nina.

– Skąd o tym wiesz? – zdumiała się Grodnicka.

– Przed samym wyjazdem do Polski przypadkowo znalazłam pamiętnik Emilii – wyznała Nina. – Na początku krępowałam się zaglądać do tych notatek. To przecież trochę tak… jakbym podglądała ją z ukrycia, przez dziurkę od klucza. Przecież takie zapiski są z reguły bardzo intymne. Niektóre z kartek, te z początku pamiętnika, były starannie ze sobą posklejane, tak jakby Emilia sama bała się wracać do tych wspomnień. Włożyłam ten zeszyt do szuflady. A potem… kiedy się okazało, że mogę stracić to, na co Emma całe życie ciężko pracowała, zrozumiałam, że ten pamiętnik to znak. Ona chciała, żebym go przeczytała i być może w ten sposób ocaliła to, co kochała najbardziej. Malinową Bombonierkę.

ROZDZIAŁ 8

Nadmorscy Romeo i Julia

Jelonkowo, 1977

Michalina Dobrzycka siedziała nienaturalnie wyprostowana przy szklanym stoliku nadmorskiej cukierni Eklerka. Pomimo wielogodzinnej podróży przepełnionym autobusem jej czarna garsonka z bistoru nadal wyglądała niezwykle szykownie. Specjalnie wybrała się do fryzjera, żeby odświeżyć przed wyjazdem trwałą ondulację. Zadbany i schludny wygląd zawsze pomagał jej w załatwianiu trudnych spraw. Czuła się wtedy pewniej.

Przed Dobrzycką stygła w szklance czarna jak smoła kawa po turecku, którą podała przed chwilą trzpiotowata kelnerka w krótkim fartuszku z falbankami. Dziewuszysko nie miało wstydu! Gdyby nachyliła się choć na kilka centymetrów, Michalina mogłaby z łatwością zobaczyć jej majtki!

– Może podać pani do kawy specjalność naszego zakładu, rurki z kremem? – entuzjastycznie zachęciła ponurą klientkę dziewczyna. – Naprawdę są przepyszne! Wypiekamy je u nas…

– Niech pani daruje sobie tę tanią reklamę – rzuciła zimno Dobrzycka. – Nie przyjechałam tutaj na degustację wątpliwej jakości miejscowych wypieków. Proszę z łaski swojej zawołać tutaj swojego szefa!

Kelnerka zmartwiała. Pracowała w Eklerce zaledwie od kilku tygodni, bardzo się starała, ale najwidoczniej zrobiła coś nie tak. Ta kobieta zamierzała na nią naskarżyć właścicielowi. Nie mogła sobie teraz pozwolić na utratę posady. Bardzo potrzebowała pieniędzy.

– Ogromnie panią przepraszam. – Dziewczyna złożyła ręce w błagalnym geście. – Nie chciałam być nachalna, ale te rurki są naprawdę bardzo dobre. Podam pani jedną na koszt zakładu… w ramach rekompensaty.

A co tam, najwyżej potem potrąci sobie te kilka złotych z dniówki. Gra była warta świeczki.

– Czy pani oszalała?! – podniosła głos Michalina. – Nie wyraziłam się dość jasno?

– Co tu się dzieje? – Zza kelnerki wychynął nagle postawny wąsaty mężczyzna w nieco przybrudzonym białym fartuchu. – Jakieś problemy, pani Haniu? – Spojrzał pytająco na wystraszoną pracownicę. Od razu wyczuł napiętą atmosferę, dlatego odprawił kelnerkę jednym ruchem dłoni. – Idź na zaplecze, ja się tu wszystkim zajmę – powiedział i spojrzał na siedzącą przy stoliku kobietę. – Jestem właścicielem cukierni, nazywam się Władysław Potocki. W czym mogę pani pomóc? – zwrócił się do nieznajomej. Jej zacięta mina nie wróżyła niczego dobrego, ale przez te wszystkie lata nauczył się postępować z trudną i wybredną klientelą.

Michalina obrzuciła mężczyznę taksującym spojrzeniem. Jego okrągła ogorzała twarz wyglądała tak prostacko i pospolicie. I w dodatku ten brudny fartuch…

– Wiem, jak się pan nazywa, szanowny panie! Śni mi się pan po nocach! A raczej ten gagatek, pański syn!

Krzaczaste brwi Potockiego błyskawicznie powędrowały do góry.

– Słucham? – rzucił oniemiały. – O czym pani mówi?

– Pański synalek uwiódł kilka miesięcy temu moją niepełnoletnią wówczas córkę! – wypaliła bez ogródek Dobrzycka. – Zaciągnął ją do łóżka wbrew jej woli! Proszę nic nie mówić, nie czas teraz na zbędne przemowy, tylko na znalezienie stosownego rozwiązania. A problem jest duży. Moja córka bardzo się zaangażowała.

Oszołomiony Potocki usiadł ciężko na krześle naprzeciw Dobrzyckiej. Próbował zebrać myśli, ale w głowie huczało mu jak w fabryce.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „zaangażowała”? – wydukał. – To niemożliwe! Chyba za wcześnie na jakiekolwiek deklaracje. On ma dopiero dwadzieścia lat.

– Mam gdzieś metrykę pańskiego huncwota! Chuci swojej powściągnąć nie umiał, diabeł wcielony, więc niech go pan tu teraz nie żałuje! Bo ja zmiłowania nad grzechem nie mam! – Michalina uderzyła pięścią w stolik tak mocno, że aż się zachwiał.

Potocki odwrócił się trwożliwie za siebie. Przy kasie stało kilka klientek, które popatrywały na nich z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Niech pani tak nie krzyczy, niepotrzebne mi tu ploty i sensacje – mruknął. – Zaraz na całe miasto się rozniesie, że u Potockich jakaś afera. Ile? – rzucił bez ogródek i zrezygnowany sięgnął do kieszeni po portfel.

– Ja tu po pieniądze do szanownego pana nie przyjechałam – żachnęła się Dobrzycka. – Moja córka wcześnie straciła ojca. Wychowywałam ją sama, rozumie pan? Dziewczyna ma deficyt ojcowskich uczuć i szuka na oślep miłości po całym świecie. To się nazywa „potrzeba zbyt wczesnego wicia gniazda".

– To czego pani ode mnie oczekuje? – zdumiał się Potocki. – Od razu mówię, że mój syn nie będzie wychowywał żadnego bękarta… – Głos mu stwardniał.

Nie taką karierę wymarzył sobie dla ukochanego jedynaka. Michał miał skończyć szkoły i przejąć biznes, a tu najwyraźniej zamiast indeksu szykuje mu się żona i pieluchy! „Po moim trupie!" – odgrażał się w myślach Potocki.

– Wszyscy jesteście tacy sami – odezwała się z pogardą Michalina. – Dziewczynę pod pierzyną wychędożyć umiecie, a potem, jak zaciąży, to już nie wasz problem! – Na czole Dobrzyckiej pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka. – Ale niech się pan nie obawia, ja do skandalu nie dopuszczę i o dobre imię mojej córki będę walczyć.

– Co mam w takim razie zrobić?

– Żądam, żeby pan porozmawiał z synem i zakazał mu jakichkolwiek kontaktów z Emilią. Resztę proszę zostawić mnie. Na pewno będzie do niego wydzwaniać, ale niech go ręka boska broni jej pomagać. Niech z nią w ogóle nie rozmawia. A najlepiej powie, że była tylko wakacyjną miłostką, zbyt szybko wskoczyła mu do łóżka, a on z łatwymi dziewczynami się nie zadaje. Ma ją zranić do żywego, to odechce się jej romansów.

– Pani nie ma żadnych skrupułów…

– Jeżeli chodzi o dobre imię mojej rodziny, to ma pan rację, nie mam – oznajmiła chłodno. – A jeżeli i panu, jako prywaciarzowi, również zależy na nieskazitelnej opinii tutejszego środowiska, to zrobi pan to, co mówię. Inaczej czarno widzę przyszłość pana smakowitej Eklerki.

– Bardzo cię boli? – Aurelia przyłożyła zimną rękę do rozpalonego czoła siostry. – Mama mocno cię zbiła?

Emilia potrzasnęła głową i ukryła twarz w mokrej od łez poduszce.

– To dlaczego płaczesz? Powiedz mi… może będę mogła ci jakoś pomóc. Kocham cię bardzo, Emi…

– Reeelka, nie możesz nic zrobić. Jesteś jeszcze dzieckiem… nie rozumiesz pewnych spraw. – Emilia oderwała zaczerwienioną buzię od poduszki. -– Z tym będę musiała poradzić sobie sama. Ale jeżeli możesz… bardzo cię proszę, idź do skrzynki i zobacz, czy listonosz nie wrzucił do niej jakiegoś listu do mnie. Tylko uważaj, żeby cię mama nie przyłapała.

Aurelia z przejęciem pokiwała głową i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Przez niedomknięte drzwi do dużego pokoju dostrzegła fragment sylwetki klęczącej przy fotelu matki. Michalina jak co dzień o tej porze modliła się żarliwie do Matki Boskiej, w sobie tylko znanej intencji. Dziewczyna na palcach podbiegła do wyjścia na klatkę schodową i najciszej jak umiała, wymknęła się na zewnątrz. Nie mogła widzieć, że słysząc ciche skrzypnięcie drzwi, matka błyskawicznie podniosła się z klęczek i podeszła do ocienionego gęstą firanką okna. Aurelia wyjmowała właśnie z wiszącej na płocie skrzynki list w długiej białej kopercie. Michalina uśmiechnęła się lekko, a potem jak gdyby nigdy nic wróciła do przerwanej modlitwy.

– Emi, zobacz, co dla ciebie mam! To na ten list czekałaś? – Rozpromieniona Aurelia ostrożnie wyciągnęła zza włóczkowego sweterka cieniutką kopertę.

Emilii zaświeciły się oczy, pisnęła cicho z radości i jednym ruchem wyrwała list z ręki siostry. Niecierpliwie rozerwała kopertę i przebiegła wzrokiem po kilku nakreślonych niedbałym pismem zdaniach. Jej twarz gwałtownie pobladła.

– A to skurwiel… Jeszcze tego pożałuje, nadmorski lowelas! – Zgniotła kartkę w kulkę i rzuciła nią o ścianę, po czym nakryła się kołdrą po sam czubek głowy i wymamrotała zduszonym głosem: – Zostaw mnie teraz samą. Bardzo cię proszę…

– Mogę? Ten list…? – zapytała cicho Aurelia.

Spod kołdry nie dochodził żaden dźwięk. Aurelia czym prędzej podniosła zgnieciony papier i wyprostowała go starannie na kolanie.

Emilia!

Nie wydzwaniaj do mnie i nie szukaj kontaktu! Mam egzaminy wstępne na głowie i nie mogę się teraz rozpraszać. Chyba nie sądziłaś, że to, co było między nami, to coś poważnego? Miłości nie szuka się pokątnie w ciasnych kanciapach przy plaży. Za szybko dałaś się zaciągnąć do łóżka. Moja dziewczyna musi być cnotliwa jak zakonnica, a ty… ty okazałaś się łatwa.

Najlepiej będzie, jak o mnie zapomnisz. Ja już o Tobie nie pamiętam.

Bywaj!
Michał

Aurelia pieczołowicie złożyła list. Spod kołdry nie dochodził nawet jeden dźwięk. Na dywaniku przed łóżkiem dostrzegła nagle porzuconą kopertę. Sięgnęła po nią szybko. Ze środka wysunęła się niewielka czarno-biała fotografia. Zdjęcie przedstawiało siedzącą na plaży parę. Dziewczyna miała długie ciemne pasma, którymi wiatr chłostał bezlitośnie jej pociągłą buzię. Chłopak obok obejmował partnerkę mocno, zachłannie, tak jakby od tego uścisku zależało całe jego życie. Aurelia pochyliła się nisko nad zdjęciem, szukając oczu chłopaka. Przesłaniał je cień jego ręki, którą przeczesywał bujną czuprynę. Dokładnie taką, jaką miał James Dean.

Dziewczyna westchnęła, po czym bez zastanowienia włożyła list i zdjęcie do koperty i schowała ją do przepastnej kieszeni dżinsowego spodnium.

ROZDZIAŁ 9

Tajemniczy klient

– Widziałeś, Romeo? Czekoladka sprowadziła sobie nową pomagierkę z Polski, a sama wyparowała jak kamfora. Mówiłem ci, że trzeba na nią uważać, ale ty jesteś i będziesz naiwny jak dziecko.

Valentijn Jeurissen odwrócił się od wielkiego ekranu komputera stojącego na zapleczu croissanterii i łypnął zaczepnie okiem na przebierającego się w firmowy uniform brata. Romeo podśpiewywał coś pod nosem i zdawał się nie słyszeć zjadliwych uwag pod jego adresem.

– I jak sprawozdanie finansowe za ostatni kwartał? – zapytał po chwili, jak gdyby nigdy nic młodszy brat i zaczesał szybko dłonią opadające na czoło kosmyki.

Valentijn wzruszył ramionami.

– O dziwo, nieźle – przyznał. – Myślałem, że przez te bombonierki z ziołami na libido spadną nam obroty, ale, jak widać, ludzie cenią sobie nade wszystko jakość. I sprawdzone rodzinne receptury.

– Mówisz tak, jakby Nina sprzedawała jakieś buble – obruszył się Romeo. – Doskonale wiesz, że równie dobrze jak my dba o swoich klientów i ciągle poszerza asortyment.

– A ty jak zwykle jej bronisz! Jakbyś miał w tym jakiś interes!

– Skąd wiesz, może mam? – odpowiedział tajemniczo Romeo, mrugnął zawadiacko i wyszedł z zaplecza.

Nie miał czasu na czcze pogaduszki i braterskie przeciąganie liny, gdyż czekało go dzisiaj mnóstwo pracy. Dwie kelnerki uwijały się już przy stolikach, rozstawiając na nich wazoniki z czerwonymi tulipanami. Na półkach, w wiklinowych koszach wyłożonych kraciastymi lnianymi serwetami, piętrzyły się pachnące, zniewalająco świeżutkie wypieki. Wszędzie unosił

się aromat dobrego masła i truskawkowych konfitur. Romeo zerknął na zegarek na lewym przegubie dłoni. Do otwarcia croissanterii brakowało jeszcze kwadransa, ale przed szklanymi drzwiami dostrzegł nagle drobną figurkę jakiegoś chłopca. Mały rozpłaszczał zabawnie swój nos na szybie i próbował zaglądać do środka cukierni. Romeo uśmiechnął się szeroko i szybkim krokiem podążył do wejścia.

– *Goedemorgen, jongen. Wat leuk om jou te zien! Wat kan ik voor je doen?*[1]

Chłopczyk popatrzył na niego bezradnie i potrząsnął przecząco głową.

– Co się stało? – zaniepokoił się Romeo i przykucnął przed maluchem, tak że chłopczyk mógł mu bez problemu spojrzeć w oczy. Zawsze tak rozmawiał z dziećmi. Pamiętał, że kiedy miał kilka lat, nie lubił, jak ktokolwiek przemawiał do niego z wysokości. Czuł się wtedy nieważny. – Zgubiłeś się, mały? – zapytał ciepło. – Skąd się tutaj wziąłeś?

Chłopczyk spojrzał na niego bezradnie i rzucił tęskne spojrzenie na wypełniające kosze pulchne croissanty.

– A! Już rozumiem! Ale za mnie gapa! – Romeo się roześmiał. – Jesteś głodny! Co powiesz na przysmak z czekoladą?

Na dźwięk słowa „czekolada” małemu zaświeciły się oczy.

Romeo wszedł za kontuar, chwycił croissanta z chrupiącą lekko brązową skórką, zapakował go do firmowej torebki, a po chwili namysłu dołożył maślaną bułeczkę z różaną konfiturą. Mały zafrasował się na sekundę, a potem sięgnął szybko do kieszonki swojej dżinsowej kurtki, wyciągnął kilka srebrnych monet i wyłożył je starannie na kontuarze. Romeo zerknął zafrapowany na leżące przed nim moniaki. Jeszcze nigdy takich nie widział. Cóż to za egzotyczna waluta? Zgarnął jedną ręką leżące na blacie monety i z aprobatą pokiwał głową. Mały chwycił torbę, rozpromienił się cały i w podskokach wybiegł z cukierni.

„A to ci przemiły, aczkolwiek tajemniczy i nieco małomówny klient” – roześmiał się w duchu i wrzucił drobniaki do kieszeni fartucha. „Szkoda, że nie było tutaj Niny” – pomyślał nieoczekiwanie. Ogarnęło go irracjonalne przeczucie, że ona na pewno wiedziałaby, jak zagadnąć tego chłopca.

Na zapleczu Bombonierki praca trwała w najlepsze. Marianna najpierw nieśmiało, a potem z coraz większą ciekawością przypatrywała się poczynaniom dziewczyn. Najbliżej jej było do Marty, nie tylko dlatego, że pochodziła z Polski, ale całkiem niedawno dołączyła do zespołu Niny i również była „nowa”. Kiedyś Marta zatrudniona była w fabryce czekolady w Polsce

i ozdabiała tam ręcznie pralinki, ale jej wiedza wykraczała poza ramy zwykłej pracownicy produkcyjnej. Po prostu kochała czekoladę, a Marianna ceniła ludzi z pasją.

– Mańka, czy ty w ogóle wiesz, jak wyglądają drzewa kakaowe? – mówiła Marta, mrużąc zabawnie jedno oko.

Nie umiała siedzieć bezczynnie. Nawet podczas przerwy na kawę uwijała się wśród różnokolorowych pudełek z bombonierkami i poprawiała nierówno zawiązane kokardy.

– Opowiedz mi. – Marianna podpierała brodę dłońmi i patrzyła na dziewczynę roziskrzonym wzrokiem.

– Mają nawet kilkanaście metrów wysokości, a na ich gałęziach rosną owoce przypominające rozdęte przerośnięte ogórki.

Marianna zamknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić drzewo pokryte gigantycznymi ogórkami. To wszystko było takie nowe i… fascynujące!

– We wnętrzu tych ogórków albo, egzotycznie mówiąc, melonów znajduje się biały miąższ z płaskimi nasionkami. Owoce można zrywać tylko wtedy, gdy są już dojrzałe, bo wówczas mają wysoką zawartość tłuszczu i cukru.

– I co potem?

– Ten miąższ układa się starannie w stosach i pozostawia na kilka dni, żeby nasiona sfermentowały. Trzeba je potem dobrze wysuszyć, aby nie zgniły. I takie ziarna trafiają do nas, a my je prażymy. To bardzo ważny proces, bo w zależności od stopnia wyprażenia ziarna czekolada zmienia swój smak. Może być mocno owocowa i kwaskowata albo na przykład bardziej kawowa. I nie patrz tak na mnie! – Marta gwałtownie zamachała. – Ja naprawdę nie jestem jakimś czekoladowym guru. Po prostu dużo czytam. Jeżeli cię to interesuje, mogę ci podrzucić parę książek, bez zobowiązań.

– Jasne, będę miała lekturę do poduszki – ochoczo potaknęła Marianna.

„Przynajmniej zajmę myśli czymś innym niż tylko Iwem i jego pełnymi pogróżek esemesami” – pomyślała zrezygnowana.

– A byłaś kiedyś w Ameryce Południowej? Widziałaś to wszystko na własne oczy? Umiesz tak pięknie, plastycznie opowiadać, że czuję, jakbym stała przy tych drzewach…

– Nie, skąd! – Marta się roześmiała. – Ale głęboko wierzę, że w końcu uda mi się tam pojechać. Wiesz, lubię wizualizować swoje marzenia, wydają się wtedy bardziej realne. Teraz na przykład używamy w Bombonierce ziarna z Ghany, Ekwadoru i Dominikany i ja często wyobrażam sobie, że właśnie kupiłam bilet lotniczy do jednego z tych krajów i już niedługo czeka mnie spacer po ciepłym piasku egzotycznej plaży.

– Tak, to jest dobra metoda – przyznała Marianna. – Warto szeroko marzyć, jak twierdziła bardzo dawno temu moja babcia. Ja nigdy nie rozumiałam, co ma na myśli, mówiąc „szeroko", ale teraz już wiem. Zawsze wydawało mi się, że osiągnęłam w życiu wszystko. Skończyłam studia, wyszłam za mąż z miłości, a potem pojawił się mój synek. A później się okazało, że zbudowałam swoje życie na marnych fundamentach, jak lichy domek z kart. Wystarczył jeden mały podmuch i wszystko rozsypało się w drobny mak…

– Jeszcze będzie szeroko, Mańka… – Marta podeszła do niej i położyła ciepłą, pachnącą czekoladą dłoń na jej ramieniu. – Musisz tylko w to uwierzyć. A teraz dosyć tego wymądrzania się. Chodź, pomożesz mi przy konszowaniu.

Marianna już miała zapytać, co to tak właściwie znaczy, gdy nagle zdała sobie sprawę, że od dobrych kilku chwil nie widziała Benia. Ostatnio bawił się samochodzikami na schodach, ale teraz panowała tam niepokojąco podejrzana cisza.

– Synku! Chodź tu do mnie szybko! Gdzie się ukryłeś? – zawołała, próbując ukryć panikę w głosie.

A jeżeli wyszedł sam na ulicę? Przecież nie znał miasta! Był jeszcze taki mały i taki ufny! Marianna wbiegła na salę i w panice rozglądała się po zapełnionych klientami stolikach. Serce waliło jej jak młotem. Jeżeli coś się stanie małemu… W końcu tuż przy oknie dostrzegła drobną figurkę synka. Benio, machając nogami, siedział, jak gdyby nigdy nic, na kwiecistej poduszce położonej na krzesełku. Chłopiec miał rozradowaną buzię poplamioną czekoladą, a w ręku trzymał na wpół zjedzonego croissanta. Marianna chwyciła synka w objęcia i nie zważając na umorusane rączki chłopca, przytuliła go z całej siły.

– Mamusiu, uważaj, poplamię ci bluzkę. – Benio bezskutecznie próbował się wyswobodzić z czułych matczynych ramion, ale był bez szans.

– Czy ty wiesz, łobuzie, jak bardzo cię kocham? – szepnęła wprost do jego ucha.

– Ja też cię kocham, bardzo! – sapnął Benio. – I mam dla ciebie bułeczkę z dżemem. Kupiłem wszystko w sklepie u takiego ładnego pana i zapłaciłem polskimi pieniążkami ze skarbonki. Teraz codziennie będę ci coś kupował. Ten pan mnie chyba polubił. Czemu patrzysz na mnie tak dziwnie, mamusiu? Nie jesteś głodna?

[1] hol. Dzień dobry, mały. Jak miło cię widzieć. Co mogę dla ciebie zrobić?

ROZDZIAŁ 10

Biznesy Eugenii i duchy przeszłości

Witold po raz pierwszy od bardzo dawna wybrał się do miasta. Od lat nie robił zakupów, zwykle zajmowała się tym Aurelia, ale ostatnio nic już nie było takie jak kiedyś. Musiał pogodzić się z tym, że jego poukładane i przewidywalne niczym tabelka w Excelu życie odeszło bezpowrotnie w siną dal. Miał dwa wyjścia – mógł protestować i walić głową w ścianę albo zaakceptować zmiany i próbować nauczyć się z nimi koegzystować we względnej przyjaźni.

Zaparkował auto na jednym z podziemnych parkingów w centrum miasta i ruszył do największej w okolicy kwiaciarni – Pod Purpurową Różą. Kiedyś, ale było to naprawdę bardzo dawno temu, kupował Aurelii kwiaty, a potem przestał, bo pojawiła się codzienność, Nina i rodzinny kołowrotek, który nie sprzyjał, niestety, romantycznym uniesieniom.

„Zaraz, zaraz, czy ona wolała czerwone róże? Nie… chyba herbaciane… A może tulipany? Tak, zdecydowanie tulipany w jakichś żywych kolorach. Chyba żółty będzie dobry. I koniecznie muszę dokupić do bukietu jakąś bombonierkę. A może lepszy będzie szampan? Aurelia nieustannie się odchudza, więc na pewno będzie kręcić nosem, jeżeli sprezentuję jej taką kaloryczną bombę” – pomyślał Witold i sapnął z przejęciem. Że też na stare lata przyszło mu się mierzyć z takimi problemami! Jak to biedny człowiek nie wie, co go jeszcze czeka za życiowymi zakrętami!

Przed samym wejściem do kwiaciarni Witold postanowił w końcu, że kupi żonie żółte tulipany. Kiedy rozpromieniony zakomunikował swój wybór postawnej kwiaciarce, układającej w wiadrach świeże bukiety, ta z przerażeniem wzniosła oczy ku niebu (a raczej ku ozdobionemu kasetonami sufitowi).

– Żółty tulipan? Niech pana ręka boska broni! – zawołała. – Przecież to kolor zdrady i niewierności. Chyba że z pełną premedytacją chce pan wejść na minę.

Witold stał z otwartymi ustami, kompletnie zbity z pantałyku.

– To może żółta… róża? – bąknął.

– Nigdy w życiu! Oznacza zaprzepaszczone uczucia. Chyba że chce pan tym bukietem dać swojej wybrance coś do zrozumienia?

– Tak, owszem! Że ją bardzo kocham! – Witold sam nie mógł uwierzyć, że powiedział coś takiego na głos.

– CZERWIEŃ i tylko czerwień! To kolor pożądania i namiętności! – zakrzyknęła kwiaciarka i niczym królika z kapelusza wyciągnęła zza pleców gigantyczny wiecheć poprzetykany gipsówką i wystającymi zadziornie spośród liści drobnymi aksamitnymi sercami. – Ten będzie idealny! Pakować w folię?

– Poproszę – wyjąkał Witold.

Czuł się jak po przebiegnięciu Maratonu Nowojorskiego, a czekała go przecież jeszcze wizyta w cukierni i sklepie z winami.

Kiedy dzierżąc w dłoni bukiet, w końcu czmychnął na zewnątrz, po drugiej stronie ulicy zauważył Eugenię. Miała na sobie swój najlepszy niedzielny płaszcz i elegancki kapelusz z efektownym piórem. Stała na chodniku przed wejściem do jakiegoś biura i gestykulując żywo lewą ręką, rozmawiała z kimś przez telefon. Witold zmrużył oczy. Nad głową Eugenii widniał duży szyld. *Domar. Biuro nieruchomości.*

Brwi Witolda automatycznie poszybowały w górę. Eugenia potrafiła zadziwić niejednego i przez te wszystkie lata zdążył się już do tego przyzwyczaić, ale nie przypuszczał, że jego siostra inwestowała w nieruchomości. Może jego żona będzie coś wiedziała na ten temat?

Kiedy w końcu obładowany paczkami i tobołkami dotarł do domu, Aurelia pichciła coś w kuchni. Witold przemknął cicho do salonu i pośpiesznie zaczął odwijać folię z bukietu. Wydawało mu się, że robił to dyskretnie, ale czujne ucho żony już zarejestrowało nietypowe dźwięki.

– A co tu się dzieje? – Aurelia stanęła nagle w drzwiach. Miała na sobie granatową sukienkę przewiązaną fartuchem i dzierżyła wielką chochlę.

Witold podskoczył w miejscu. Ale go przestraszyła!

– Co ty knujesz? Kupiłeś kwiaty? – Zdumiona podeszła do stołu, na którym Witold rozłożył zakupy. – Z jakiej okazji? Coś się stało? Serca i róże? TY? Dobrze się czujesz?

I jak to zwykle bywa, niespodzianka okazała się niewypałem…

– Nic się nie stało! – zakrzyknął zdesperowany Witold. – Po prostu… chciałem ci zrobić przyjemność. Ostatnio… oddaliliśmy się od siebie. Ciągle masz przede mną jakieś tajemnice. Nadal nie wiem, gdzie zniknęłaś na te kilka dni… Ja tak nie chcę, Aurelio. Kiedyś mówiliśmy sobie wszystko, a teraz? Zresztą nieważne! Niepotrzebnie histeryzuję. Jak baba… – Witold teatralnie pociągnął nosem i podszedł do okna. Zrobił zbędne przedstawienie, a teraz Aurelia z pewnością będzie się z niego śmiała.

Nagle poczuł delikatne dłonie żony obejmujące go w pasie. Aurelia przytuliła się mocno do jego wyprostowanych jak struna pleców. Witold poczuł dławienie w gardle.

– Cieszę się, że w końcu to z siebie wyrzuciłeś, kochany – szepnęła. – Zaraz ci wszystko opowiem. I masz rację. Nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych tajemnic. W naszej rodzinie było ich już zdecydowanie za dużo.

Jelonkowo, dwa tygodnie wcześniej

Aurelia praktycznie od razu po wejściu w główną alejkę miasteczka poczuła ożywczy aromat igliwia. Kochała słony zapach wody przemieszany z żywicą rosnących na wydmach sosen. Nad nią krążyły niecierpliwie krzyczące wniebogłosy mewy. Kiedy Nina była malutka, bardzo się ich bała. Chowała swoją jasną główkę między fałdy matczynej spódnicy i zamykała oczy, prosząc, żeby tatuś przegonił te wstrętne ptaszyska. Witold brał ją wtedy na ręce, podnosił wysoko i tłumaczył cierpliwie, że nie musi się ich bać. Uczył ją oswajać każdy strach. Pomimo tylu wad zawsze był dobrym ojcem. Takim, jakiego brakowało i Aurelii, i Emilii.

Poczuła napływające pod powieki łzy. Szybko przetarła oczy wierzchem dłoni. Nie mogła się teraz rozklejać. Miała do załatwienia niezwykle ważną sprawę, choć wolałaby po prostu pobiegać beztrosko po plaży i poczuć znowu pod stopami miękki, mokry piasek.

Cukiernia Eklerka znajdowała się na samym końcu szeregu białych pawilonów ulokowanych wzdłuż ulicy Nadmorskiej. Przed budynkiem stały okrągłe stoliki, ocienione błękitnymi parasolkami. Na parapetach wielkich okien pyszniły się przepięknie kwitnące pelargonie. W ogródku pomimo wczesnej pory siedziało już kilkanaście osób. Nic dziwnego, jak głosiła lokalna fama, podawano tu najlepsze rurki z kremem na całym Wybrzeżu. Aurelia

podeszła do jedynego wolnego stolika, tuż obok wejścia do cukierni. Doszedł ją zniewalający zapach świeżych drożdżówek z kruszonką. Jak zachęcająco informowała reklama na czarnej tablicy wywieszonej w witrynie, drożdżówki podawano z domowymi konfiturami z wiśni. Pomimo ściśniętego żołądka Aurelia poczuła, że ślinka napływa jej do ust. Nie zdążyła się nawet usadowić na wygiętym fikuśnie ażurowym krzesełku, a już podbiegła do niej młodziutka kelnerka ze starannie przyciętą tuż nad brwiami grzywką.

– Dzień dobry pani! – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko, ukazując śnieżnobiałe drobne zęby. – Zaraz podam kartę…

– Nie trzeba – zaprotestowała szybko Aurelia. – Poproszę tylko czarną kawę i… niech już będzie ta drożdżówka. Raz się żyje. – Mrugnęła porozumiewawczo do kelnerki.

– Pani nie musi się obawiać o figurę! – Spojrzała z aprobatą na długie nogi klientki w błękitnych obcisłych dżinsach. – A drożdżówki to oprócz rurek nasz flagowy produkt – zakomunikowała z dumą.

– Wypieka je sam szef? – Aurelia niewinnie zatrzepotała rzęsami.

Dziewczyna zrobiła mądrą minę.

– Tak naprawdę to mamy dwóch szefów, starszego i młodszego. Ale starszy pan nigdy niczego nie piekł, zajmował się finansami.

– To znaczy, że już nie pracuje?

– Ma już prawie dziewięćdziesiąt lat! Już od dawna cały biznes prowadzi jego syn, młodszy szef, pan Michał Potocki – dodała z powagą. – I tak, drożdżówki to jego specjalność.

– A czy pan Michał jest dzisiaj w cukierni? – zapytała, szybko dziękując w duchu opatrzności, że zesłała na jej drogę tę gadatliwą i przesympatyczną dziewczynę.

– Oczywiście! Codziennie tutaj jest i zawsze nam powtarza, że pańskie oko konia tuczy. – Roześmiała się. – To ja już lecę po pani zamówienie. Jak zwykle się zagadałam, a klienci czekają.

Aurelia musiała szczerze przyznać, że już dawno nie piła tak dobrze zaparzonej kawy. A drożdżówka! Delikatna, puszysta, z wyczuwalnym smakiem świeżutkiego masła i cudownie chrupiącą kruszonką. W gęstej konfiturze z wiśni wyczuła lekką cytrynową nutę.

– I jak, smakuje pani? – Przy stoliku, trzymając w obu rękach metalową tacę wypełnioną wysokimi szklanicami po lemoniadzie, znów stanęła sympatyczna kelnerka.

– Niebo w gębie! Zapakuj mi, proszę, dwie drożdżówki na wynos. I przekaż, proszę, panu Michałowi moje szczere wyrazy uznania. Nigdy wcześniej nie jadłam takich delicji.

– Może mu pani sama to powiedzieć, ucieszy się. Szefie, poprosimy na chwilę!

Aurelia zbladła nieco, ale odważnie zerknęła na przystojnego starszego mężczyznę w białym fartuchu, który właśnie podszedł do jej stolika. Miał szpakowate włosy związane na karku czarną tasiemką. Jego błękitne oczy, zatopione w głębokiej siateczce zmarszczek, patrzyły z życzliwością i zaciekawieniem.

– Czy my się znamy? – zapytał. – Mam wrażenie… – Urwał nagle zakłopotany.

– Myślę, że poniekąd tak – szybko odpowiedziała Aurelia. – Proszę, niech pan usiądzie – zaproponowała.

Sięgnęła do torebki, wyjęła z niej pożółkłą, nieco wygniecioną kopertę i położyła na stoliku. Mężczyzna spojrzał na nią zdumiony.

– Proszę, niech pan zajrzy do środka. – Aurelia powoli przesunęła list w jego stronę. Potocki chwycił kopertę w przyprószone mąką dłonie i wyjął z niej starą fotografię. Jego twarz poszarzała. – Skąd pani to ma? – wyjąkał. – I jak się pani właściwie nazywa?

– Nazywam się Aurelia Kostrzewska. Ale myślę, że nazwisko Dobrzycka więcej panu powie. Jestem siostrą Emilii, którą, mam nadzieję, jeszcze pan pamięta…

– Liczę, że zachował się jak dżentelmen i cię stamtąd nie wyprosił? – Witold patrzył uważnie na twarz żony, kiedy na moment przerwała swoją opowieść.

Wydawała się spokojna, ale jej mocno zaciśnięte szczęki napięły nienaturalnie mięśnie na policzkach.

– Na początku był bardzo wzburzony, zresztą wcale mu się nie dziwię… – zaczęła Aurelia. – Ktoś z dalekiej przeszłości wkroczył nagle w jego uporządkowane od wielu lat życie i wywrócił je do góry nogami. Kiedy zapewniłam go, że nie oczekuję od niego niczego oprócz prawdy, która pomoże mi się uporać z demonami przeszłości, zmiękł i zaczął opowiadać.

– Nie wiem, dlaczego to pani mówię… – Potocki zawiesił na chwilę głos. – Może dlatego, że widzę w pani twarzy ślad mojej Emilii.

– Pańskiej Emilii?! – Aurelia nie wytrzymała. – Jak pan może tak mówić?

– Ma pani rację, nie powinienem. Nie mam do tego prawa po tym, co jej zrobiłem.

– Kto jest na tym zdjęciu? Pan i pańska… nowa dziewczyna, dla której porzucił pan moją siostrę? – rzuciła z wyrzutem Kostrzewska.

Potocki milczał przez chwilę, tak jakby zbierał rozbiegane po głowie myśli.

– Nie. Przez długi czas nie miałem żadnej dziewczyny. Na fotografii jest moja kuzynka Anna. To zdjęcie zrobił nam ojciec w wielkim pośpiechu, tuż przy zejściu na plażę, zaledwie kilkanaście metrów stąd. To on kazał mi zerwać z Emilką i napisać ten okropny list. Wiem, to nie jest żadne usprawiedliwienie. Teraz nikt nie zdołałby mnie zmusić do czegoś takiego, ale wtedy… wtedy byłem jeszcze młody i głupi. Ojciec zagroził, że mnie wydziedziczy, nie da ani grosza na studia. Straszył, że w dalszej perspektywie czeka mnie bezrobocie, a jeżeli nawet uda mi się załapać do jakiejś dorywczej roboty, to w większym mieście nie utrzymam nas obojga. Przekonywał mnie, że w okolicy bez jego protekcji będę spalony i prędzej czy później Emilia sama mnie zostawi. Prosiłem, błagałem, żeby dał nam szansę, ale on był nieprzejednany. „Tak będzie lepiej dla was obojga, uwierz mi" – powtarzał. „Dziewczyna popłacze, pohisteryzuje, a potem się otrząśnie. Jest młoda i ładna. W mig znajdzie nowego adoratora. Zaufaj mi, synu, mam rację, bo znam życie".

– I co… Uwierzył mu pan? – zapytała Aurelia. – Obaj zmieniliście na zawsze życie mojej siostry, bo tak naprawdę ona nigdy się po tym rozstaniu nie pozbierała.

– Mogę mieć pretensje tylko do siebie – powiedział Potocki. – Ojciec jest już na skraju życia, stary i schorowany. Nie chcę i nie będę go o nic oskarżać. Cała wina leży po mojej stronie.

Nagle z boku stolika doszedł ich cichy głos. Należał do zgarbionego mężczyzny o pooranej zmarszczkami twarzy i o białych jak mleko włosach. Podpierał się mocno lakierowaną na czarno drewnianą laską.

– Tato, co ty tutaj robisz? – Potocki zerwał się na równe nogi.

– To cały czas jest jeszcze moja cukiernia i mogę tu przychodzić, kiedy chcę – odpowiedział zaczepnie staruszek. – Wiem, że to niegrzeczne, ale stoję tutaj już od kilku minut. – Przeniósł wzrok na siedzącą przy stoliku Aurelię. – Tak, wiem, zastanawia się pani teraz, jak wytrzymałem tak długo na tych moich wiekowych trzęsących się kończynach? Będę szczery, sam tego nie pojmuję. Nie miałem zamiaru podsłuchiwać, ale wasza dyskusja ogromnie mnie zaintrygowała. Tym bardziej że dotyczy również mnie. Ale nie tylko, bo w tym haniebnym… tak, przyznaję to, choć jestem już w takim wieku, że za późno na wstyd… postępku maczała palce jeszcze jedna osoba. I skoro wysuwane są wobec nas ciężkie zarzuty, pora również wspomnieć i o niej.

– O kim pan mówi? – Aurelia poczuła przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz.

– O Michalinie Dobrzyckiej, pani matce…

Aurelia urwała nagle. Zaschło jej w gardle. Chwyciła stojącą na stole szklankę z wodą i wypiła wszystko do ostatniej kropli.

– Myślałam, że gdy poznam prawdę, poczuję się lepiej. Ale tak nie jest. Nie mogę pojąć, Witoldzie, że nasza własna matka tak nas nienawidziła. Jak ona mogła? Złamała życie Emilii, wciągając w to inne osoby, a co najgorsze… również mnie. Skłóciła nas ze sobą, to dlatego Emilia uciekła, straciłyśmy kontakt, a teraz… teraz jej już nie ma, a ja nawet nie mogę wykrzyczeć swojego żalu. Bo gdzie mam krzyczeć? Na grobie siostry czy matki? Przecież i tak mnie nie usłyszą…

– Możesz krzyczeć, ile wlezie. Nawet i tutaj. Teraz! Krzycz! – Witold łagodnie gładził żonę po twarzy. – Jeżeli to ma ci pomóc, po prostu to zrób.

Aurelia przytuliła się do jego ramienia.

– Tak się cieszę, że wszystko ci powiedziałam, Witoldzie. Myślę, że Nina też powinna to wiedzieć. Emma tak bardzo ją kochała.

ROZDZIAŁ 11

Prezydent czekoladowej republiki

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wróciłam do domu! – Nina wyciągnęła z ulgą długie nogi na stojącym tuż przy kanapie podnóżku. – Kto by przypuszczał jeszcze kilka miesięcy temu, że będę nazywać to miejsce domem? A jednak! Już nie wyobrażam sobie życia bez zapachu czekolady, konszowania i bez… Malinowej Bombonierki. Ale widzę, że i ty się tutaj zadomowiłaś?

Nina patrzyła na przyjaciółkę z niekłamaną radością. Marianna wyglądała promiennie, znikły głębokie cienie pod oczami i rozbiegany, wystraszony wzrok. Holandia najwyraźniej jej służyła.

– Dobrze, że jesteś tutaj ze mną. Pamiętaj o jednym… Malinowa Bombonierka jest od teraz również twoim domem. Twoim i Benia – powiedziała.

Marianna bez słowa złapała ją za rękę i uścisnęła mocno.

– Zostanę jeszcze parę dni i będę musiała jechać do Polski – wyznała z trudem.

– Jak to?! Dlaczego?! – Nina z niedowierzaniem spojrzała na przyjaciółkę. – Chcesz wrócić do Iwa? Po tym wszystkim, co zrobił?

– Nigdy do niego nie wrócę. – Marianna potrząsnęła głową. – Ale formalnie ciągle jesteśmy małżeństwem, a Iwo nadal ma prawa rodzicielskie. Muszę złożyć pozew o rozwód i uporządkować wszystkie formalności. Nawet nie wiesz, jakbym chciała wrócić po tym wszystkim do ciebie, do Deventer. Boję się tylko, że Iwo tak łatwo nie odpuści…

Nina odwróciła wzrok, a po chwili mocno poklepała przyjaciółkę po ramieniu.

– Niczym się nie przejmuj, Mańka, przecież ja nigdy nie zostawię cię samej. Pomogę ci we wszystkim. Bardzo cię kocham, wiesz?

– Wiem… i jeszcze raz przepraszam… za te oskarżenia…

– Nie ma potrzeby do tego wracać. Wszystko już sobie wyjaśniłyśmy. Tylko jednego nie mogę ci wybaczyć, do cholery! I mam nadzieję, że nareszcie zwolnisz mnie z tego zakazu! – Nina zrobiła groźną minę.

Zaskoczona Marianna spojrzała na przyjaciółkę.

– O czym ty mówisz? Nie rozumiem…

– Kiedy w końcu pozwolisz mi znowu mówić na ciebie MANIANA?

Głośny śmiech dochodził jeszcze długo z małego mieszkanka na pięterku malinowej kamienicy.

Nazajutrz skoro świt, kiedy Mańka przeczesywała Internet w poszukiwaniu najkorzystniejszych połączeń do Polski, Nina w końcu pobiegła do swoich dziewczyn. Mimo że zegarek wskazywał dopiero siódmą rano, cały zespół zabrał się już ochoczo do pracy. Nora stała jak zwykle nad rondlem z kawowym ganaszem, Marta ozdabiała kandyzowanymi owocami pistacjowe czekoladki, a Isa z zapałem polerowała na wysoki połysk marmurowe blaty. Wszystkie uściskały się mocno, a Isa uroniła nawet kilka łez, choć – jak zawsze twierdziła – nie lubiła się mazgaić.

– I jak interesy? Oczywiście doskonale sobie beze mnie poradziłyście?

– To jest pytanie czy stwierdzenie, szefowo? – śmiejąc się, zapytała Marta. – Muszę się pochwalić, że nasze kawowe koktajle, mazagran i espresso romano ze skórką cytrynową robią prawdziwą furorę! A od niedawna podajemy do nich… prezydenta.

Zaskoczona Nina spojrzała na dziewczyny. Marta zrobiła nieprzeniknioną minę, ale po chwili chichotała już jak nastolatka. Śmiech Isy i Nory był zaraźliwy.

– Mówcie mi tu szybko, co uknułyście! – zawołała Kostrzewska. – I błagam o filiżankę kawy. W samolocie podali mi taką lurę, że nadal czuję na języku jej gorzkawy smak.

Marta w mig zakrzątnęła się wokół ekspresu i po chwili wszystkie poczuły zniewalający zapach świeżo zmielonych ziaren. Chwilę później do wesołej kompanii dołączyła zadyszana Evelien, która po drodze do pracy jak zwykle zaopatrywała Bombonierkę w codzienną prasę.

Gadając jedna przez drugą, usiadły przy największym stoliku, na samym środku chocolaterii.

– Słyszałaś kiedyś o Domu Czekolady Bernachon? – zapytała Marta, upijając spory łyk kawy. Jej oczy błyszczały jak zwykle, kiedy chciała opowiedzieć o jakimś nowym pomyśle.

Nina pokręciła głową.

– Chyba widziałam tę nazwę w notatniku Emmy – powiedziała wolno Evelien. – Jak wiecie, Emma zapisywała wszystkich znaczących konkurentów z branży, mówiąc żartobliwie, że trzeba im patrzeć na ręce. Bernachon to francuska marka, zdaje się z Lyonu.

– Zgadza się – potwierdziła Marta. – Nawiązałam kontakt z wnukiem założyciela tej firmy, Philippe. Jego dziadek Maurice podobnie jak Emma przed laty zaczął produkcję czekolady od samego początku, czyli od palenia ziaren. A potem, oczywiście, je kruszył i pozbawiał łusek po to, żeby uzyskać miazgę kakaową. Tylko że Bernachon robił to przy pomocy maszyn, a Emma i Evelien ręcznie.

– Nawet mi o tym nie mów! – Evelien się wzdrygnęła. – Do dziś pamiętam nasze palce z pozdzieranymi paznokciami.

– I co z tym Bernachonem? – zniecierpliwiła się Nina, umierając z ciekawości.

Marta wstała z tajemniczym uśmiechem od stołu i podeszła do gabloty z czekoladkami. Po chwili wróciła, dzierżąc kryształową paterę przykrytą starannie lnianą serwetą z monogramem Emmy.

– A to co? – zapytała Nina.

– To jest właśnie nasz prezydent – odparła z dumą Marta. – Receptura prosto z domu czekolady Bernachon! *Voilà*! – Mówiąc to, ściągnęła serwetę z osłaniającego paterę klosza.

Dziewczyny jak na zawołanie wydały z siebie okrzyk zachwytu. Na paterze pysznił się apetycznie wyglądający tort, na wierzchu przypominający czekoladową rafę koralową.

– I jak się podoba szefowej? – zapytała z przejęciem Isa.

– Jest przepiękny… doprawdy brak mi słów. Kto go upiekł?

– Oczywiście Nora, ale wszystkie dzielnie jej pomagałyśmy. Ciasto to czekoladowy biszkopt, nasączony cherry, przełożony kremem ze śmietanką z dodatkiem kandyzowanych wiśni. Ganasz przygotowała Marta – powiedziała z dumą Evelien.

– I właśnie dziś w Bombonierce nasz prezydent będzie miał swoją inaugurację. A właściwie zaprzysiężenie! – Nora klasnęła z radości. – Zakład, że zrobi prawdziwą furorę?

Podekscytowane twarze dziewczyn świadczyły o tym, że żadna z nich nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Nina zebrała opadające na policzki włosy i związała je szybko w grubą kitkę błękitną tasiemką. To irracjonalne, ale za każdym razem, kiedy przekraczała próg kancelarii notarialnej

Larsa van Haasterena, czuła onieśmielenie. Być może dlatego, że biuro prawnika znajdowało się w jednej z najokazalszych kamienic w Deventer, w centrum, przy prestiżowej ulicy Singel. Stary prawnik, jeden z najlepszych i najwierniejszych przyjaciół Emmy, był osobą, której Nina ufała bezgranicznie. Kiedy tylko zobaczył ją w progu swojego gabinetu, wstał zza biurka i poprawiając zsuwające się nieco okulary w delikatnych złotych oprawkach, pośpieszył przywitać gościa. Jak zawsze był nienagannie ubrany. Jego zamszowa marynarka wytarła się wprawdzie nieco przy kieszeniach, ale ta drobna niedoskonałość tylko dodawała mu szarmu.

– Nina! Jak dobrze, że jesteś! – zawołał z lekkim wzruszeniem w głosie. Za każdym razem, kiedy widział Ninę, wracały do niego wspomnienia o ukochanej Emmie. Odnaleziona po latach siostrzenica była jej wierną kopią.

– Czy Chantal zaproponowała ci kawę? – zapytał i mocno uścisnął jej dłoń.

Nina zdążyła się już przyzwyczaić, że w Holandii żadna ważna rozmowa biznesowa nie mogła się odbyć bez filiżanki świeżo zaparzonej kawy. Dziewczyna pokiwała głową i oboje przeszli do stojących pod wysokim, pociętym szprosami oknem skórzanych foteli Chesterfield. Po chwili do gabinetu weszła sekretarka i rozlała kawę do stojących już na niskim drewnianym stoliku porcelanowych filiżanek z monogramem kancelarii.

– Niestety, Lars, nie mam dobrych wieści – westchnęła Nina. – Udało mi się, co prawda, dotrzeć do lekarza Emmy, ale stanowczo odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji. Zasłaniał się tajemnicą lekarską, upływem czasu, ba, nawet swoim wiekiem. Ale ja doskonale wiem, że dokładnie pamięta przypadek cioci. Nie to jednak jest najgorsze…

– Co masz na myśli? – Haasteren splótł dłonie na piersi.

– Najwyraźniej Richard jest o krok przed nami. Nie wspomniałam o pasierbie Emmy ani nie wymieniłam jego nazwiska, a jednak lekarz je znał. Boję się, Lars. Kto wie, do czego może się jeszcze posunąć ten człowiek, tak święcie przekonany, że to jemu należy się Bombonierka. Jak widać, ma świetnych doradców. Oni znaleźli również adres szpitala, w którym leczyła się Emma.

Lars potarł pomarszczony policzek. Robił tak zawsze, kiedy głęboko się nad czymś zastanawiał.

– Muszę przyznać szczerze, że to trudny przeciwnik – przyznał notariusz. – Sam spanikowałem, choć jestem starym lisem i nie z takimi cwaniakami przychodziło mi się mierzyć. Richard robi wokół siebie mnóstwo hałasu, ale tak naprawdę doskonale wie, że jego szanse na obalenie testamentu są niewielkie. Nawet jeżeli Emma przechodziła w przeszłości załamanie nerwowe, bo w jej rzekomą chorobę psychiczną nigdy nie uwierzę, nie oznacza to,

że w chwili sporządzania ostatniej woli nie była świadoma tego, co robi. Od pobytu w szpitalu minęło kilkadziesiąt lat! To absurd twierdzić, że ciągle była chora.

– Co nas czeka w najgorszym wypadku?

– Sąd może powołać biegłego lekarza, który na podstawie dokumentacji medycznej określi, czy istnieją przesłanki do obalenia ostatniej woli Emmy. Mogą również zostać wezwani inni świadkowie…

– Na przykład ten lekarz, z którym rozmawiałam?

– To niewykluczone – potaknął Lars.

– Podobnie jak ty powątpiewam w chorobę cioci – mruknęła Nina. – Coraz bardziej skłaniam się ku teorii, że to babcia, z sobie tyko znanych powodów, wszystko ukartowała. Teraz naszą jedyną nadzieją jest Maria Grodnicka. Ona od początku stała po stronie Emmy, ale ze względu na naganę wpisaną do akt jej zeznania mogą zostać uznane za niewiarygodne, a nawet podważone.

– Cóż takiego zrobiła?

– Kazała cioci odstawić otumaniające i szkodliwe leki, a potem pomogła jej uciec.

ROZDZIAŁ 12

Siostry kontra świat

Otmuchów, 1977

Emilia już od kilku dni snuła się po domu jak cień. Jej radość życia, entuzjazm i energia zniknęły gdzieś bezpowrotnie, a ich miejsce zajęły apatia i marazm. Najchętniej zamykała się teraz w swoim pokoju i nakrywała aż po sam czubek głowy. Co najdziwniejsze, nie nastawiała już nawet swoich ukochanych płyt na kupionym za odkładane przez lata kieszonkowe adapterze Bambino. Aurelia bardzo się o nią martwiła, ale nie miała pojęcia, jak może pomóc siostrze. Czasem wchodziła do jej pokoju i gładziła czule wystające spod koca rudoblond włosy Emilii. Ale ona milczała. Nie chciała czekolady bakaliowej, ulubionych herbatników z cukrem ani nawet pomarańczy, które Aurelia zdobyła, specjalnie stojąc całe popołudnie w ponadkilometrowej kolejce do supersamu, gdzie akurat „rzucili" egzotyczne owoce.

– Mamo, a może byśmy gdzieś razem pojechały, jak myślisz? Emilia tak lubi te domki kempingowe nad jeziorem. Nawet na kilka dni… – zapytała odważnie.

Michalina siedziała tyłem na niskim stołeczku przed otwartą na oścież szafką z kubłem na śmieci i obierała ziemniaki na obiad. Słysząc znienacka głos córki, wzdrygnęła się i zacięła ostrym kozikiem w palec.

– Czy ty zawsze musisz się skradać jak złodziej?! – syknęła i włożyła krwawiący palec do ust. – Podaj mi bandaż z apteczki! No co się tak gapisz jak cielę na malowane wrota! Migiem!

Aurelia sięgnęła do odrapanego blaszanego pudełka stojącego na lodówce.

– Skaranie boskie z wami – złorzeczyła Michalina, rozrywając zębami opakowanie bandaża. – Tu mi potrzymaj, tutaj! – sztorcowała córkę, owijając ciasno napuchnięty nieco

palec. – I dokończ obieranie ziemniaków. Ja za chwilę do kościoła iść muszę w sprawie tego dachu, co to na plebanii musowo wymienić trzeba.

– A co do wyjazdu… – wróciła do tematu Aurelia, ale matka zgromiła ją wzrokiem.

– W głowie ci się poprzewracało z tego dobrobytu! – huknęła. – Co ty myślisz, że mnie pieniądze z nieba spadają? Sama was wychowuję, rozumiesz? SAMA! Ptasiego mleka wam nie brak, a co dostaję w zamian za serce i poświęcenie? Ciągłe fochy! Emilia w dupę solidnie dostać powinna, toby jej wielkopańskie nawyki od razu przeszły. Kto to widział w biały dzień wylegiwać się na wersalce?!

– Emilka się uczy… – zaoponowała bez przekonania Aurelia.

– A juści, uczy! Chyba zbijania bąków! – prychnęła Michalina. – Matura za pasem, a ona buja w obłokach! Ale nikt mi nie może potem zarzucić, że wałkonia nie ostrzegałam. Jak dziewuszysko egzaminów na uczelnię nie zda, to sama sobie radzić będzie musiała! Ja darmozjada utrzymywać nie zamierzam! A ty nie stój jak cielę, tylko za ziemniaki się bierz!

Kiedy dobry kwadrans później za matką trzasnęły drzwi, w progu kuchni pojawiła się Emilia. Była blada jak ściana. Bistorowa sukienka w kwiaty, która jeszcze do niedawna ładnie opinała pełne biodra dziewczyny, wisiała teraz na niej jak na kołku. Emilia bez słowa podeszła do stojącego na blacie syfonu, nalała sobie pełną szklankę wody, po czym wypiła ją duszkiem.

– Relka… musisz mi pomóc – powiedziała i spojrzała uważnie na siostrę.

Dziewczyna szybko wytarła poplamione ziemią ręce o dżinsowy materiał spodni.

– Przecież wiesz, że ja dla ciebie wszystko…

– Masz jakiś szmalec w tej swojej przepastnej skarbonce? – Próbowała się uśmiechnąć, ale na jej twarzy pojawił się tylko dziwny grymas.

– Powinnam mieć około dwa tysiące złotych. – Aurelia zmarszczyła czoło. – Zbieram na nowe meble do pokoju. Ostatnio widziałam w salonie przy Świerczewskiego taką piękną nowoczesną szafę na wysoki połysk. Mam dosyć upychania sukienek w szufladzie tej okropnej komody po babce.

Emilia zdawała się nie słuchać paplaniny młodszej siostry.

– Pożyczysz mi te pieniądze? – zapytała bez ogródek. – Muszę opłacić jednego z kolesiów z budy. Udziela korepetycji z matmy. Inaczej nie dam rady z egzaminami, a muszę się dostać na tę psychologię, rozumiesz? Muszę! To moja jedyna szansa, żeby wyrwać się z domu.

– Przecież doskonale sobie radziłaś…

– Ale konkurując z ludem pracującym, nie mam szans. Przez naszego ojca odpadają mi punkty za pochodzenie. I pomyśleć, że nawet go dobrze nie pamiętam.

– Jakie znowu punkty? O czym ty bredzisz?

– Nie bądź dzieckiem! Nasza władza faworyzuje kandydatów na studia z rodzin robotniczo-chłopskich. Inteligencja jest tępiona, nawet taka drobnica jak Dobrzyccy.

Aurelia nadal nic z tego nie rozumiała.

– Jasne, że dam ci te pieniądze – zapewniła.

– Tylko nie mów o niczym matce.

– Nie pisnę słowa. Za kogo ty mnie masz? – obruszyła się Aurelia.

– Za najlepszą siostrę na świecie. – Buzia Emilii nieco poweselała. – Obiecaj mi, że cokolwiek by się działo, my zawsze będziemy się wspierać, Relka. My przeciwko całemu światu. Damy radę, prawda?

– Damy! Obiecuję ci to, Emilka.

ROZDZIAŁ 13

Coś wisi w powietrzu

Marianna wracała z placu de Brink z reklamówką wypełnioną cebulkami tulipanów, które kupiła dla swojego dobrego ducha, a raczej dla swojej dobrej czarownicy. Maria Grodnicka alias Filomena kochała kwiaty. Miłość do roślin zastępowała staruszce brak rodziny, a intensywna praca w ogrodzie choć trochę rekompensowała samotność. Na rabatach przed jej domem kwitły żółte begonie, pomarańczowe nagietki i łososiowa szałwia. Brakowało tylko przepięknych holenderskich tulipanów. „Już niedługo posadzimy je razem" – cieszyła się w myślach Marianna, która z radością pomogła przywrócić zaniedbany ogród staruszki do dawnej świetności. Kiedy Grodnicka usłyszała, że wracają z Beniem do Polski, żeby uporządkować sprawy rodzinne, bez wahania zaproponowała dziewczynie dach nad głową.

– Zajmę się małym, a ty będziesz mogła wszystko pozałatwiać! – krzyczała (znowu źle podkręciła aparat słuchowy) do telefonu. – Obecność dziecka w takich przybytkach jak kancelarie prawnicze czy sądy nie jest najlepszym pomysłem – argumentowała, doskonale wiedząc, że dobro Benia jest dla jego matki wartością nadrzędną.

Marianna musiała przyznać, że takie rozwiązanie bardzo jej odpowiadało. Nie chciała angażować zbyt mocno w sprawy rozwodowe swoich rodziców, matka od razu wpadłaby w histerię, poza tym mieszkali daleko za miastem i miałaby utrudniony dojazd. Propozycja Grodnickiej spadła jej jak z nieba. Ona sama była niczym dobry anioł, który czasem pojawia się znienacka i pomaga się wykaraskać z życiowych opresji.

Dziewczyna weszła w wijącą się malowniczo uliczkę prowadzącą na Walstraat. Zewsząd otaczały ją różnokolorowe strzeliste i wąskie kamieniczki o spadzistych dachach i schodkowych szczytach. Marianna wiedziała już, że za starannie polakierowanymi drzwiami

kryły się niewielkie pomieszczenia oraz wąskie klatki schodowe ze schodami opasającymi kolejne piętra ciasną i fikuśną spiralką. Walstraat zapełniały miniaturowe sklepiki ze starociami, książkami i porcelaną. Zaledwie parę dni temu Nina przedstawiła Mariannie swoją dobrą znajomą z antykwariatu mieszczącego się w błękitnej kamieniczce zaledwie kilkanaście metrów od Bombonierki. Kiedy jego właścicielka, pochodząca z Bretanii Francuzka Antoinette, usłyszała, że Marianna pracowała w Polsce w księgarni, od razu zaprosiła ją do swojego królestwa. Mańka zaraz po przekroczeniu progu antykwariatu poczuła się jak w domu. Uwielbiała zapach starych książek, drewna i kurzu. Tak samo jak zapach czekolady. Bo tak naprawdę to one doskonale się uzupełniały…

Tuż przy wejściu do malutkiej pracowni jubilerskiej Błękitny Kamień Marianna spostrzegła szczuplutką figurkę swojego synka. Benio mógł spacerować po spokojnej i zamkniętej dla ruchu pojazdów uliczce, ale Marianna surowo zabroniła mu robienia jakichkolwiek zakupów. A tymczasem Benio oglądał z pietyzmem naszyjniki z lapis-lazuli, wytwarzane ręcznie przez właścicielkę sklepiku, siwowłosą Jolene. Marianna już miała zawołać synka, ale nagle ze zdumieniem spostrzegła, że ktoś ją uprzedził. Do Benia podszedł wysoki przystojny mężczyzna w białej koszuli i wytartych dżinsach. Marianna przyśpieszyła kroku, uważnie obserwując reakcję synka, ale chłopczyk, o dziwo, na widok nieznajomego uśmiechnął się promiennie i zamachał do niego pulchną rączką. Mężczyzna przyklęknął obok malca i objaśniał mu coś, wskazując na leżące na stoliku kamienie.

– A co ty tutaj robisz, urwisie?! Musimy się pakować! – powiedziała Marianna i napotykając zaciekawione spojrzenie mężczyzny, o losie, zaróżowiła się lekko. Ten zdradziecki rumieniec zawsze pojawiał się w najmniej spodziewanych momentach.

– Mamusia! – Benio się rozpromienił. – Te kamienie nazywają się lapsisluli… eee, czy jakoś tak. I nie będę się pakował. Nigdzie nie jadę – zapowiedział buńczucznie.

Marianna roześmiała się głośno. Nieznajomy podniósł się z klęczek i wyciągnął do niej dłoń. Miał symetryczną twarz, na którą opadały zadziornie kosmyki czarnych włosów, łobuzerski uśmiech i błyszczące ciemne oczy.

– To pan jest tym tajemniczym przyjacielem mojego synka – powiedziała po angielsku. – Tym, który futrował go słodyczami.

– Tak, zły wujek to ja. – Mrugnął filuternie. – Proszę o łagodny wymiar kary. I przepraszam, że się wcześniej nie przedstawiłem. Nazywam się Romeo Jeurissen… A ty jesteś mamą tego oto przesympatycznego młodzieńca?

Marianna nie przyzwyczaiła się jeszcze, że w Holandii ludzie w podobnym wieku od razu przechodzą w konwersacji na ty. Ale ten zwyczaj bardzo się jej podobał. Wydawał się zdecydowanie sympatyczniejszy i prostszy niż trochę sztuczne „paniowanie".

– Wszystko się zgadza – potaknęła. – Jestem mamą tego małego zbója. *By the way*, piękne masz imię. Takie klasyczne… a raczej romantyczne. Moje brzmi zdecydowanie zwyczajniej. Marianna. Marianna Bilewska. – Już nie pamiętała, kiedy ostatnio przedstawiała się swoim panieńskim nazwiskiem. Nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła.

Benio patrzył zaintrygowany to na Mariannę, to na Romea, aż w końcu zaprezentował szeroki szczerbaty uśmiech i zaczął coś mruczeć pod nosem.

Tymczasem z drugiego końca Walstraat zbliżał się drugi z braci Jeurissenów, Valentijn. Pogwizdywał jakiś najnowszy szlagier jednego z holenderskich bandów. Miał świetny humor, bo właśnie udało mu się na bardzo korzystnych warunkach pozyskać kolejnego lokalnego dostawcę masła. W tym samym momencie przed Malinową Bombonierką pojawiła się Nina. Zaparkowała swój ukochany rower Veloretti przed uginającym się od dorodnych surfinii kwietnikiem i już miała wejść do środka, gdy nagle usłyszała głośny śmiech dochodzący z głębi ulicy. Ze zdziwienia zmrużyła oczy i spojrzała szybko w kierunku, skąd dochodził. Tak śmiała się tylko Maniana, ale już od dłuższego czasu nie słyszała takiej beztroski i radości w jej głosie. A któż to stał obok niej i Benia? Nie, to niemożliwe…

– Zapomnij o tym, Czekoladko… – nagle zza jej pleców doszedł cichy głos. Odwróciła się szybko i napotkała zachmurzone spojrzenie Valentijna. – Nikt nie będzie się bawił uczuciami mojego brata, zrozumiałaś?

– O czym ty, do cholery, mówisz, Jeurissen? – zdumiała się Nina. A potem ogarnęła ją złość. Skąd w tym człowieku brało się tyle jadu?

– Masz mnie za idiotę? – rzucił Valentijn. – Rozpuściłem wici i wiem, że twoja przyjaciółka jest mężatką. I właśnie wraca do swojego ukochanego. Romeo jest naiwny i nie widzi, że przecież ona bezczelnie go podrywa. W dodatku na oczach dziecka!

– Zachowaj te głupie uwagi dla siebie! Co z ciebie za impertynent! – syknęła Nina i dodała bez zastanowienia: – Ale czego mam się spodziewać po gościu, którego najwyraźniej matka nie nauczyła podstaw dobrego wychowania!

Zaledwie sekundę po wypowiedzeniu tych słów Nina już żałowała, że padły z jej ust. Niepotrzebnie zaatakowała jego matkę. Co za blamaż! Powinna się ugryźć w język!

Twarz Valentijna poszarzała w ułamku sekundy.

– Przepraszam… – szepnęła. – Ja naprawdę nie chciałam… Bardzo mi przykro z powodu wypadku twoich rodziców. To nieodżałowana strata – plątała się niezdarnie, czując coraz większy wstyd.

– Wsadź sobie w dupę te przeprosiny! – warknął Valentijn. – I nigdy więcej nie waż się wspominać o mojej matce, zrozumiałaś?!

ROZDZIAŁ 14

Dziarska staruszka wkracza do akcji

Eugenia już od kilku minut siorbała mocną herbatę z sokiem malinowym własnej roboty (nosiła go zawsze ze sobą w torebce, w małym słoiczku po dżemie, twierdząc, że nie będzie sobie psuła kubków smakowych marnymi podróbkami) i łypała podejrzliwie na swojego rodzonego brata i jego połowicę. Jak nie przymierzając dwa gołąbki! Cóż to za cudowna odmiana po ostatnich dramatycznych deklaracjach Witolda (zawsze był histerykiem), że to koniec ich długoletniego związku. Ho, ho, kto by pomyślał. Eugenia nie była bynajmniej zagorzałą fanką sakramentu małżeństwa, co to, to nie, w końcu sama tkwiła w stanie panieńskim, ale jednak wolała, żeby brat nie został sam jak palec. Nikt by go nie chciał, wiecznego marudy, bo na co zaradnej i porządnej kobiecie taki niedojda, co to nawet sam wody na herbatę zagotować nie umie? Aurelia rozpuściła go jak dziadowski bicz. Gdyby się z nim rozwiodła, komu przyszłoby niańczyć prawie sześćdziesięcioletniego safandułę? A jakże, jego siostrze! A pranie męskiej garderoby i dogadzanie grymaśnemu podniebieniu to zdecydowanie nie było to, co Eugenia chciała robić na stare lata. Po jej świeżym nieskalanym trupie!

– Dołożyć ci makaroników, moja droga? – zapytała słodko Aurelia. – Ostatnio zjadłaś ich prawie tuzin, dlatego dokupiłam więcej w cukierni. Specjalnie dla ciebie.

– To bardzo miło z twojej strony, ale to zbędny kłopot. Muszę ograniczyć kalorie. – Eugenia poprawiła się na twardym i niewygodnym krześle, wzdychając ostentacyjnie. Ile razy mówiła Aurelii, że powinni położyć na nim jakąś poduszkę?! – Jak grochem o ścianę…

– O jaką znowu ścianę? – zainteresował się Witold.

– Żadną! Po prostu głośno myślę. A co, nie wolno? No i wreszcie przejdźcie do rzeczy, bo chyba nie zaprosiliście mnie tutaj bez powodu? – wypaliła bez ogródek. – Jestem za stara na podchody, więc kawa na ławę!

Witold i Aurelia wymienili spłoszone spojrzenia. Przed Eugenią nie dało się niczego ukryć. Miała szósty, a nawet ósmy zmysł. Kostrzewski odchrząknął więc znacząco i zapytał wprost:

– Czy zamierzasz sprzedać mieszkanie?

Eugenia, która właśnie nieopatrznie wzięła do ust spory łyk herbaty, o mały włos nie wypluła jej na śnieżnobiały obrus.

– Czy tobie kompletnie odebrało rozum?! – charknęła, krztusząc się i prychając. – A gdzie niby według ciebie miałabym mieszkać?! Pod mostem?!

– Nie denerwuj się, Gieniu – łagodziła Aurelia. – Po prostu… tak się zastanawialiśmy, czy może… masz jakieś przejściowe problemy finansowe. Witek widział cię ostatnio wychodzącą z biura nieruchomości w centrum i ogromnie się zmartwił.

– Raczej ucieszył – mruknęła starsza pani.

– A może… – ciągnęła desperacko Aurelia – postanowiłaś się pozbyć mieszkania, bo ten… nie dajesz… – Urwała i rzuciła rozpaczliwe spojrzenie w kierunku męża.

– Nie dajesz rady sama i chcesz się przenieść do domu… spokojnej starości! – dokończył desperacko Witold. Słowa „do nas” nie przeszły mu przez gardło, ale i ten dramatyczny dla jego związku z Aurelią scenariusz brał pod uwagę.

Eugenia najpierw wybałuszyła oczy, a potem zaczęła się gromko śmiać.

– Następnym razem zamiast spiskować po kątach radzę wam najpierw zasięgnąć języka u źródła – wygłosiła pouczający tonem. – Czyli u mnie! Nie, nie zamierzam sprzedawać mieszkania. Nie, nie zamierzam się przenosić do domu starców. ANI DO WAS! Mam więcej wigoru niż niejedna czterdziestka. To wszystko. Jeszcze jakieś pytania?

Aurelia i Witold energicznie pokręcili głowami.

– A więc zakończmy te farsę. To, co robiłam u pośrednika nieruchomości, to wyłącznie moja sprawa. Wy macie swoje tajemnice, chyba mogę je mieć i ja? A teraz, droga Aurelio, nałóż mi z łaski swojej ten orzechowy makaronik, bo czuję, że przez te wasze śmieszne hipotezy drastycznie spadł mi cukier.

ROZDZIAŁ 15

Kontrakt z Panem Bogiem

Otmuchów, 1977

Grupa odświętnie ubranych maturzystów wyległa na obszerny wybetonowany plac przed liceum ogólnokształcącym imienia Bolesława Bieruta. Dziewczyny w krótkich spódniczkach i białych bluzkach z bistoru przekrzykiwały się wzajemnie i ściągały z ulgą gumki z przyczesanych staranie włosów. Chłopcy odpinali górne guziki pomiędzy długimi szpiczastymi kołnierzami koszul i wpychali ręce do kieszeni marynarek, wyciągając zapisane miniaturowym pismem ruloniki papieru.

– I jak ci poszło, Emilia? – zapytała Kasia Sawicka, wydymając pełne usta. Ona nie musiała się obawiać wyników. Jej tatuś, partyjny kacyk, zatroszczył się już zawczasu, żeby jego córeczka dostała się bez problemów na wymarzoną medycynę.

– Dziewczyny, chodźcie! – zawołał rudy Mietek z czwartej B. – Mamy dla was coś ekstra!

Emilia spojrzała ukradkiem na mały srebrny zegarek na przegubie lewej ręki.

– No chodź! – Kasia pociągnęła ją za rękaw. – Mietek załatwił nam sporty, zapalimy sobie. W końcu trzeba jakoś uczcić ten cały egzamin dojrzałości.

– Nie chcę. Te fajki są bez filtra i śmierdzą kotłownią. – Emilia się skrzywiła. – A moja matka ma węch jak u psa myśliwskiego. Spotkamy się wieczorem, dobrze? Muszę pędzić do domu, obiecałam, że będę na obiad.

– Nuuuda. Chodzisz u tej swojej starej jak na sznurku, ale jak tam sobie chcesz. – Wzruszyła ramionami i pobiegła do grupki kolegów.

Emilia bez przekonania powlokła się w stronę domu. Najważniejsze, że miała już tę cholerną matmę za sobą. Nie bała się egzaminu z języka polskiego ani nawet z propedeutyki wiedzy o społeczeństwie, ale cyferki od zawsze były jej piętą achillesową. Przed wejściem na klatkę schodową przystanęła jeszcze obok metalowego kosza na śmieci i wyrzuciła kilka ciasno zwiniętych rolek ze ściągami, które przygotował jej zawczasu „korepetytor". Policzył sobie za fatygę jak za zboże, cwaniak.

W mieszkaniu pachniało pastą do podłóg i niedzielnym rosołem. Emilia zostawiła na przepełnionym wieszaku chlebak ze skaju i zajrzała do pokoju. Przy nakrytym białym obrusem stole siedziała już matka. Miała na sobie pasiastą sukienkę z dekoltem w serek i nieco podniszczone czółenka na niskim słupku.

– W końcu jesteś – mruknęła i wskazała jej krzesło po swojej prawicy. – Gdzieś ty zabradziażyła tak długo? Zupa stygnie, niedługo oka z tłuszczu nożem będę kroić – gderała jak zwykle.

Emilia bez słowa odsunęła krzesło i usiadła na wprost parującego talerza z rosołem. Matka wrzuciła do środka zupy dwie grube marchewki i liść laurowy, choć doskonale wiedziała, że córka go nie cierpi.

– A gdzie Relka? – zapytała Emilia.

Niechętnie chwyciła za łyżkę. Czuła, że jej żołądek zaciskał się w gigantyczny supeł i nie przełknie nawet odrobiny. Matka na pewno się obrazi.

Dobrzycka odchrząknęła dwa razy i przetarła czoło wierzchem pomarszczonej dłoni.

– Poszła do biblioteki – odparła i rzuciła córce uważne spojrzenie. – Ale to nawet lepiej, bo muszę z tobą poważnie porozmawiać.

Emilia znieruchomiała. Służbisty ton matki nie wróżył niczego dobrego.

– Jeżeli chodzi o maturę, to poszło mi bardzo dobrze – zaczęła ostrożnie.

– Nic dziwnego, ślęczałaś nad książkami i wypalałaś po nocach elektrykę, oczywiście na mój koszt. Ale to dobrze, matura ci się przyda.

– Oczywiście, że tak, mamo. – Emilia się ożywiła. – Przecież wiesz, że bez niej nie dostanę się na wymarzoną uczelnię. I nie martw się o nic. Zrobię wszystko, żeby zapracować na stypendium naukowe. Akademiki nie są takie drogie…

– Wszystko jest bardzo drogie, ale skąd ty niby masz o tym wiedzieć? – zripostowała błyskawicznie Dobrzycka. – Do tej pory miałaś wszystko podstawione na tacy pod nos. Te wasze modne dzwony, dżinsowe płaszczyki, adaptery i inne zbytki… Ja tego nie miałam. Ale czy ktokolwiek w tym domu się ze mną liczy?

– Mamo…

– Cicho, nie przerywaj mi, gówniaro! – zaperzyła się. – Żyły sobie wypruwam, żeby coś do garnka włożyć. Do grobu mnie wpędzicie. Ja już nie daję rady, rozumiesz? Dlatego raz na zawsze wybij sobie z głowy te studia. Ja też nie mam wyższego wykształcenia i co z tego? Nie jestem gorsza niż ta pseudointeligencja, co to myśli, że wszystkie rozumy pozjadała. Nawet towarzysz Gierek ma tyko podstawówkę, choć wmawiają nam, ciemnemu narodowi, że jest inżynierem. Tak, znam ja takich inżynierów, mianowanych partyjnymi dekretami.

Emilia pochyliła głowę. Po jej policzkach zaczęły spływać łzy, które jedna po drugiej skapywały do przestygłego już rosołu.

– Nie mazgaj mi się tu, tylko myśl, co by tu zrobić, żeby siostrze pomóc! – huknęła Dobrzycka. – Chyba chcesz, żeby przynajmniej ona coś w życiu osiągnęła? A i na ciebie przyjdzie kiedyś pora, jak się postarasz.

– Mama chce, żebym poszła do pracy? – chlipnęła Emilia.

– Oszalałaś?! Nawet przez głowę mi to nie przeszło – obruszyła się Michalina. – Inną drogę dla ciebie mam i jeszcze mi za nią podziękujesz. Drogę ku Bogu.

Emila błyskawicznie przetarła mokrą twarz.

– O czym mama mówi? – W jej oczach mignęło przerażenie.

– A od kiedy ty po polsku nie rozumiesz? Jak ty niby chcesz zdać maturę? Już się z księdzem proboszczem ugadałam, że cię do klasztoru wyślemy. Ostatnio coraz mniej chętnych, dziewuszyska rozbisurmanione tylko big-beatu słuchają na tych prywatkach, a siostra zakonna to dla parafii zaszczyt i profity. Proboszcz hojny i zginąć nam nie da. Dzięki temu i mnie ulży, a i może Aurelia na studia pójdzie. Pomyśl choć raz o nas, nie tylko o sobie.

Emila odsunęła z impetem krzesło od stołu.

– Przehandlowałaś mnie Panu Bogu, mamo?! Jak ty możesz tego ode mnie żądać?

Dobrzycka bez namysłu trzasnęła starszą córkę w twarz.

– Nie bluźnij! I ani się waż mieszać w głowie Aurelii! Inaczej i ją na nowicjat wyślę! Tego chcesz? Obie założycie habit, a ja w końcu odpocznę!

Emilia odwróciła głowę w stronę okna. Na jej prawym policzku widniał czerwony ślad. Jej zwinięte w pięści dłonie drżały.

– A, i powiesz jej, że klasztor to był twój pomysł i że ja o niczym nie wiedziałam – rzuciła bezlitośnie Dobrzycka. – Pojedziesz do Częstochowy od razu po otrzymaniu świadectwa maturalnego. I poprosisz siostrę o pożyczkę na bilet. Na pewno chętnie ci pomoże po raz

kolejny wyprowadzić w pole własną matkę. A teraz wracaj do jedzenia. Rosół ma zniknąć z talerza, zrozumiałaś?

Klasztor brygidek, Częstochowa, dwa miesiące później

Emilia udawała pogrążoną w modlitwie. Kaplicę wypełniały klęczące zakonnice w czarnych welonach z koroną w kształcie krzyża. Dziewczyna nadal ogromnie się bała, że ktoś przejrzy ją na wylot, odkryje intrygę i zostanie zrugana, a potem wyrzucona na bruk, czego matka jej nie daruje. Ale wszystkie siostry już od samego początku ujęły ją swoją życzliwością, prostotą i radością. W końcu uwierzyła, że może spróbować nauczyć się żyć jak one. Emilia ze wstydem musiała przyznać, że do tej pory myślała, że siostry zakonne rodzą się w habitach i dalej w nich rosną. A tu nagle okazało się, że to normalne dziewczyny, które lubiły się wygłupiać, chodziły na prywatki i na lody, może nawet popalały sporty za szkołą, a potem nagle na ich drodze stanęło powołanie i Bóg, który pociągnął je za sobą. Kiedyś się z tego śmiała, teraz była bardzo daleka od drwiny. Ludzie natrząsali się najczęściej dlatego, żeby ukryć swoją niewiedzę. A ona już znała prawdę.

Jej pierwsza rozmowa z matką przełożoną, której tak się obawiała, przebiegła w bardzo miłej atmosferze. Emilia była przekonana, że ma wypisane na czole: „przyszłam tutaj z przymusu”. Matka przełożona siedziała za solidnym drewnianym biurkiem, wyprostowana, we władczej pozie, ale gdy zaczęła mówić, jej głos okazał się życzliwy i spokojny.

– Czy przywiozłaś ze sobą wszystkie dokumenty, moje dziecko? – zapytała.

Emilia pośpiesznie wyciągnęła z plecaka plastikową teczkę.

– Mam świadectwo chrztu i bierzmowania, maturalne… Zaraz, zaraz, gdzieś powinien tutaj być odpis aktu urodzenia… – Dziewczyna nerwowo grzebała w papierach.

– Spokojnie, formalności załatwimy potem. – Przeorysza roześmiała się lekko. – A teraz odpowiedz mi na pytanie, dlaczego tutaj przyjechałaś. To długa droga…

– Nie miałam żadnych problemów z połączeniem kolejowym – zaoponowała Emilia. – Musiałam się przesiadać tylko trzy razy.

– Mam na myśli inny rodzaj drogi, dziecko. Tej nazywanej życiem zakonnym.

– Tak pokochałam Pana Jezusa, że zapragnęłam zostać siostrą, żeby poświęcić życie służbie Panu Bogu, ludziom, dzieciom… – Emila wyrecytowała bez zająknięcia przygotowaną zawczasu przez proboszcza formułkę, której uczyła się w zatłoczonym przedziale pociągu.

Matka przełożona przekrzywiła nieco głowę i przyglądała się jej uważnie zza grubych szkieł w srebrnej oprawce.

– Zostań u nas kilka dni, Emilio – powiedziała wolno. – Rozejrzysz się i przekonasz, czy życie zakonne jest dla ciebie. Pamiętaj, że możesz zrezygnować w każdej chwili i nie będzie to miało dla ciebie żadnych konsekwencji. Czasem kandydatki mają nawet kilka takich „okresów próbnych", żeby mogły podjąć w pełni świadomą decyzję, że ich powołanie jest wystarczająco silne.

– Jestem tego pewna! – Emilia nieco podniosła głos i natychmiast opuściła głowę, wystraszona własną gwałtownością.

Matka przełożona zdawała się tego nie słyszeć.

– Każdy dzień ma u nas określony porządek. Pobudka jest o piątej rano, potem modlitwa i wspólna Eucharystia. Śniadanie jemy w refektarzu o ósmej, a przed dziesiątą każda z sióstr udaje się do swojej pracy.

– A co to za praca? – zapytała zaintrygowana Emilia.

– Zajęcia w kuchni, pralni, ogrodzie, porządki, szycie… tak jak w domu – cierpliwie objaśniała przełożona. – Są też codzienne zakupy, rozliczne obowiązki poza klasztornymi murami…

– Myślałam, że siostry nie wychodzą na zewnątrz – przyznała Emilia.

– Brygidki nie są siostrami klauzurowymi. Jesteśmy zakonem półotwartym, kontemplacyjno-aktywnym. Prowadzimy dom dla ludzi, którzy znajdują się w trudnych sytuacjach życiowych. Przyjmujemy też grupy na rekolekcje i dni skupienia, zapraszamy na posiłki osoby chore i samotne, a czasem w naszym ogrodzie organizowane są koncerty.

Emilia zdecydowanie poweselała, co nie uszło uwadze przełożonej.

– A czy… zakonnice wyjeżdżają również za granicę?

– Tak, nasza wspólnota jest międzynarodowa – przytaknęła przełożona. – Mamy ponad pięćdziesiąt domów, w Europie, Indiach, a nawet Meksyku. To ważne, Emilio, nauczyć się szacunku do odmiennych kultur, poznawać inne języki i inny sposób myślenia. Jak widzę, ogromnie cię to interesuje, bo nagle odzyskałaś humor. Mam wrażenie, że na początku byłaś bardzo przygaszona.

– Trochę tęsknię za siostrą… bardzo ją kocham – powiedziała cicho Emilia.

– To zrozumiałe. Ale musimy przyzwyczaić się do tęsknoty. W pewnym sensie będzie nam towarzyszyła przez całe życie. To na razie wszystko. – Przełożona wstała zza biurka. – A teraz siostra Bernadetta oprowadzi cię po naszym klasztorze.

Podniosła mały srebrny dzwoneczek i potrząsnęła nim energicznie dwa razy. W pomieszczeniu rozległ się metaliczny dźwięk, a po chwili do środka weszła drobna i nieco zgarbiona kobieta w szarym habicie. Skinęła ręką na Emilię, która posłusznie podążyła za nią.

Cały klasztor pogrążony był w ciszy. Emilia stąpała uważnie po posadzce, z całej siły starając się nie szurać skórzanymi sandałami. Musiała zacisnąć zęby i dać radę. Może nie będzie tak źle i za jakiś czas wyślą ją do któregoś z domów zakonnych za granicę? Tak, będzie się bardzo starała, żeby niczym nie podpaść i zasłużyć na zaufanie siostry przełożonej!

ROZDZIAŁ 16

Blond harpia i komedia pomyłek

– Twoi starzy coś węszą – rzuciła do słuchawki Eugenia i dramatycznie zawiesiła głos.

Nina właśnie układała w gablocie nowe smakołyki według receptury Marty. Ta dziewczyna była prawdziwą kopalnią pomysłów mających przyciągnąć tłumnie odwiedzających miasto turystów. Od niedawna zaczęły więc produkować pralinki z wytłoczonymi obrazkami przedstawiającymi największe atrakcje w okolicy.

– Nikt nie ma czekoladowego przewodnika! Tylko my! – Marta z wypiekami na twarzy prezentowała szefowej nakreślone naprędce szkice. – Możemy robić również amsterdamskie kamieniczki. Tylko że one są strasznie krzywe… To może lepiej tulipany? – Zachichotała.

– Nie śmiej się. Ostatnio Isa powiedziała mi, że kwiaty tulipanów ogrodowych stosuje się jako dodatek do sałatek. Mają podobno posmak chrupkiego ogórka. I nie uwierzysz, Evelien uważa, że nie ma większego przysmaku niż środek tulipanowego kielicha umoczony w maśle.

– Możemy zatem produkować czekoladki z kwiatami i opatrywać je karteczkami z napisem: „Smacznego tulipana”!

– A do czekoladek z zabytkami liścik: „Schrup sobie Holandię!” – podsunęła pomysł Nina. – Będziemy je pakować w firmowe pudełka, po osiem sztuk, mleczne i gorzkie. Wersja limitowana z amsterdamskimi kamienicami, a lokalna z kościołem Świętego Lebuina?

– Jesteśmy genialne! – Marta przewróciła oczami.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę – z udawaną powagą odpowiedziała Nina, a potem obie wybuchły śmiechem.

Wchodząca właśnie do Bombonierki Evelien popukała się w czoło, co jeszcze bardziej rozśmieszyło dziewczyny.

– Halo, Nina, jesteś tam?! – krzyczała do słuchawki Eugenia.

Nina błyskawicznie otrząsnęła się z myśli o czekoladowych przewodnikach i czym prędzej nadstawiła ucha.

– Oczywiście, ciociu, że jestem i słucham cię bardzo uważnie! – skłamała z premedytacją, ale przecież nie mogła się ot tak przyznać Eugenii, że kompletnie ją zignorowała. – Mówiłaś coś o moich rodzicach? – zapytała niepewnie.

– O twoich starych, kochanieńka, STARYCH! – uściśliła ciotka i sapnęła jak wiekowy parowóz. – Wyobraź sobie, że mnie śledzą! Witek, co prawda, twierdził, że zobaczył mnie przed biurem nieruchomości, bo akurat wychodził z kwiaciarni naprzeciwko, ale łże jak pies! Przecież on nigdy w życiu z własnej nieprzymuszonej woli nie kupił Aurelii żadnych kwiatów! Mówię ci, dziecko, że coś tutaj śmierdzi…

Nina mimowolnie zmarszczyła nos.

– Ale niczego im nie powiedziałaś?

– Oczywiście, że nie! – żachnęła się ciotka. – Za kogo ty mnie masz? Dyskrecja to moje drugie imię.

– I co powiedział ten pośrednik? Jak mu tam…? Iwańczyk?

– Iwanicki! Jamroży Iwanicki. Notabene wnuk mojego starego absztyfikanta z liceum. Oczywiście go nie chciałam, bo miał wiecznie czerwony nos. Jak renifer Rudolf!

– Ciociu, do rzeczy, co powiedział ten Rudolf? Nie, wróć, Jamroży!

– Był bardzo miły, nawet powiem ci, złociutka, szarmancki – rozpływała się Eugenia. – Kiedy mu wyłuszczyłam, o jaką lokalizację chodzi, od razu się zapalił. Podobno mieszkania w tych okolicach schodzą jak świeże bułeczki.

– Mówił o cenie? Ile mogę dostać? Wie, że to bardzo pilna sprawa?

– Oczywiście! Jego sekretarka wyśle ci szczegóły na maila. Zapewnił, że załatwi wszystko rach-ciach!

– Jesteś nieoceniona, ciociu. Czyste złoto!

– Ktoś musi – sapnęła. – Reszta familii, jak wiemy, buja w obłokach – podsumowała z sobie tylko właściwą ironią Eugenia, po czym odłożyła słuchawkę.

Po południu Nina wybrała się na jogging po parku Rijsterborgher. Przemierzała równym truchtem zielone alejki zatopione pośród pagórków okalających park. Zza ciężkich ołowianych

chmur w końcu wyszło słońce, które przeglądało się z ukontentowaniem w srebrzystej sadzawce z wysoką fontanną na samym środku tafli wody.

Tuż przy wejściu do hałaśliwej ptaszarni wpadła nagle na zawiązującego sportowy but Romea.

– W końcu znalazła się moja zguba! – Rozpromienił się na jej widok i rozłożył szeroko ramiona.

Nina objęła go mocno za szyję i ucałowała w oba policzki. Romeo zdawał się nieco zawiedziony.

– Wysłałem ci chyba z milion esemesów! Już nie wspominając o telefonach! – rzucił zaczepnie, przymykając żartobliwie jedno oko. – Przyznaj się, że po prostu o mnie zapomniałaś.

– Nigdy w życiu – obruszyła się Nina. – Ale masz rację, jestem beznadziejna w podtrzymywaniu kontaktów towarzyskich. Musisz mi wybaczyć…

– Po twoim ostatnim liście… wszystko ci wybaczam – powiedział miękko i zajrzał jej w oczy. – A jak się miewa czekoladowy Kosmek? On też z pewnością bardzo za tobą tęsknił.

Nina już otwierała usta, żeby zapytać, o jakim to, do diabła, liście mówił Romeo, gdy nagle tuż obok nich pojawiła się ubrana w czerwony obcisły dres długonoga i długowłosa blondynka. Wyglądała jak kopia młodej Claudii Schiffer. Na widok Romea zatrzymała się, wdzięcznie unosząc idealnie wyrysowaną prawą brew.

– Jak miło cię widzieć, *darling*! – Uśmiechnęła się, trzepocząc zalotnie gęstymi rzęsami. Rzucały długie cienie na jej zaróżowione i pięknie wymodelowane świetlistym różem kości policzkowe.

Nina pomyślała z popłochem o swojej „nagiej” twarzy, niemuśniętej dzisiaj (kto się pacykuje na jogging?!) nawet odrobinką pudru, i poczuła się nieswojo. Blond piękność uniosła szczupłe palce zakończone idealnie spiłowanymi w migdał paznokciami i dotknęła nimi ramienia Romea, nie zaszczycając Niny jednym spojrzeniem. Romeo wydawał się z lekka zakłopotany.

– Tak dawno się nie widzieliśmy – szczebiotała. – Kiedy wpadniesz w końcu do nas na Noordenbergstraat?

– Do was? – zająknął się Romeo. – Czyżbyś wprowadziła się do Valentijna? Nic o tym nie wiem…

Od kiedy pamiętał, jego brat, zagorzały zwolennik relacji typu LAT[2], mieszkał sam, twierdząc, że nie zniesie damskich fatałaszków na swojej designerskiej kanapie albo, co

gorsza, śladów fluidu na porcelanowej umywalce.

– Wielu rzeczy jeszcze nie wiesz, mój drogi. – Blondynka roześmiała się perliście i w końcu spojrzała na Ninę, z nieskrywaną niechęcią.

Ta odchrząknęła znacząco. Nie rozumiała z tej konwersacji ani słowa, ale najwyraźniej nikt tutaj nie zwracał na nią uwagi.

– Nie przedstawisz mnie swojej… towarzyszce, Romeo? – „Claudia Schiffer" ponownie zatrzepotała rzęsami.

Nina dała by sobie odciąć rękę, że były sztuczne.

– Ależ tak, oczywiście! Nina nie mówi po holendersku – powiedział, przechodząc automatycznie na angielski.

– Ach, rozumiem, to twoja nowa gosposia! Stąd ten przechodzony dresik… – Urwała, lustrując Ninę od stóp do głów. – Może dasz nam na nią namiar, ja tak kocham porządek, a Val jest okropnym bałaganiarzem.

– Nie szukam pracy – wtrąciła w końcu Nina. – Mam własny biznes w centrum. Sprzedajemy czekoladę, ale to przysmak dla wybrańców. A poza tym czekolada nie lubi plastiku…

– A co ma piernik do wiatraka? – Blondynka nie zrozumiała szytej grubymi nićmi aluzji.

Romeo za to dusił się ze śmiechu.

– To pędzę dalej, muszę jeszcze zamówić krewetki na romantyczną kolację we dwoje. To *ciao*, *darling*! I powodzenia z twoją… nową przyjaciółką. Zawsze miałeś specyficzny gust.

– Co to za harpia? – rzuciła Nina, kiedy blondynka zniknęła za zakrętem.

– Ha, ha, harpia. To określenie idealnie do niej pasuje. To Nicolette Harmsen. Jest specyficzna, ale niegroźna. Ma nadmuchane do granic możliwości ego, ale ty doskonale dałaś sobie z nią radę.

„Chyba nie tylko ego" – pomyślała złośliwie Nina, ale oczywiście nie powiedziała tego na głos.

– Skąd się znacie?

– To dziewczyna Vala – odpowiedział Romeo. – Co prawda nie miałem pojęcia, że do siebie wrócili, ale najwyraźniej znowu są parą. Nicolette wspomniała, że mieszkają razem w jego apartamencie.

– Doskonale do siebie pasują. Pewno nie robią przez cały dzień nic innego, tylko obmyślają, jak zatruć swoim jadem cały świat – rzuciła z ironią. Nigdy by nie przypuszczała, że ta plastikowa lala tak zepsuje jej humor.

Romeo przyglądał się jej z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Chodźmy już, zrobiło się chłodno. – Nie czekając na niego, ruszyła w stronę miasta. Biegła tak szybko, że ani się obejrzała, a stali już na placu de Brink.

– Ale masz tempo! Nawet w połowie nie dorównuję ci kondycją. – Zdyszany Romeo opierał się rękami o umięśnione uda i oddychał ciężko.

A tymczasem Nina krytycznie przyglądała się swojej sylwetce w witrynie sklepu z ubraniami *second hand*. Gdyby miała odrobinę większe piersi i minimalnie szczuplejsze nogi, nie byłoby jeszcze tak źle…

– Przepraszam, mówiłeś coś? – Zerknęła rozkojarzona na Romea. – Nawiasem mówiąc, zapomniałam przekazać ci serdeczne pozdrowienia od Benia.

– Wiele ostatnio ci umyka, może za ciężko pracujesz? – Podszedł blisko i zajrzał Ninie w oczy. – A za pozdrowienia dziękuję. – Uśmiechnął się ciepło. – To bardzo fajny dzieciak. Najlepsze jest to, że polubiliśmy się niejako bez słów.

Nina już chciała zapytać, czy tak samo polubił jego mamę, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. W tak delikatnej materii pośpiech nie był dobrym doradcą. Maniana musiała najpierw uporządkować swoje sprawy.

– Co robisz dziś wieczorem? – zapytał miękko Romeo. – Może wpadniesz do mnie na pastę? Wypróbuję nowy przepis… i mam świetny trunek z jednej z najstarszych winnic w Limburgii. Nazywa się Wijndomein St. Martinus. Jako pierwsi zaczęli produkować w Holandii czerwone wino… No ale właściwie chciałem mówić o czymś innym… Czy wszystko w porządku, Nino? Zachowujesz się dziwnie. Coś się stało? Dlaczego tak nagle musiałaś wyjechać do Polski? Możesz mi powiedzieć?

Nina już chciała pokręcić głową, ale w ostatniej chwili się zawahała. Może szukanie sojuszników w niedoli nie było takim złym pomysłem? Niby dlaczego miała ukrywać swoje problemy przed Romeem? Nie mogła nieustannie oglądać się za siebie i we wszystkich upatrywać wrogów.

– Niech będzie, skusiłeś mnie ty winem. – Roześmiała się. – Tylko nie myśl, że się wykpisz jedną butelką. Mam ochotę porządnie się upić.

– Jest aż tak źle? Bez obawy, moja piwniczka jest pełna. To do zobaczenia! I koniecznie musisz mi powiedzieć, co cię tak trapi. – Romeo puścił oko i podnosząc rękę do ust, odszedł w kierunku ulicy Lange Bisschopstraat.

Nina westchnęła ciężko i jeszcze raz zerknęła na swoje odbicie w szybie wystawowej. Może powinna w końcu kupić sobie nową sukienkę? Jej szafę wypełniały dżinsy, grube

swetrzyska i dresy, bardzo praktyczne, ale niekoniecznie kobiece. Zdążyła już zauważyć, że Holenderki nie lubiły się stroić. Na ulicach królowały sportowe, wygodne i bezkształtne outfity, trampki i crocsy. Chyba jeszcze nigdy nie widziała w okolicy kobiet w szpilkach, eleganckich kostiumach czy romantycznych sukienkach. Chociaż ta panna z parku… Jak jej tam… Nicolette… wyglądała na taką, co lubi obcisłe seksowne kiecki. Czuła się przy niej jak kocmołuch. Taka Nicolette na pewno nie wychodziła z domu bez pełnego make-upu i na pewno nigdy, ale to nigdy nie poplamiła żadnej bluzki sosem holenderskim i nie zatrzymywała oczka w rajstopach znalezionym pośpiesznie w torebce starym bezbarwnym lakierem do paznokci. Lubiła za to dyrygować i patrzeć na innych z góry. Pasowała do Valentijna! Byli siebie warci.

Nina przez chwilę myślała, że ponieważ spotkała go w roli wolontariusza w takim miejscu jak hospicjum, to być może wcale nie był taki zły, za jakiego go początkowo uważała, a rola oschłego cynika to maska, ale najwyraźniej się pomyliła. Valentijn nie miał w sobie ani krzty przyzwoitości, czyli od początku miała rację. Nie czuła jednak satysfakcji, tylko dziwny niesmak. Może więc kupno sukienki nie było wcale takim złym pomysłem i choć trochę osłodzi ten niezrozumiały żal? Albo, co gorsza, wyrzuty sumienia…

[2] ang. *living apart together* – być razem, mieszkać osobno

ROZDZIAŁ 17

Kolacja z wielkim finałem

Dwie godziny później Nina wróciła do domu z całym naręczem sukienek. Przechodząc obok szklanych drzwi Bombonierki, obładowana papierowymi torbami z logo popularnego domu towarowego, pochwyciła spojrzenie stojącej za kontuarem Marty. Dziewczyna na jej widok otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i po sekundzie podniosła oba kciuki, a potem trąciła łokciem przygotowującą kawę Isę. Obie zaczęły chichotać i robić głupie miny.

– Wariatki – mruknęła pod nosem Nina i pogroziła im palcem.

Wbiegła po schodach i postawiła pakunki pod lustrem w korytarzyku. Ciekawe, co by powiedziała Emma na taką rozrzutność? Odruchowo podeszła do drewnianej szafy ciotki i pogładziła gładką lakierowaną powierzchnię mebla. Ostatnio coraz częściej myślała o Emmie. Może dlatego, że podczytywała wieczorami jej pamiętnik. Był naszpikowany emocjami tak gęsto i intensywnie, że czasem odkładała zapiski po przeczytaniu zaledwie kilku zdań. Wzruszenie łapało ją za gardło szczególnie w momentach, kiedy notatki dotyczyły jej matki. Powoli rozumiała, w jaką straszliwą pułapkę wpadły zarówno Aurelia, jak i Emilia – co gorsza – pułapkę zastawioną przez babcię Dobrzycką na córki. Nina nie mogła pojąć, dlaczego Michalina była aż tak bezwzględna. Co nią kierowało i dlaczego tak je obie nienawidziła? Na próżno szukała odpowiedzi ukrytej pomiędzy zapisanymi ręką ciotki słowami.

Emma prowadziła swój pamiętnik nieregularnie. Czasem zapiski się rwały i Nina miała wrażenie, jakby ciotka sama bała się kreślić codzienne relacje, którym forma pisana nadawała status ostateczności. Chyba nigdy do nich nie wracała, bo czasem fakty się powtarzały.

Nagle szafa otworzyła się ze skrzypieniem. Nina spojrzała zdziwiona na antyczny mebel. Ze środka dochodził zetlały zapach słodkich perfum. Ostrożnie uchyliła drzwi. Na obciągniętych aksamitem wieszakach znajdowało się kilka eleganckich pokrowców na ubrania. Evelien pytała na samym początku pobytu Niny w Deventer, czy pomóc jej w porządkowaniu rzeczy po ciotce, ale Nina postanowiła, że to właśnie Evelien zadecyduje, komu i gdzie przekazać schedę po Emmie. Nikt nie znał jej lepiej. Te pokrowce… dziwne… była przekonana, że szafa jest pusta, ale najwidoczniej przyjaciółka ciotki zapomniała ją do końca uprzątnąć. Nina delikatnie pociągnęła za zamek pierwszego z brzegu pokrowca. Wychynął z niego delikatny koronkowy rękaw. Zaintrygowana Nina otworzyła zamek do końca i krzyknęła z zachwytu. W środku kryła się najpiękniejsza sukienka, jaką kiedykolwiek widziała. Prosta, rozkloszowana lekko spódnica, przysłonięty zazdrośnie koronką głęboki dekolt i szeroki pas otulający ciasno talię siateczką naszytych gęsto drobniutkich perełek. Nina ostrożnie wyjęła to cudo i przyłożyła do siebie, próbując dojrzeć kontur sylwetki w przyprószonym lekko kurzem zwierciadle. Po chwili obróciła się wokół własnej osi. Spódnica zakołysała się zalotnie, a spomiędzy jej fałd wydobyły się srebrzyste refleksy. Jak to dobrze, że Evelien nie zdążyła nikomu oddać tej sukienki. Była taka jej! Nawet rozmiar się zgadzał! Nina już zapomniała o tych kilku szmatkach, które z takim zapałem kupiła w mieście. Najwyraźniej Emmie nie spodobał się jej wybór i dała jej z góry znak, że w jej własnej szafie czeka na nią ta perełka. Może powinna ją włożyć dzisiaj wieczorem? To nieformalna kolacja, ale kto powiedział, że nie może wyglądać na niej jak milion dolarów?

W tym samym czasie Romeo z satysfakcją rozglądał się po swoim obszernym apartamencie. Z kuchni dochodziły smakowite zapachy pikantnych i egzotycznych przypraw, tak pięknie komponujących się z wysmakowanym wnętrzem domu. Romeo uwielbiał barwne tkaniny, aksamitne zasłony, kwiaty w wielkich szklanych słojach i stylowe dodatki, które nadawały wnętrzom ciepłego i niepowtarzalnego charakteru. Miał podobny gust do matki. Vera Jeurissen była z zawodu dekoratorką wnętrz i podobnie jak jej młodszy syn lubowała się w palecie ciepłych barw. Często jeździli razem na wystawy, spacerowali po parku, obserwując budzącą się do życia przyrodę, szperali w zwojach materiałów na targach staroci, potrafili zainspirować się nawet kawałkiem kolorowego szkła na chodniku. Mama po mistrzowsku szukała natchnienia we własnych doświadczeniach, emocjach oraz nieograniczonej żadnymi schematami studni wyobraźni. Szkoda, że nie miała okazji zobaczyć, jak urządził swój dom.

Wiedział, że na pewno w wielu elementach odnalazłaby siebie. Tak mu jej brakowało. Miał wrażenie, że z każdym dniem coraz bardziej…

Przy drzwiach rozległ się nagle krótki urywany dzwonek. Nina była punktualna, podobnie jak on, gdyż nienawidził się spóźniać. Szybko przygładził wijące się na karku włosy i starannie zapiął górny guzik błękitnej koszuli. „Valentijn zamiast zapinać guziki, raczej by rozpiął kilka dodatkowych" – roześmiał się w duchu. Rzucił ostatnie spojrzenie na apartament i pośpieszył do drzwi.

Kiedy zobaczył Ninę, przez chwilę zabrakło mu tchu w piersiach. Po raz pierwszy od kiedy się poznali, widział ją w tak eleganckiej i kobiecej sukience. Miała upięte do góry włosy i czerwoną pomadkę na kształtnych ustach.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz? – Roześmiała się krótko, zalotnie. – Źle wyglądam? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, postąpiła kilka kroków.

Romeo poczuł osiadający na jego skórze delikatny jak mgiełka świeży kwiatowy zapach dobrych perfum.

– Jakie piękne mieszkanie, Romeo! – zawołała oczarowana feerią barw. – Kto pomagał ci je urządzać?

– Praktycznie wszystko zaprojektowałem sam – przyznał szczerze. – Aranżacja przestrzeni to moje hobby. Nie jestem wbrew pozorom tylko prostym piekarzem albo… jak to kiedyś rzekłaś… croissantem. – Mrugnął zawadiacko okiem.

– A to akurat określenie, którym uraczyłam twojego braciszka – zripostowała błyskawicznie Nina. – O tobie nigdy bym tak nie powiedziała. Jesteś taki… inny niż on. I masz zdecydowanie lepszy gust – dodała, ponownie zerkając na ciepłe wnętrze.

– Obawiam się, że w tej materii Val jest bardziej utalentowany niż ja – przyznał uczciwie Romeo. – Również zna się na wnętrzarstwie, ale preferuje surowe, raczej industrialne formy. W jego mieszkaniu hula wiatr, bo nie znosi żadnych zbędnych, jak sam mówi, durnostojek. Za to od wielu lat gra na skrzypcach. Ma słuch absolutny. Odziedziczył ten talent po naszym dziadku, który grał w orkiestrze królewskiej. Gdyby nie lenistwo, Val na pewno zaszedłby bardzo daleko. A teraz… grywa czasem dla przyjaciół i swoich podopiecznych z hospicjum De Winde. Myślę, że daje mu to sporo frajdy. Nigdy nie zależało mu na światłach jupiterów, choć może czasem sprawia takie wrażenie.

– Nie tylko czasem… – mruknęła i podeszła do ogromnej marmurowej wyspy, na której stały już eleganckie czarne talerze obramowane złotym rantem.

W garnkach na płycie indukcyjnej coś pyrkotało zachęcająco. Nina pociągnęła nosem i usadowiła się na jednym z designerskich chromowanych hokerów.

– Nakryłem stół w jadalni. – Romeo cały czas patrzył tylko na Ninę, nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Lubię przebywać w kuchni… Kiedy byłam mała, mama sadzała mnie na blacie i „gotowałyśmy" razem. Miała ze mną więcej pracy niż pożytku, gdyż musiałam wszystkiego dotknąć i wypróbować. Rozsypywałam wokół mąkę, rzucałam kryształkami cukru, dekorowałam kafelki rodzynkami… – Nina uśmiechnęła się do własnych wspomnień. – Te wspólne sesje gotowania z mamą nauczyły mnie jednego… Że nie można bać się eksperymentowania. Nie tylko w kuchni, przede wszystkim w życiu. Chyba dlatego tutaj jestem. Gdybym bała się zaryzykować, Bombonierka już dawno byłaby w obcych rękach. Zresztą to niewykluczone…

– O czym ty mówisz? – Romeo zmniejszył moc grzania pod rondlem i wyjął z szafki ogromną szklaną misę. Na drewnianej desce leżały już przygotowane sałata i dorodne pomidory.

– Ciotka Emma przepisała kamienicę i Bombonierkę na moje nazwisko. Po jej śmierci ujawnił się jeszcze jeden spadkobierca, syn Juliana van Toorna, Richard. Chce podważyć testament i robi wszystko, żeby udowodnić, że Emma bezprawnie go pominęła – wyjaśniła Nina.

– To niewiarygodne! Przyznam szczerze, że nigdy o nim nie słyszałem. Często wpadałem do Emmy na kawę i pogaduszki, ale nigdy nie wspominała o żadnym Richardzie.

– O mnie też nie, a jednak istniałam. I nadal jestem – słusznie zauważyła Nina.

– I już sobie nie wyobrażam, że mogłoby cię nie być – miękko powiedział Romeo. – Naleję ci wina i porozmawiamy w salonie. Podobno moja kanapa jest bardzo wygodna. Zaraz wykładam pastę na talerze.

– Pomogę ci. – Nina wstała z hokera i przygładziła sukienkę. – Co dzisiaj serwuje *cucina à la Romeo*?

– Przygotowałem coś bardzo prostego. Jak mawiał mój ojciec, największą sztuką w kuchni jest stworzenie potrawy, która składa się z kilku podstawowych składników, a wywołuje na naszych podniebieniach nieskończony zachwyt.

Ojciec używał, co prawda, innego określenia, ale słowo „orgazm" wydawało się Romeowi w tej chwili nie na miejscu.

– Moje kubki smakowe już szaleją. Nie wspominając o nosie! – Nina mrugnęła zawadiacko.

– Wymyśliłem spaghetti *aglio e olio.* Zawiera tylko kilka elementów. Kluczem do sukcesu jest tutaj dobra koordynacja działań. Dlatego ja zajmę się teraz sosem, a ty możesz rozlać wino do kieliszków. Butelka stoi na ławie w salonie.

Nina wolnym krokiem przeszła w głąb mieszkania. Na długiej komodzie z litego drewna, której drzwiczki ozdobione były kasetonami z florystycznymi rzeźbieniami, stało kilka zdjęć w prostych jasnych ramkach. Na jednym z nich widniała roześmiana para. Kobieta w białych dżinsach i kusej bluzeczce odsłaniającej płaski brzuch obejmowała mocno wysokiego bruneta w dżinsowej koszuli. Za nimi widać było pasiaste parasolki w kawiarni jakiegoś nadmorskiego kurortu. Romeo był bardzo podobny do matki. Valentijn miał nieco twardsze rysy swojego ojca i jego zielone oczy. Nina delikatnie pogładziła cienką taflę szkła, którym zabezpieczono fotografie. Nawet nie potrafiła wyobrazić sobie tej tragedii i wyrwy w sercu, której nie sposób było przecież niczym wypełnić. A jednak młodzi Jeurissenowie musieli się nauczyć jakoś żyć z raną po stracie dwojga najbliższych sobie osób.

Za plecami Niny pojawił się bezszelestnie Romeo. Postawił parujące talerze na stole i przyglądał się bez słowa dziewczynie trzymającej w obu dłoniach fotografię jego rodziców.

– Wszyscy mówią, że jestem podobny do mamy – odezwał się nagle.

Nina drgnęła.

– To prawda – potaknęła, odwracając się w jego stronę. – Macie takie same oczy. I usta.

Romeo zacisnął mocno szczęki. Przez chwilę wydawało się, jakby chciał coś ważnego powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– Zapraszam do stołu, Nino. Mam nadzieję, że nigdy nie zapomnisz mojej wersji *aglio e olio* i będziesz do niej wracać.

„I do mnie też" – dodał w myślach.

Dwie godziny później, zaśmiewając się do rozpuku, nasyceni wyśmienitą pastą, siedzieli na kanapie. Nina opowiadała ze swadą o początkach z księgarnią, o ankiecie, którą wymyśliły z Marianną po to, żeby lepiej poznać swoich klientów. Romeo przyznał szczerze, że nigdy nie wpadłby na tak doskonały pomysł. Jego początki w biznesie wyglądały zdecydowanie bardziej dramatycznie. Lubił się bawić w kucharza w zaciszu rodzinnego domu, ale na samą myśl o tym, że miałby to robić profesjonalnie do końca życia, dzień w dzień, włos mu się jeżył na głowie. Ale przewrotny los dał mu prztyczka w nos i sprawił, że nie wyobrażał już sobie życia

bez mąki i croissantów. Czasem to, co z początku wydaje nam się obce, w końcu umiemy pokochać.

Z głośników sączył się aksamitny głos Gordona Haskella, który wypełniał przestrzeń ciepłymi i sensualnymi wibracjami.

– Nino… – Romeo po drugim kieliszku wina w końcu zebrał się na odwagę. – Nie chcę naciskać, ale… od czasu, kiedy wysłałaś mi ten list, wydajesz się jakby bardziej odległa. Nie rozumiem tego… Twoje słowa sprawiły mi tyle radości…

Nina o mały włos nie wypluła przełykanego właśnie wina na tapicerkę.

– O jakim liście mówisz? – Ze zdumieniem spojrzała na Romea.

– Tym do mnie. Miłosnym. Dostałem go tuż przed twoim niespodziewanym wyjazdem do Polski.

– Mogę go zobaczyć? – szepnęła z nieudolnie ukrywanym przerażeniem.

Romeo sięgnął po leżącą na szerokim oparciu kanapy książkę i wyjął spomiędzy stronic pognieciony bilecik z logo Bombonierki.

Od zawsze byliśmy sobie przeznaczeni, liefje.
Wierzę, że od teraz czeka nas wspólna droga.
Powiedz, że i Ty tego chcesz.
Kocham Cię!
N.

Nina zamrugała z niedowierzaniem, a potem jęknęła głośno. W starannie wykaligrafowanych okrągłych literkach rozpoznała pismo Isy. O losie! To przecież zaginiony bilecik dyrektora browarów DAVO Norberta Jolinka! Tylko w jaki sposób, do diaska, trafił w ręce Romea? I co miała mu teraz powiedzieć?

– Nalej mi jeszcze wina! Najlepiej od razu całą butelkę!

„Albo kanister!" – pomyślała w panice.

Kiedy Romeo napełnił kieliszek limburskim specjałem, Nina desperacko wypiła duszkiem całą zawartość. Wytarła szybko usta i ponownie zerknęła na butelkę.

– Hola, hola, nie za szybko? – Romeo spojrzał na nią lekko przerażony. – Winem trzeba się delektować, to nie woda… I co z tym listem? Wydajesz się kompletnie zdezorientowana, tak jakbyś w ogóle nie pamiętała, że go napisałaś. Nina… mnie możesz powiedzieć wszystko. Co jest grane? A może… może ty mnie w ogóle nie lubisz?

– LUBIĘ! – krzyknęła Nina, chwyciła wino, nalała sobie hojnie i ponownie wychyliła pełen kieliszek. – Nawet… bardzo lubię!

– Nawet bardzo… Wszystko jasne… – Romeo pokręcił głową. – Jak zwykle coś sobie ubzdurałem. Mam w tym wprawę. Tylko zastanawiam się po raz kolejny, co jest ze mną nie tak. Od kiedy pamiętam, dziewczyny chciały się ze mną przyjaźnić, zwierzały ze swoich sekretów, ale do łóżka chodziły z Valentijnem. Sorry za szczerość, ale jesteśmy dorosłymi ludźmi. Choć, jak widać, dorośli potrafią kręcić bardziej niż dzieci.

Nina chciała coś powiedzieć, ale nagle kanapa z siedzącym w rogu Romeem zaczęła się kołysać jak łódka, a potem powoli odpływać na środek salonu. Wyciągnęła ręce, próbując ją złapać, ale jej ramiona okazały się za krótkie. Popatrzyła teraz z wyrzutem na swoje dłonie. Wydały jej się niezwykle zabawne, jak macki ośmiornicy, która postanowiła pomalować krótkie paznokcie perłowym lakierem. Próbując wstać, zachwiała się i wpadła prosto w ramiona Romea. Objął ją mocno, pochylając twarz nad jej rozchylonymi ustami. Czuła promieniujące od niego ciepło. Dotyk jego silnych dłoni nie był jej niemiły. Świat wirował nad głową, musiała więc znaleźć jakiś stały punkt. Nie namyślając się długo, niespodziewanie przywarła wargami do jego ust. Wpił się w nie zachłannie, ale trwało to tylko sekundę.

– To nie jest dobry pomysł, Nino – powiedział chrapliwym głosem. – Jutro byś tego żałowała. A ja nie chcę być twoim przypadkowym wyborem dokonanym po winie. A, niestety, wszystko wskazuje na to, że tylko na to mam szansę.

Nina mamrotała coś niezrozumiale, przymknęła powieki i zarzuciła ręce na jego szyję. Jej zapach i bliskość powodowały, że i jemu kręciło się w głowie. Z tą tylko różnicą, że on był kompletnie świadomy. Włosy Niny łaskotały go w nos. Ogarnęła go czułość. Jak mógł pozwolić, żeby aż tyle wypiła? Sam zaledwie umoczył usta w kieliszku, ale najwyraźniej Nina potrzebowała się znieczulić alkoholem. A on w końcu powinien przestać marzyć o niebieskich migdałach. Przecież ona go nie chciała… Miał teraz dwa wyjścia – albo obrazić się na Ninę na śmierć i udawać zranionego adoratora, albo po prostu zaakceptować, że w jej życiu uczuciowym nie było dla niego miejsca. Nie chciał jej tracić. Mieli podobne poczucie humoru, umieli ze sobą rozmawiać i być dla siebie wsparciem. Ale teraz musiał ogarnąć to… alkoholowe pobojowisko! Będzie musiał zanieść Ninę na górę, do swojej sypialni. Sam prześpi się pod kocem na kanapie. Nina na pewno przeżyje szok, gdy obudzi się rano w obcym łóżku, ale nie mógł pozwolić, żeby wróciła do domu w takim stanie. Co by na to powiedziała Evelien? Albo, co gorsza, jego własna mama? Często w różnych sytuacjach zastanawiał się,

jak by postąpiła Vera. Uczyła go szacunku do kobiet i zawsze powtarzała, że na prawdziwą miłość warto czasem czekać całe życie.

– A jeżeli nigdy nie nadejdzie? – pytał przekonany, że mama zna odpowiedź na każde pytanie.

– Jestem bardziej niż pewna, że w końcu ją spotkasz, Romeo. Jesteś wyjątkowy, synu. Każda dziewczyna chciałaby mieć cię za towarzysza życia.

Romeo spojrzał na pochrapującą cicho Ninę. Najwyraźniej nie ta, którą sam sobie wybrał. Mógłby stanąć na głowie, a Nina i tak nie patrzyłaby na niego tak, jak mama patrzyła na ojca. Chciał tylko takiej miłości. Żadna inna go nie zadowalała. Tak jak mawiał Valentijn – do najlepszych croissantów potrzebne jest prawdziwe masło, a do miłości szczere uczucie i ogień.

Nina wymamrotała głośno znajome imię. Romeo nadstawił ucha. Nie, to niemożliwe, musiało mu się przesłyszeć. Najwyższa pora zanieść teraz amatorkę limburskich win do łóżka. Zważywszy na ilość alkoholu, który wypiła, czeka ją jutro bardzo ciężki dzień.

ROZDZIAŁ 18

Kac i katastrofa

Valentijn klął na czym świat stoi. Miał już dość tych ciągłych fochów i narzekań! Nicolette była ostatnio nie do zniesienia. A on nie miał zamiaru dać sobą rządzić, co to, to nie! Niepotrzebnie zgodził się na wspólne mieszkanie, ale naprawdę miał nadzieję, że nie będą sobie wzajemnie wchodzić w drogę. Oboje mieli wybuchowe charaktery wiecznych liderów, ale Val przyzwyczaił się już do burzliwych związków, w których nigdy nie brakowało włoskich temperamentnych kłótni.

Kiedy Nicolette wprowadziła się do jego apartamentu, przez kilka dni czuli się jak zakochane w sobie po uszy małżeństwo w słodkiej i do bólu kiczowatej bajce „i żyli długo i szczęśliwie". Nicolette od razu zaanektowała połowę jego gigantycznej garderoby, wyrzuciła z półek kurzące się na nich od lat stare puchary, jeszcze z czasów, kiedy grał w drużynie młodzików w miejscowym klubie piłkarskim Go Ahead Eagles. I to było OK, nawet okiem nie mrugnął. Potem przemeblowała mu prawie całą kuchnię, marudząc, że sprzęty nie są wystarczająco designerskie („Jak ty możesz żyć bez blendera KitchenAid z jedenastostopniową regulacją prędkości miksowania?"). Dzień później powiesiła nad łóżkiem w sypialni jakiś bohomaz z galerii sztuki w Rotterdamie, przedstawiający dwie kopulujące butelki od mleka („Ach, Val, ty się na tym nie znasz, ale za kilka lat zgarniemy za niego tysiące euro, uwierz mi!"). I tę spożywczą sodomę i gomorę przełknął z godnością, ale kiedy Nicolette zaczęła się dobierać do jego skrzypiec, miarka się przebrała.

– Val! Czy ty naprawdę musisz gromadzić tutaj te wszystkie… pudła? – mówiła, krzywiąc idealnie wymalowane usta i wskazując oskarżycielskim palcem na Bogu ducha winne instrumenty.

– *Schat*, w pudłach to można co najwyżej trzymać twoje drogocenne *loubies*. – Z trudem ukrywał w głosie ironię przeplecioną z irytacją. – Ja przechowuję skrzypce w FUTERAŁACH.

– A co to za różnica? – Wzruszyła ramionami. – Pudło to pudło. Naprawdę nie zabraniam ci na nich grać, też lubię sztukę, ale w garderobie trzyma się ubrania! UBRANIA!

Szczerze wątpił, żeby lubiła sztukę, chyba że w formie kopulującego szkła, ale nie skomentował tego. Nie zamierzał jednak ustąpić.

– Nie sądzę, żebyś miała nawet minimalne pojęcie o zasadach przechowywania instrumentów, ale w ogromnym skrócie nadmienię, że skrzypce wykonane są z drewna, które jest bardzo podatne na warunki zewnętrzne. Na przykład słońce bardzo im szkodzi…

– Tak, słońce postarza! Oczywiście, że o tym wiem! – Nicolette się ożywiła. – Promieniowanie UV i te sprawy. To może przenieś te antyki do piwnicy?

– W piwnicy jest wilgoć, błagam cię!

– To wilgoć czy słońce, zdecyduj się na coś, bo kręcisz! I uprzątnij w końcu te ręczniki w łazience. Dlaczego wieszasz je na drzwiach? Przecież to zaburza kolorystykę tego wysmakowanego wnętrza! Zaraz, chwileczkę, dlaczego zakładasz kurtkę? Wychodzisz gdzieś? Mieliśmy obejrzeć razem ostatni sezon. VAL! *Godverdomme,* oszalałeś, wracaj natychˆ…

Trzasnął drzwiami, związał gumką wijące się na karku włosy i zbiegł po schodach na ulicę. Pomimo panującego na niej gwaru miał wrażenie, jakby znalazł się w kokonie kojącej ciszy. Wreszcie uwolnił się od tego zrzędzenia.

Pora spojrzeć prawdzie w oczy – Valentijn Jeurissen nie nadawał się do związków! „W kontaktach z ludźmi jestem jakiś upośledzony. Tu nie chodzi tylko o kobiety. Nawet z własnym bratem nie potrafię się dogadać” – myślał gorączkowo, maszerując w kierunku placu de Brink. Miał ochotę porządnie się napić i choć na chwilę zatonąć beztrosko w oparach alkoholu. Najlepiej będzie, jak wstąpi do pubu Czarownica, na rogu de Brink i Boterstraat. Przesiadywali tam zawsze jego skorzy do pogawędek znajomi z liceum. Lepszych kompanów do kufelka próżno byłoby szukać w całym Królestwie Niderlandów. Właściciele Czarownicy sprowadzali najlepsze trunki z całego świata, a w ofercie mieli ponad sto marek piwa, więc na pewno i tym razem znajdzie tam coś na swoje smutki. Najlepiej z jak największą mocą procentów.

Istotnie, dwie godziny później pochmurne niebo w głowie Vala nieco się rozpogodziło. Z lekka zawiany, podśpiewywał pod nosem ulubione szanty. Na zewnątrz zapadł już mrok, ale de Brink migotał romantycznie milionem światełek rozwieszonych na sznurach, które oplątały grube pnie okalających plac kasztanowców. Kiedy Val spojrzał w końcu w rozświetlone okna

swojego mieszkania, mina mu zrzedła. Nie miał najmniejszej ochoty na ponowną konfrontację z Nicolette. Dokładnie znał cały scenariusz tego przedstawienia. Najpierw będzie musiał ją przepraszać na kolanach (za co?), a potem pójdą do łóżka. Rano przy śniadaniu padną łzawe deklaracje i obietnice poprawy, a potem wszystko wróci na dawne tory.

Na samą myśl o tym teatrze kukiełek i pozorów wszystko podchodziło mu do gardła. Nie namyślając się ani chwili, zrobił w tył zwrot, po czym sięgnął do kieszeni dżinsów i wyciągnął z niej pęk kluczy. Zaraz, zaraz, gdzieś tu powinien być… srebrny, płaski, kwadratowy… Jest! Pan Bóg nie od parady wymyślił instytucję rodziny. Ten nudziarz Romeo z pewnością siedział w domu, czytał jakąś romantyczną powieść dla bab i nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby starszy braciszek przekimał się na kanapie w salonie. A rano… Rano się zobaczy!

Z wieży kościoła Świętego Lebuina rozległ się donośny dźwięk dzwonów. Valentijn zmarszczył czoło i zerknął na zegarek. Wszystko wskazywało na to, że właśnie minęła dwunasta. Kompletnie stracił poczucie czasu. Przyśpieszył kroku i zaśmiał się złośliwie w duchu. Romeo na pewno nie spodziewa się go w swoich gościnnych progach o tej porze! Zasapany wdrapał się na ostatnią kondygnację monumentalnej siedemnastowiecznej kamienicy, w której mieszkał brat. Mimo licznych petycji mieszkańców w budynku nadal nie zainstalowano windy, czemu sprzeciwiał się stanowczo lokalny konserwator zabytków. W tej chwili Val bez wahania udusiłby go gołymi rękami. Z trudem łapał oddech i słaniał się na nogach jak stuletni starzec, wdrapując się po wąskich i stromych schodkach. *Fuck!* A nawiasem mówiąc, wypadałoby trochę popracować nad kondycją.

Ostrożnie włożył klucz do zamka i nacisnął klamkę. W apartamencie brata panowały egipskie ciemności rozproszone nieco wpadającym do środka przez ogromne okna światłem z ulicznej latarni. Val potknął się o jakieś stojące w progu buty i wyrżnął ramieniem o drewnianą szafę. Zaklął cicho, aczkolwiek dosadnie i po omacku skierował się ku stojącej w salonie sofie. Nie zamierzał korzystać z łazienki, trudno, od brudu się nie umiera. Najwyżej Romeo będzie rano marudzić, że w jego wychuchanym mieszkaniu śmierdzi browarem. Brat nie zwykł pijać piwa, tylko jakieś tam swoje winne francuskie specjały. Jak oni mogli wychować się pod jednym dachem? Tak różne upodobania, charaktery, gusta, nawet w kwestii pieprzonych trunków. Jak to możliwe, że w ich żyłach płynęła ta sama krew? Nie, stop! Wchodził teraz na grząski grunt! „Ani słowa o rodzicach, durniu!" – upomniał samego siebie i już miał z ulgą zlec na miękkich poduszkach, gdy wtem w ostatniej chwili kątem oka dostrzegł leżący na kanapie zarys jakiejś sylwetki.

– *What the hell*? – Przetarł oczy i wytężył wzrok.

Nie do wiary! Jego idealny braciszek bez skazy chrapał sobie w najlepsze w salonie w UBRANIU! Na stoliku poniewierały się jakieś kieliszki i opróżniona butelka wina. Czyżby naprędce zorganizowana imprezka wymknęła się spod kontroli? Niewiarygodne! Valentijn zaśmiał się pod nosem. Może w końcu Romeo zacznie przypominać normalnego faceta? Lepiej późno niż wcale. Ten jego kryształowy wizerunek naprawdę robił się nudny. A Valentijn nie znosił nudziarzy. No dobrze, skoro nawrócony na złą drogę młody Jeurissen zdecydował się na nockę w salonie, jego starszy brat nie może okazać się draniem i pozwoli nieborakowi wyspać się na własnej kanapie. Sam położy się w sypialni pana domu, w jego pustym małżeńskim łożu.

Ściągając po drodze koszulę i rzucając ją byle gdzie w połowie schodów, Valentijn wspiął się na górę. Otworzył ciężkie przesuwne drzwi i wzdychając ciężko, położył się w miękkiej pościeli. Naciągnął kołdrę aż po sam nos i prawie momentalnie zapadł w głęboki sen. Śniło mu się, że leży nad brzegiem lazurowego morza na przyjemnie łaskoczącym plecy złotym piasku, a półnagie dziewczyny donoszą mu coraz to lepsze i bardziej kolorowe drinki z parasolkami. Kiedy delektował się już piątym z kolei trunkiem, nagle jedna z dziewczyn wyrwała mu kieliszek z ręki i zaczęła boleśnie okładać po głowie.

– Co jest grane?! – wrzasnął do niej oburzony i… poderwał się z poduszek, przecierając zaspane oczy. – Gdzie ja, u diabła, jestem? – mruknął i w tym momencie spadł na niego kolejny cios.

– Co ty, do cholery, robisz w moim łóżku?! – krzyczała na niego obleczona w jakieś powabne koronki… nie może być… panna Bombonierka!

To nie mogło się dziać na jawie. Val uszczypnął się w przedramię. Auć, zabolało!

– Dla ścisłości, to nie jest twoje łóżko! – odparował i zgrabnie uchylił się od kolejnego ciosu. – To raczej ja powinienem zadać ci to pytanie i, na litość boską, przestań mnie walić po głowie! Odbiło ci?

Nina sapnęła z furią i w tym momencie napotkała swoje spojrzenie w wiszącym naprzeciw łóżka ogromnym kryształowym lustrze. Jej piersi wychylały się zalotnie z koronkowego stanika. Błyskawicznie zakryła je kołdrą i łypnęła złym wzrokiem na najwyraźniej rozbawionego całą sytuacją rozpartego na poduszkach Valentijna.

– Ostrzegam cię! – warknęła. – Jeżeli dotknąłeś mnie choćby jednym palcem… – syknęła i poczuła, że zaczyna jej wirować w głowie.

Jęknęła cicho i złapała się za skronie. Jak mogła wejść do łóżka z tym typem? Zdecydowanie za dużo wypiła. Wino? Tak, wino… Wytężyła pamięć. Ale przecież sączyła je

z Romeem. Gdzie on się, do diabła, podział? I skąd wziął się tutaj ten gbur Val? Najgorsze, że niczego więcej nie mogła sobie przypomnieć. Czarna dziura! A jeżeli oni…? „Nie, nawet o tym nie myśl" – upomniała się i wzdrygnęła z obrzydzeniem.

– Czy my… ja… – wydukała z trudem, starając się nie patrzeć na tego padalca obok. Wydawał się rozbawiony tą niezręczną sytuacją.

– Jeżeli masz na myśli seks… – zaczął bezlitośnie. – Niewykluczone, że do czegoś między nami doszło. – Ziewnął znudzony. – Szczerze mówiąc, urwał mi się film, podobnie jak tobie. Chociaż nie sądzę…

Obrzucił taksującym i sarkastycznym spojrzeniem okrywającą jej wdzięki wymiętoszoną kołdrę. Ciotka Eugenia powiedziałaby z pewnością, że wygląda jak wyciągnięta psu z gardła.

Nina jęknęła rozdzierająco i zasłoniła dłońmi oczy. Poranne światło zdecydowanie nie dodawało jej dzisiaj energii. W głowie huczało, jakby ktoś rozwiercał mózg młotem pneumatycznym. Kac! Ostatni raz miała go w… liceum?

Tymczasem na schodach rozległy się kroki i w drzwiach sypialni pojawił się Romeo. Niósł tacę z parującym kubkiem z kawą i świeże bułeczki. Kiedy zobaczył znajome towarzystwo w swoim własnym łóżku, momentalnie zrzedła mu mina, a taca wymsknęła mu się z rąk. Kubek z hukiem roztrzaskał się o drewniane panele, obryzgując brązowym płynem leżącą na podłodze śnieżnobiałą narzutę.

Na widok brata Val podskoczył z radości.

– Jak to miło z twojej strony, mój drogi, że pomyślałeś o mnie i o moim kacu! – rzucił, przeciągając się bez żenady. – Marzę o filiżance dobrej mokki! A właściwie o dwóch. No co tak sterczysz, jakbyś widział mnie po raz pierwszy w życiu? I czemu marnujesz tak dobrą kofeinę?

– Co to ma, do cholery, znaczyć?! – wrzasnął w końcu Romeo. – Co wy tu robicie? Razem?! – Jego twarz poczerwieniała, a w oczach pojawiły się gniewne błyski.

– To nie tak jak myślisz… – zaczęła Nina, ale Romeo nie zaszczycił ją nawet jednym spojrzeniem.

– Myślę, że najlepiej będzie, jak już sobie pójdziecie! OBOJE! – przerwał jej, patrząc gdzieś w przestrzeń ponad wezgłowiem łoża. – I nie sądzę, żebym był zainteresowany jakimkolwiek mętnym tłumaczeniem tej JASNEJ dla mnie sytuacji! – Odwrócił się na pięcie i z impetem zasunął za sobą szklane drzwi sypialni.

Nina ponownie jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

– Histeryk! Przejdzie mu – mruknął pod nosem Val. – To co robimy z tym melodramatem, panno Czekoladko? – zapytał lekkim tonem. – Chyba stąd… spadamy? Tylko gdzie ja, do cholery, zostawiłem swoje dżinsy?

Nina już go nie słuchała. Czym prędzej wyskoczyła z łóżka i chwyciła starannie przewieszoną przez poręcz krzesła sukienkę. Gdyby mogła, najchętniej zaszyłaby się w mysiej norze. Ona i Val w jednym łóżku! Jak mogła do tego dopuścić?! Tym razem chyba nawet wszechwiedząca ciotka Eugenia nie znalazłaby odpowiedniego określenia na to, co się właśnie wydarzyło. Prawdziwa katastrofa!

ROZDZIAŁ 19

Światełko w tunelu

Częstochowa, 1977

Emilia mocno ściskała w dłoni ebonitową słuchawkę telefonu stojącego na biurku matki przełożonej. Słuchawka kleiła się do jej spoconej skóry, dlatego co chwilę wycierała ją o szeroki rękaw habitu.

– I jak ci tam jest, siostrzyczko? – po drugiej stronie słuchawki rozległ się głos Aurelii.

Emilia słyszała go tak wyraźnie, jakby Relka stała obok. Zdawało się jej nawet, że czuje delikatny zapach rumiankowego szamponu, którymi siostra zawsze myła włosy.

– Niczym się nie martw. Jest dobrze – odpowiedziała szybko i zerknęła za siebie. Drzwi do sekretariatu były uchylone i przełożona w każdej chwili mogła wejść do środka. – Nie mam, co prawda, zbyt wiele czasu dla siebie, rano jestem na modlitwach, potem msza święta, rozmyślania…

– A telewizor? Macie tam telewizor? – W głosie Relki zabrzmiało zniecierpliwienie. – Czy zabraniają wam oglądać amerykańskie seriale?

– Nie, w ogóle! – skłamała gładko Emilia.

W ciągu tych kilkunastu tygodni udało się jej raz obejrzeć jakiś religijny film, ale tuż po emisji, kiedy wyłączyły odbiornik, socjuszka Klarysa, wydymając lekko wąskie wargi, wypaliła:

– Mój telewizor jest na tronie w górze. To Jezus w monstrancji. To w niego najchętniej się wpatruję! I wam to polecam, drogie siostry! To, czym się karmimy i czym zaśmiecamy swój

umysł, jest niezwykle ważne, dlatego radzę dokonywać mądrych wyborów. – W tym momencie popatrzyła na Emilię.

Ta poruszyła się niespokojnie. Klarysa miała tak przenikliwie spojrzenie, jakby umiała czytać w cudzych myślach. A Emilia bardzo nie chciała, żeby ktokolwiek, a szczególnie tak oschła i kostyczna zakonnica, mógł wiedzieć, jak bardzo nie chciała tam być.

– A co jecie? Ja właśnie zrobiłam sobie jajecznicę… – paplała Aurelia.

Emilia roześmiała się bezwiednie.

– Dużo wędliny, bo po wędlinie człowiek ma więcej siły i ta werwa dłużej trzyma. Jest też chleb, biały ser. Czasem kaszanka w poniedziałek, czasem ryba w piątek. Jajecznicę mamy średnio raz na rok, bo trudno usmażyć ją dla tylu osób. – Mówiąc to wszystko, Emilia czuła się tak, jakby recytowała wyuczoną wcześniej nie swoją lekcję. Tak jakby te słowa przepływały przez nią, a wypowiadał je ktoś inny.

– Dlaczego ty to zrobiłaś? – wyszeptała nagle Aurelia. – Przecież… na litość boską, nawet nie lubiłaś chodzić do kościoła! Mama…

– Muszę już kończyć – przerwała jej w pół słowa Emilia. – Zadzwonię wkrótce. A ty… dbaj o siebie. – Odłożyła na widełki pokrytą drobniutkimi kropelkami potu słuchawkę.

Jeszcze tego brakowało, żeby Aurelia zaczęła coś podejrzewać. Musiała udawać, szczególnie przed nią, że wszystko jest w najlepszym porządku. A matka… matka tym bardziej musiała tak myśleć. Tylko wtedy Aurelia była bezpieczna.

Drzwi skrzypnęły. Emilia drgnęła. Do środka weszła matka przełożona. Właściwie to wsunęła się bezszelestnie jak cień.

– Cały czas tutaj jesteś? – zapytała, zerkając srogo znad grubych szkieł, ale w jej oczach nie było złości. Raczej zatroskanie. Zawsze tak patrzyła na wszystkie swoje owieczki, jak nazywała czasem podopieczne. – W domu wszystko dobrze? – zapytała i przesunęła spracowaną dłonią kilka grubych teczek na skraj biurka.

– Tak. – Emilia dygnęła jak pensjonarka. – Pójdę już, proszę siostry, chciałabym się pomodlić.

– Zostań jeszcze chwilę, moja droga – poprosiła przełożona. – Chciałabym ci coś powiedzieć. Długo się nad tym zastanawiałam… – Urwała na chwilę, splatając ciasno palce – …ale w końcu podjęłam decyzję. Chciałabym, żebyś pojechała na formację do naszego domu w Rzymie.

– Nie mogę w to uwierzyć! Każda z nas marzy, żeby pojechać do Włoch! A przełożona wybrała akurat ciebie! Jak to zrobiłaś? – Siostra Ida z zaróżowionymi od emocji policzkami usiadła tuż obok Emilii na twardym sienniku przykrytym kocem.

Emilia dzieliła celę z Idą zaledwie od tygodnia, ale już zdążyły się polubić. Ida pochodziła z małej wioski na Mazowszu, z wielodzietnej rodziny wiejskiego nauczyciela i bibliotekarki. Emilię przyciągnęło do niej… światło, które wypełniało całą jej twarz, oczy i uśmiech. Prawie od razu wyznała jej, że przed wstąpieniem do klasztoru prowadziła normalne życie zakochanej dziewczyny.

– Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale miałam chłopaka – wyznała rozbrajająco po wspólnej modlitwie w klasztornej kaplicy, kiedy maszerowały do dormitorium. – Nawet nie jednego. – Zachichotała frywolnie jak urwis. – W końcu postanowiliśmy się pobrać. Byliśmy nawet w urzędzie stanu cywilnego, żeby umówić się na rozmowę i skompletować dokumenty. Moja mama szyła mi białą kieckę z bistoru.

– I co się stało? – przerwała zniecierpliwiona Emilia.

– Nie spodziewaj się, że będzie jak w filmie. Nie odwiedził mnie żaden anioł z listem poleconym od Pana Boga, co to, to nie. Nic z tych rzeczy. Było bardziej prozaicznie. W tym czasie poznałam kilka sióstr. Dużo rozmawiałyśmy i dopadł mnie kryzys egzystencjalny. Nie wyobrażałam sobie już życia z mężczyzną. Chciałam je dzielić z wieloma ludźmi, robić coś w szerszym zakresie, a nie tylko dla siebie i swojej rodziny. Wiem, że trudno to pojąć.

– Wręcz przeciwnie, doskonale cię rozumiem. Choć może nie do końca w sensie posługi Bogu.

„Można robić wiele rzeczy, niekoniecznie zamykając się w klasztorze” – pomyślała Emilia, ale nie powiedziała już tego na głos. Bała się, że Ida ją znielubi albo, co gorsza, uzna za dziwaczkę. A dziewczyna była jedną z niewielu osób, z którymi potrafiła się tutaj dogadać.

– Emilia, po raz kolejny cię pytam, jak to zrobiłaś? Jak załatwiłaś sobie u przełożonej ten Rzym? – Jasna buzia Idy przysunęła się na odległość oddechu do jej policzka.

Emilia, wybita z głębokich myśli, potrząsnęła głową.

– Niczego sobie nie załatwiałam. Przełożona sama mi to zaproponowała. Nigdy jeszcze nie byłam za granicą. Tak naprawdę ciągle do mnie nie dociera, że jadę do Włoch!

W tej chwili po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślała, że może jeszcze wszystko jakoś się ułoży. Naprawdę bardzo chciała w to wierzyć.

Rzym, kilka tygodni później

Emilia przeciągnęła ścierpnięte ramiona, ziewnęła szeroko i uniosła się na łokciach na wąskim, twardym łóżku. Niewielkie pomieszczenie, które zajmowała w domu gościnnym zaprzyjaźnionej z brygidkami wspólnoty Sióstr Błogosławionego Serca[3], zmieściłoby się dwukrotnie w pokoju, który dzieliły razem z Aurelią. Lokum o nagich, pomalowanych na brudną biel ścianach znajdowało się na końcu korytarza, tuż za skromną kaplicą wypełnioną drewnianymi ikonami. Emilia często słyszała dochodzącą zza ścian modlitwę, która usypiała ją i budziła. Tak było i tym razem. Cichy szmer wskazywał na to, że siostry zgromadziły się już w kaplicy.

Dziewczyna spojrzała szybko na leżący na stoliku maleńki zegarek na skórzanym pasku. Dochodziła piąta. Niechętnie opuściła zziębnięte nieco stopy na szarobure linoleum. Jej wzrok padł na papierową torbę ustawioną równo tuż przy łóżku. Schowała w niej kilkanaście kolorowych pocztówek z widokiem na Wieczne Miasto oraz gruby przewodnik, który kupiła za grosze na pchlim targu, zagubionym gdzieś pomiędzy wąskimi uliczkami odchodzącymi promieniście od placu Weneckiego. To był jej pierwszy włoski zakup, nie licząc wygodnych sandałów z grubymi paskami, które na początku trochę obtarły jej skórę.

Emilia nawet nie przypuszczała, że zwykłe pójście do sklepu w obcym mieście sprawi jej tyle radości. Kilka dni po przyjeździe do Włoch jej jedynym żywym przewodnikiem była siostra Małgorzata, która zajmowała się grupą Aurelii (nazywała je zabawnie nieopierzonymi gołąbkami). Emilia lubiła zajęcia z Małgorzatą, może dlatego, że promieniowały od niej niezwykła energia i ciepło. Była duża, okrągła i wiecznie uśmiechnięta. Cierpliwie tłumaczyła jej wszystkie zawiłości codziennego życia we wspólnocie.

– Nie bój się, gołąbku – mówiła łagodnie. – Nie zjemy cię. – Śmiała się, a w jej policzkach ukazywały się urocze dołeczki. – Tutaj mamy dom formacyjny, gdzie siostry przygotowują się do życia w zakonie. Nie pogubisz się, bo wszystko robimy na dzwonek.

– Na dzwonek? – zdziwiła się Emilia i uniosła brwi.

– Dokładnie, tak jak w szkole. Kiedy dzwonią, zostawiasz wszystko i idziesz do kaplicy czy refektarza. Przyzwyczaisz się do tego życia od linijki. Konkretna godzina na wstawanie, mszę świętą, modlitwy, brewiarz, wspólny różaniec. A poza tymi godzinami będziesz się zajmować swoimi obowiązkami, w zależności, co będzie ci przypisane.

– A mogę wiedzieć, jakie ma siostra wobec mnie plany?

– Oczywiście! Pomożesz siostrze Lukrecji w kuchni. No, nie patrz na mnie takim przerażonym wzrokiem. Zobaczysz, że będzie ci się u niej podobało. Wszystkie dziewczyny chcą tam pracować, pomimo tych kilogramów ziemniaków, które bezlitośnie każe im strugać. Wiem, że w moich ustach brzmi to co najmniej dziwnie, ale jestem przekonana, że Lukrecja i ciebie zaczaruje.

Emilia nigdy nie przypuszczała, że te słowa siostry Małgorzaty okażą się prorocze. Od tej pory w jej życiu największą rolę zaczęły grać pozornie niepowiązane ze sobą przypadki. Niczym puzzle zaczęły się one składać, tworząc jasny i klarowny obraz jej przyszłości, o której, na szczęście, teraz jeszcze nic nie wiedziała.

Królestwo siostry Lukrecji mieściło się w piwnicy domu przy via del Casaletto. Do kuchni prowadziły kręte wąskie schody, ze stopniami na pół stopy, dlatego też dla ułatwienia wydawania posiłków zainstalowano tutaj niewielką windę towarową, która transportowała jedzenie wprost do refektarza. Wnętrze kuchni przypominało gęstwinę pyszniących się ziół w doniczkach poustawianych na blatach. Prym wśród nich wiódł znany skądś Emilii lekko gorzkawy kwiatowy zapach. Na środku kuchni stała drobna staruszka w szarym habicie i w fartuchu zawiązanym fantazyjnie szeroką wstążką.

– Czujesz? Widzę, że marszczysz nos – zapytała bez słowa przywitania, machając drewnianą łopatką. Tak jakby dobrze się znały. – To lawenda.

– W kuchni? – zdziwiła się Emilia. – Moja babcia nacierała się spirytusem, do którego dodawała lawendę. Podobno ta magiczna mikstura pomagała jej na reumatyzm. Ale nie sądzę, żeby ją potem jadła.

– Niech Pan Bóg ci wybaczy, moje dziecko, bo nie wiesz, co gadasz. – Staruszka się skrzywiła. – Ale już ja cię wyszkolę! Lawenda to prawdziwy skarb! Dodaję ją do oliwy. – Wskazała dłonią kilka szklanych butelek, w których pływały drobne gałązki z lekko wyblakłym fioletowym kwieciem. – Albo do cukru. Wystarczy przysypać go garścią kwiatów i zakręcić w słoiku na kilka tygodni…

Siostra Lukrecja urwała i łypnęła okiem na rozpromienioną dziewczynę stojącą na środku jej królestwa. Ta nowa była taka krucha… Promień słońca padający z umieszczonych prawie pod samym sufitem wąskich okienek rozpalił czerwone refleksy w jej związanych ciasno rzemykiem jasnych włosach. Rozglądała się wokół z dziecięcą ciekawością i zdawała się delektować każdym wypowiadanym przez nią słowem, niczym kawałkiem najlepszej czekolady. A jeżeli chodziło o czekoladę, Lukrecja miała do niej prawdziwą słabość. I o ile jej

wyczulony na zapachy i na ludzi nos się nie mylił, ta nowa dziewuszka już niedługo mogła podzielić jej pasję.

[3] Fikcyjna nazwa.

ROZDZIAŁ 20

Jak skutecznie odstraszyć klientelę

– Valentijn? Valentijn! Czy możesz mnie zastąpić za ladą? Muszę zapakować duże zamówienia na firmowy brunch, a klienci się niecierpliwią! Słyszysz mnie? Val! – W drzwiach na zaplecze croissanterii już od kilku dobrych minut stała Linda z zaczerwienioną twarzą upstrzoną drobniutkimi złocistymi piegami. Jej firmowa biała koszula wychodziła niechlujnie zza szerokiego skórzanego paska, co było widokiem raczej niecodziennym, gdyż Linda słynęła z perfekcjonizmu i niezwykłej dbałości o każdy szczegół swojego stroju.

– Co znowu? – mruknął starszy Jeurissen i ze złością oderwał wzrok od ekranu laptopa.

Szukał właśnie nowego modelu motorówki, którą zamierzał żeglować po szerokich wodach rzeki IJssel i czuć świeżą chłodną bryzę na policzkach. Już dawno powinien kupić sobie jakąś łajbę, a nie wydawać fortunę na wypożyczanie sprzętu od innych.

– Czy ja nie mogę choć na chwilę zostać tutaj sam, do cholery? O co chodzi? Jeżeli o zamówienie partii świeżego masła…

– CZY MOŻESZ MI POMÓC PRZY LADZIE?! – wrzasnęła w końcu zniecierpliwiona pracownica.

– I po co te nerwy? – odburknął Valentijn i trzasnął pokrywą laptopa. – Nie możesz poprosić Romea? Doskonale wiecie, że nie nadaję się na sprzedawcę. Nie mam do tego cierpliwości. Gdzie on w ogóle jest? – zreflektował się, próbując przypomnieć sobie, czy widział już dzisiaj brata.

– Kazał ci przekazać, że wziął wolny dzień, masz się w końcu zabrać do roboty i możesz go pocałować w dupę. To cytat – zaznaczyła Linda.

– Słucham? – Valentijn na moment oniemiał. – Czy on kompletnie stracił rozum?

– Nie wiem, o co się znowu pokłóciliście, ale ostrzegam, że macie to wyjaśnić między sobą jak najszybciej. Inaczej oprócz rozumu stracicie również cały personel!

– To szantaż?

– Ostrzeżenie, a raczej dobra rada. A teraz rusz tyłek i chodź – powiedziała Linda i znikła w korytarzyku prowadzącym do sklepu. Zawsze miała niewyparzony język.

– To już nie był cytat! Wypraszam sobie takie wulgarne słownictwo w stosunku do przełożonego! – rzucił za nią zaczepnie Valentijn i szarpnął za biały fartuch przewieszony przez poręcz krzesła.

Romeowi całkiem odbiło. Obraził się na niego jak przedszkolak tylko dlatego, że jego panna z Polski wylądowała z nim w jednym łóżku. Skąd miał, do cholery, wiedzieć, że kładąc się tam, natknie się na Ninę?! Taki niedorzeczny scenariusz randki mógł wymyślić tylko Romeo. Kto to widział, żeby zaciągać laskę do domu, upić butelką najlepszego limburskiego wina i nie skorzystać z okazji, tylko wysłać ją grzecznie do sypialni, a samemu zlec w gościnnym? Jak dwoje emerytów! A on, niczym kozioł ofiarny, miał teraz za to płacić? *No way*!

Nabuzowany niczym piec hutniczy Valentijn wpadł do sklepu. Przy kontuarze stała postawna matrona, machając zniecierpliwiona małą lakierowaną torebką. Val, nieudolnie próbując się uśmiechnąć, zwrócił się do niej głosem, w którym nie udało się ukryć sztucznej grzeczności. Najchętniej posłałby ją do stu diabłów.

– Czym mogę służyć?

– W końcu ktoś się pojawił! – burknęła matrona i przewróciła teatralnie przesadnie umalowanymi oczami. – Niech mi pan z łaski swojej zapakuje te wasze specjały z… piri-piri, o te! – Wyciągnęła z torebki kolorową ulotkę ze zdjęciem ciemnych czekoladek w towarzystwie pikantnych papryczek.

Valentijn na widok ulotki spurpurowiał. Niezrażona klientka ciągnęła wywód:

– Nie wiedziałam, że w ziarnach kakaowca jest fenyloetyloamina, która uwalnia hormon szczęścia i pobudza stan ekscytacji – wyrecytowała jak wyuczoną formułkę, stukając przy tym w ulotkę palcem zakończonym kwadratowo spiłowanym paznokciem. – Choć, przyznam szczerze, im dłużej na pana patrzę, tym bardziej powątpiewam w skuteczność tego specyfiku. Powinien być pan najlepszą reklamą tej czekolady, a wygląda pan, jakby chciał komuś przylać!

– Może dlatego, że pomyliła pani adresy! – warknął Val. – Nie sprzedajemy żadnych szemranych czekoladek, tylko croissanty! I mogę pani zagwarantować, że po naszych

wypiekach pani mąż nabierze większej ochoty na seks niż po tych podrabianych neuhausach!

Kobieta zamachała gwałtownie rękoma, próbując coś powiedzieć, ale z jej ust dobywał się tylko niezrozumiały świst. Przy drzwiach wejściowych rozległ się dzwoneczek i do środka wszedł kolejny klient. Rozglądał się uważnie po wnętrzu croissanterii niespokojnym, rozbieganym wzrokiem.

– Co za impertynent! – odpowietrzyła się w końcu matrona. – Proszę natychmiast zawołać szefa tego przybytku. Już ja się z nim rozmówię. A pan wyląduje za chwilę na ulicy! To skandal, żeby tak traktować klientów. Nie popuszczę!

– To ja jestem właścicielem tego, jak się pani wyraziła, przybytku i bardzo panią przepraszam, rzeczywiście nieco się zagalopowałem – zreflektował się Valentijn, popatrując spłoszony na lustrującego ściany klienta. Był mimowolnym świadkiem tej żenującej sceny i zaraz pewnie i on weźmie nogi za pas. – Ale musi pani zrozumieć i mnie. Podsuwa mi pani ulotki konkurencji, żądając produktów, których nie mamy w asortymencie…

Na dźwięk słowa „konkurencja" tajemniczy klient zastrzygł czujnie uszami.

– Niech się pan wypcha takimi przeprosinami! – żachnęła się matrona. – Moja noga już tu nie postanie! I będę odradzać to każdemu w okolicy! Żegnam! – rzuciła, zgarnęła leżącą na blacie ulotkę i unosząc dumnie głowę, wymaszerowała z croissanterii.

Valentijn poczuł narastające dudnienie pod czaszką. Pomasował szybko skronie i zwrócił się do stojącego na środku croissanterii mężczyzny.

– Bardzo mi przykro, że był pan świadkiem tej nieprzyjemnej sceny, ale…

– Ależ proszę nie przepraszać. Absolutnie nic się nie stało – zapewnił solennie nieznajomy i dodał nieco ciszej: – A jeżeli chodzi o te czekoladki, to… hm… wcale się nie dziwię, że się pan tak zeźlił. Na pana miejscu zachowałbym się tak samo.

Valentijn uniósł brwi i spojrzał uważniej na mężczyznę. Dopiero teraz zauważył, że miał w twarzy coś niepokojącego, zaciętego, tak jakby szykował się do walki na śmierć i życie.

– Nie rozumiem… Czyżby najlepsze bombonierki w Deventer i okolicy, jak podobno ćwierkają wróble, nie przypadły panu do gustu?

– Gorzej! – przyznał mężczyzna. – O wiele gorzej! Ale może porozmawiamy o tym na spokojnie przy stoliku? Proszę z łaski swojej podać mi dobrą kawę. Czarną! I żadnych słodkich dodatków. Od niedawna mam na nie prawdziwą alergię.

Nina maszerowała Walstraat z torbami wypełnionymi świeżymi owocami i miętą. Kilka dni temu Marta wymyśliła, że w ogródku chocolatierki urządzą kącik z czekoladowym fondue. Oczywiście, tak jak przewidziała, pomysł chwycił od razu. Kolorowe owoce nadziane na fikuśne patyczki i obłędny zapach gorącej czekolady już od wczesnych godzin popołudniowych nęciły klientów spragnionych kolejnej nowości pomysłowych dziewczyn z malinowej kamienicy. Ostatnio jeden z klientów przyznał, że przyjechał do Deventer aż z Utrechtu na czekoladowe hot and spicy macchiato z papryczką piri-piri!

– Powinnyśmy zmienić logo – emocjonowała się Marta, popijając drobnymi łykami najnowszy specjał. – A właściwie zaprojektować je na nowo. Ta papryczka to teraz nasz znak rozpoznawczy. Piri-piri!

– Nie ma mowy. – Nina zachichotała. – Widząc taki pikantny szyld, wszyscy będą myśleli, że jesteśmy domem uciech, a nie czekoladziarnią.

– To jest bardzo dobre porównanie, Nina. Dom uciech i nasze bombonierki! Przecież to na jedno wychodzi. Dajemy ludziom szczęście i…

– Kulinarny orgazm? A jednak wolałabym na razie bez tej papryczki. Wyobrażasz sobie, co się będzie działo, jak podświetlimy takie logo nad wejściem? Będą nas nazywać panny piri-piri!

– Kto panna, ten panna. – Marta dała jej kuksańca w bok. Roześmiały się obie jak na zawołanie. – Lepiej mi powiedz, jak rozwiązałaś tę braterską dramę? Naprawdę wypiłaś całe wino i niczego nie pamiętasz?

– Niczego! Jedyne, co mam teraz przed oczami, to widok gołego Jeurissena na poduszce obok mnie. I daję słowo… nie chciałabym tego przeżyć ponownie.

Marta zerknęła na nią znacząco. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale jednak wolała ugryźć się w język.

Nina odwróciła głowę. Czuła nieustające wyrzuty sumienia na myśl o Romeo. Jak ona mogła dopuścić do tej żenującej sytuacji? Młodszy Jeurissen wyrzucił ich z domu oboje, Valentijna i ją, nie chcąc nawet słuchać ich pokrętnych tłumaczeń. Jasne, musiała przyznać, że brzmiały mało wiarygodnie, ale przecież nic takiego się nie stało. Przynajmniej taką miała nadzieję. Nie pamiętała kompletnie niczego z tej feralnej nocy, tylko ten palący żywym ogniem wstyd. Valentijna nie można było traktować poważnie, ale z jego bratem naprawdę chciała się zaprzyjaźnić. Tylko dlaczego ciągle im się to nie udawało? Romeo był opiekuńczy, zabawny, mądry. A jednak nie ciągnęło jej do niego jak do wymarzonego mężczyzny życia. Czegoś jej w nim brakowało. Sama nie potrafiła określić, co to takiego. Może odrobiny…

szaleństwa i ognia? Zagadki? Zaskoczenia? Romeo był solidny i przewidywalny. Byłby idealnym partnerem dla Maniany, ale nie dla niej. À propos Maniany… Nina zmarszczyła brwi. Przyjaciółka milczała niepokojąco od dwóch dni. Nina miała nadzieję, że Marianna dogada się z Iwem i jak najszybciej wróci do Deventer. Chciała ją mieć przy sobie, ją i małego Benia. Byli namiastką życia, które pozostawiła w Polsce i do którego, nie przyznając się sama przed sobą, czasem jeszcze tęskniła.

Przystanęła tuż obok wąskiej kamieniczki z czerwonymi okiennicami i z ulgą odstawiła torby. Telefon przyjaciółki nie odpowiadał. Nina błyskawicznie wystukała wiadomość:

Mańka, skontaktuj się ze mną jak najszybciej! Trochę się martwię.
Uściski!
Twoja Nina

A potem wyszukała pośpiesznie jeszcze jeden numer i przycisnęła słuchawkę do ucha.

– I jak tam, ciociu, udało ci się wszystko, co zaplanowałyśmy? – zapytała szybko. – Tak? Nie wierzę, już po transakcji! Jesteś nieoceniona! Tylko ani mru-mru rodzicom. Rozszarpaliby mnie na kawałki. A sama wiesz, że nie było innego wyjścia.

ROZDZIAŁ 21

Rzymskie wakacje

Rzym, 1978

Relka, nawet nie wiesz, ile mam Ci do opowiedzenia! Tyle wrażeń, zapachów, smaków, myśli, które trudno mi pozbierać w ciągu dnia. Staram się je uporządkować wieczorem, kiedy cały dom już śpi. Zapisuję wszystko w zeszycie, żeby nic mi nie umknęło. Obiecuję, że przeczytasz te notatki po moim powrocie do Polski. Mogłabym wysłać list, ale sama wiesz… nie chciałabym, żeby wpadł w niepowołane ręce. Ostatnio jak dzwoniłam… wiem, że nie byłaś sama, dlatego o nic nie wypytywałam. Znam Cię tak dobrze i nie chcę, żebyś kłamała. Nagadamy się, gdy przyjadę, ale nie pytaj kiedy. Sama jeszcze tego nie wiem…

Emilia przygryzła ołówek i spojrzała w ciemny prostokąt okna. Niebo nad Rzymem jak zawsze rozświetlały miliony gwiazd. Każdego dnia przed zaśnięciem wodziła palcem po bezkresnej granatowej połaci, próbując znaleźć znane sobie konstelacje. Bez problemu rozpoznawała już „kielich" i „długą rączkę" Wielkiego Wozu. Najłatwiej było go znaleźć w ciepłe czerwcowe noce na najbardziej wysuniętej na północ części nieba. Te gwiazdy dawały Emilii poczucie bezpieczeństwa i pewność, że cokolwiek się wydarzy, one zawsze będą. I tu, gdzie rzucił ją kapryśny los, i tam, nad głową Aurelii, której bardzo jej brakowało. I o której nie mogła zapomnieć.

Dobrze, że trafiła tutaj na siostrę Lukrecję. Na początku wizja pracy jako pomoc kuchenna przerażała ją (niczego nie potrafiła, w domu matka pozwalała jej i Relce tylko skrobać kartofle), wolała tak jak inne dziewczyny pomagać w bibliotece, ale teraz nie zamieniłaby

królestwa siostry Lukrecji na żadne inne. Ucieranie ciasta, dekorowanie wypieków i formowanie ciasteczek cantuccini oraz drobne zmiany („moje słodkie szachrajstwa" – jak mówiła Lukrecja) w znanych recepturach, które całkowicie zmieniały smak tortów i babeczek, o dziwo, zaczęły ją fascynować. Siostra Lukrecja była znana w całym Rzymie ze słodyczy doskonałej jakości, dlatego najlepsze lokalne cukiernie ustawiały się w kolejce po jej legendarne torrone. Emilia, wychowana na peerelowskim siermiężnym bloku czekoladowym i andrutach z supersamu, po raz pierwszy w życiu spróbowała włoskiego twardego nugatu, wytwarzanego z białek i miodu. Siostra Lukrecja podgrzewała je i cierpliwie mieszała, po czym zatapiała w gęstej słodkiej masie pistacje i migdały. Emilia swojsko nazywała torrone Lukrecji mordoklejkami, gdyż przylepiały się do podniebienia niczym słodki klej.

Emilia na wspomnienie smaku torrone przełknęła szybko ślinę, przekręciła się na lewy bok i zamknęła oczy. W jej nozdrza wdarł się delikatny zapach lawendy, której pęczek, przyniesiony z kuchni, chowała pod poduszką. Usypiał ją teraz do snu, przywołując wspomnienia babci, która w każde wakacje smarowała jej spalone słońcem plecy kojącym olejkiem o tym zapachu.

Rano, tuż po porannej modlitwie, w te pędy pognała do piwnicy. Już na schodach czuła zniewalający aromat domowego ciasta.

– Dzisiaj będziemy piec makaroniki na zamówienie francuskiej cukierni Le Levain! – Siostra Lukrecja z zaczerwienionymi od gorącego pieca policzkami jak zwykle krzątała się już po kuchni.

Emilia podejrzewała, że stara zakonnica sypiała tutaj, pod wielkim, wyszorowanym do białości blatem. To było jej królestwo i największa miłość. Zaraz po Bogu, jak powtarzała, ale Emilia podejrzewała, że była to jedynie poprawność polityczna. Zakonnicy nie wypadało bowiem kochać ciastek i czekolady bardziej niż Pana Jezusa! Choć nawet On skusiłby się na cannoli Lukrecji. Emilia była o tym święcie przekonana!

– Jak tu siostra trafiła? – zapytała ją na samym początku, kiedy jeszcze trochę się jej bała.

Lukrecja potrafiła huknąć i burczeć pod nosem, kiedy jej podopieczne zbyt opieszale wykonywały kuchenne zadania. A w jej królestwie wszystko musiało chodzić jak w szwajcarskim zegarku.

– Tu, to znaczy do Rzymu? – zapytała zakonnica, wycierając umączone dłonie o płócienny fartuch.

– Tak – potaknęła Emilia i podała jej lnianą ściereczkę.

Lukrecja spojrzała na dziewczynę z aprobatą i nakryła ściereczką rosnące w dzieży ciasto. Dlatego tak lubiła tę drobną, nieco wycofaną nowicjuszkę. Nie trzeba jej było do niczego zaganiać i o niczym przypominać. Była bardzo pojętna i chciała się uczyć. Tylko czy na pewno tego, do czego ją tutaj chciano przygotować?

– Mieszkam we Włoszech od ponad dwudziestu lat. – Zakonnica się zamyśliła. – W połowie lat pięćdziesiątych przyjechałam tutaj na obóz studencki zorganizowany przez miejscową parafię z metą w Campomarino Lido na granicy Molise i Apulii. Wtedy tam było wszystko jeszcze bardzo dzikie, wszędzie rosły przepiękne pinie… Tak, doskonale to pamiętam… W programie tej wycieczki były również wyjazdy do Neapolu i Rzymu. W Neapolu przeżyłam horror, bo tam kierowcy jeżdżą, jak chcą, a myśmy akurat wylądowali w korku. Wyobraź sobie, że kelnerzy, lawirujący pomiędzy autami i skuterami, donosili nam do autobusu kawę!

– A Rzym? – zapytała Emilia i podparła brodę rękoma.

– Ech… to były czasy! Zaparkowaliśmy przy Via della Conciliazione. Nie byłam wtedy w stanie cieszyć się pięknem tego miasta, bo zafundowano nam klasyczny bieg turystów. Bazylika Świętego Piotra, rzymskie place i Koloseum. A Rzym trzeba smakować powoli, z rozmysłem, jak czekoladki Baci.

– Baci? Nigdy o nich nie słyszałam. – Emilia spojrzała na swoją mentorkę z nieskrywanym zaciekawieniem.

– To wielki błąd! – Lukrecja się roześmiała. – Baci to orzechowa duma Perugii. Poczekaj, mam tu je gdzieś schowane… – Lukrecja sapnęła i sięgnęła do masywnej szafki wiszącej po prawej stronie kuchennego blatu. Po chwili trzymała niewielkie niebieskie pudełko. Na jego wieczku widniał romantyczny wizerunek całującej się pary.

– Proszę, częstuj się – powiedziała i podsunęła zachęcająco pudełko w kierunku Emilii.

W środku leżało kilka pralinek pakowanych pojedynczo w sreberka. Dziewczyna sięgnęła po czekoladkę i z lubością zatopiła zęby w wyśmienitej gorzkiej czekoladzie, która otulała aksamitnie miękkie orzechowe wnętrze. Przymknęła na moment oczy, delektując się smakiem nugatu.

– A wiesz, że Baci wymyśliła kobieta? Nazywała się Luisa Spagnioli. Pochodziła z bardzo biednej rodziny i dużo przeszła, zanim spełniła swoje marzenia. Opowiem ci o niej później, bo teraz nie mamy już na to czasu. Zamówienie czeka, więc pora zabrać się do pracy. Tylko koniecznie przeczytaj dołączoną do czekoladki sentencję. Te karteczki są znakiem rozpoznawczym Baci. Podobno ta pierwsza zawsze się spełnia…

Emilia posłusznie rozpostarła szeleszczący papierek. Wypadła z niego karteczka. Dziewczyna z ciekawością zerknęła na tekst.

Bądź rzeźbiarzem swojego życia. Uwierz, że możesz.

Emilia obiecała sobie, że koniecznie musi poznać historię tajemniczej Luisy od czekoladek. Podskórnie czuła, że może się od niej wiele nauczyć.

ROZDZIAŁ 22

Cmentarne konwalie i szpitalna kapusta

Położony na przedmieściach Deventer cmentarz Heilige Lebuïnus stanowił oazę spokoju i skłaniał do refleksji. Valentijn przychodził na grób rodziców kilka razy w miesiącu. Kiedyś, tuż po ich śmierci, bywał tutaj częściej, nawet codziennie, na próżno szukając ukojenia swojego bólu i tęsknoty. Ale coś go tutaj ciągnęło, jakaś trudna do określenia siła, która zmuszała go do wpatrywania się godzinami w granitową niszę kolumbarium, mieszczącą urny z prochami jego matki i ojca. Przynosił zawsze ulubione kwiaty Very, czerwone tulipany, a późną wiosną konwalie, *lelietje-van-dalen*, które tak kochała. Ta rana, którą miał nosić w sercu do końca życia, goiła się bardzo powoli, a on miał wrażenie, że paradoksalnie z każdym dniem tęsknił za *ma* i *pa* coraz bardziej. Może gdyby rodzice żyli, nie kłóciliby się z Romeem tak często, jak ostatnio.

Na samą myśl o uporze swojego młodszego brata poczuł złość. Ale o wilku mowa! Przed kolumbarium dostrzegł wysoką sylwetkę Romea. Miał na sobie granatową bluzę i jasne dżinsy, a w ręku trzymał pęk… no tak… czerwonych tulipanów.

– *Hoi* – rzucił krótko Valentijn i podszedł do brata.

Ten odwrócił się do niego plecami i zaczął wkładać pojedynczo kwiaty do marmurowego wazonu tuż przy niszy mieszczącej urnę.

– Będziemy teraz udawać, że się nie znamy? – warknął Val. – Przestań się zachowywać jak rozkapryszona primadonna, do cholery! Ile razy mam ci tłumaczyć, że nic się nie stało?!

– Według twoich pokrętnych moralnych kryteriów nigdy nic się nie dzieje – odparował Romeo. – Czy mam ci przypomnieć, kochany braciszku, kilka faktów z naszego życia? Dokładnie trzy: Marina, Saskia i Margriet!

– Co z nimi? – mruknął niewyraźnie Val i wyjął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne.

– Wszystkie były moimi dziewczynami i wszystkie trzy sprzątnąłeś mi sprzed nosa bez mrugnięcia okiem. Rzekłbym nawet z premedytacją!

– Nie przesadzaj, do cholery! Histeryzujesz jak babcia Gertruda.

– Nie ma w tym ani odrobiny przesady. To suche fakty. Każdą, słyszysz, każdą dziewczynę, którą przyprowadzałem do domu, musiałeś „wypróbować”!

– O, przepraszam, tylko przetestować. W dobrej wierze… Nie mogłem pozwolić, żeby twoim sercem zawładnęła jakaś… lafirynda. – Val o pół sekundy za późno ugryzł się w język. – Jak widać, żadna nie była ciebie warta… – dodał cicho i zaczął mierzwić czuprynę. Robił tak zawsze, kiedy był zmieszany. Miał to po ojcu. A gdy kłamał, marszczył nos. Tak jak matka.

Romeo zaczął się gorzko śmiać.

– Czy ty siebie słyszysz, bracie? JA je traktowałem z szacunkiem, a ty sprowadzałeś wszystko do pozycji łóżka i „próby”! A jednak zawsze wybierały ciebie! Kurwa, nie pojmuję tego! Nawet Nina…

– Z Niną do niczego nie doszło! Ile razy mam ci to powtarzać! My się nawet nie lubimy! Ona w ogóle nie jest mną zainteresowana, ja nią tym bardziej. I wiesz, jaki jest nasz największy WSPÓLNY braterski problem?

– Nie mam pojęcia. Słucham cię z zapartym tchem – zadrwił Romeo.

– Ona nie chce żadnego z nas. Obaj jesteśmy na straconej pozycji. A teraz, do cholery, przestańmy w końcu przy grobie rodziców kłócić się o jakąś babę. Wiesz, co by powiedziała na to mama? Skaranie boskie…

– …z wami dwoma – dokończył Romeo i ponownie się roześmiał. Tym razem szczerze.

Przez chwilę stali w milczeniu, wpatrując się w przyniesione przez młodszego Jeurissena kwiaty.

– Bardzo mi ich brak… – wyszeptał w końcu Romeo i szybko otarł wierzchem dłoni oczy.

– Mnie też, bracie. Dlatego musimy trzymać się razem. A teraz dosyć tej dramy i darcia szat, zabieram cię do Czarownicy na mecz. Go Ahead Eagles grają dzisiaj przeciwko PEC Zwolle. No już, idziemy! I stawiasz mi piwo za to, że zostawiłeś mnie samego na pastwę wielbicielek piri-piri! O mało mnie nie pożarły, masz pojęcie?

Richard van Toorn wysiadł z taksówki i rozejrzał się z obrzydzeniem po obskurnym parkingu miejscowego szpitala w Zaborowicach. „Bieda z nędzą” – pomyślał drwiąco. Wielki

szary budynek straszył ciemnymi plamami odłażącego całymi płatami tynku. Van Toorn niecierpliwie rozpiął górny guzik kraciastej koszuli, przejechał nerwowo dłonią po włosach i skierował się do głównego wejścia. W środku śmierdziało środkami dezynfekującymi i kiszoną kapustą. Jakaś kobiecina w chustce na głowie zmywała brudnym mopem popękane linoleum. Za zakurzoną szybą stanowiska z napisem „Recepcja" nie było żywej duszy.

– Gdzie znajdę doktora Obarskiego? – zapytał władczo po angielsku Richard.

Kobiecina podniosła na niego wystraszone oczy.

– Nie rozumiem, co pan do mnie gada po cudzoziemsku – wymamrotała.

– *Dokter* Lucjan Obarski? – wycedził przez zęby van Toorn.

– A, profesor Obarski! Niech idzie o tam, do końca korytarza! Tam! – pouczyła i skierowała palec za siebie.

Richard ruszył niepewne we wskazanym przez sprzątaczkę kierunku. Z kieszeni zamszowej marynarki wyciągnął pognieciony błękitny fular i ostentacyjnie przytknął go do nosa. Co za smród! Od dziecka nienawidził szpitali, choć ten przybytek tutaj nie zasługiwał nawet na tę nazwę. Richard był bardzo chorowitym dzieckiem i często trafiał do różnych medycznych placówek. Do dziś pamiętał, jak zwalista pielęgniarka niemal siłą oderwała go od płaczącej matki, która nie mogła wejść z nim na oddział. Później miał matce za złe, że nie walczyła o prawo do widzenia własnego syna, tylko biernie poddała się procedurom. Tak, to było dla niej typowe. Nigdy nie umiała dochodzić swoich praw. Dlatego ojciec tak ją wykantował.

Na ostatnich drzwiach, naprzeciw zamalowanego do połowy białą farbą okna, Richard dostrzegł przetartą blaszaną wizytówkę.

Profesor Lucjan Obarski

Nie namyślając się ani chwili, nacisnął klamkę. Za niewielkim biurkiem zarzuconym papierami siedział lekko zgarbiony starszy mężczyzna w białym fartuchu z przewieszonym przez szyję stetoskopem. Widząc wchodzącego intruza, podniósł na niego zagniewany wzrok. Znowu jakiś zdesperowany pacjent albo ktoś z rodziny, kto jak zwykle ma do niego niecierpiącą zwłoki sprawę życia i śmierci. Miał już ich wszystkich serdecznie dość!

– Wszystkie wizyty umawia moja sekretarka. Nie mam czasu – rzucił służbistym tonem.

– Nazywam się van Toorn – przerwał mu Richard i bez pytania rozsiadł się na stojącym przed biurkiem krześle. – Rozmawialiśmy kilkakrotnie przez telefon, ale nie ma to jak męska

konwersacja *face to face*. Dlatego jestem.

Twarz Obarskiego lekko złagodniała.

– Bardzo mi miło pana poznać. – Wyciągnął rękę ponad leżącymi na stole teczkami.

Mówił biegle po angielsku, gdyż jego niania urodziła się przed pierwszą wojną w Londynie. Po kilkunastu latach tułaczki (pochodziła ze starej podupadłej arystokratycznej familii) wróciła do Polski i zamieszkała obok rodziny Obarskich. Dosyć szybko się zaprzyjaźnili i kiedy na świecie pojawił się mały Lucjan, sama zaproponowała, że pomoże w jego wychowaniu. Mówił również po francusku i niemiecku. Umiał także kląć po rosyjsku, gdyż niania była bardzo temperamentna i – co zupełnie nie pasowało do jej arystokratycznych korzeni – lubiła czasem rzucić mięsem w języku Tołstoja.

– Co za niespodzianka! – Obarski skinął głową. – Przebył pan szmat drogi.

– Dokładnie – ponownie przerwał mu van Toorn i odchrząknął znacząco. – Dlatego nie mam zbyt wiele czasu, profesorze. W moim kraju zwykło się mawiać w takich przypadkach *Tijd is geld,* a ja zbyt sobie cenię własne cenne biznesy, żeby je trwonić w nieprzemyślany sposób. Dlatego wybaczy pan, ale przejdę od razu do rzeczy. Dlaczego do moich prawników nie dotarły jeszcze żadne dokumenty od pana? O ile dobrze pamiętam, obiecał pan wyciągnąć ze szpitalnego archiwum stare akta, potwierdzające, że moja macocha była niepoczytalna? Potrzebne mi są również pańskie zeznania…

– Jestem już za stary na dalekie podróże – żachnął się Obarski. – Poza tym… nie podoba mi się, że wokół tej sprawy sprzed tylu lat zaczęło się robić gorąco.

– Co ma pan na myśli? – Richard uniósł krzaczaste brwi.

Obarski potarł nerwowo obiema dłońmi wygolone starannie policzki.

– Była tu niedawno jej siostrzenica. Nie pamiętam nazwiska. Wypytywała mnie dosyć natarczywie o swoją ciotkę. Z całym szacunkiem, panie van Toorn, nie mam ochoty na grzebanie się w zawikłanych historiach z przeszłości. Przecież, o ile mi wiadomo, Emilia Dobrzycka już dawno nie żyje. Po co ta, *pardon my French,* reanimacja starych trupów?

– Jak na uznanego lekarza ma pan zbyt frywolne słownictwo, profesorze. – Skrzywił się. – Ja nie chcę nikogo reanimować. Boże broń! Chcę tylko jednego, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Oboje wiemy, że Emma nie była osobą psychicznie zrównoważoną, dlatego też zapisała majątek mojego świętej pamięci ojca swojej siostrzenicy. One się nawet nie znały! Ta dziewczyna nigdy jej nie odwiedzała, a teraz szarogęsi się w kamienicy przy Walstraat. Przejęła cukierniczy biznes po ciotce i nie mając pojęcia o czekoladzie, wprowadza swoje własne receptury. Martwi mnie to szalenie, bo wszystko wskazuje na to, że lada chwila

doprowadzi ten doskonale prosperujący biznes na skraj bankructwa. Pan tego nie wie, ale Deventer to nieco staroświeckie miasto. Mieszkają tam ludzie przywiązani do tradycji. Nie lubią nowinek. Cenią sprawdzone receptury i znane smaki. A ona wprowadza tam te swoje… piri-piri! Dlatego w cukierni już prawie nikt nie bywa – łgał Richard i nawet mu powieka nie drgnęła.

– Nie rozumiem, dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi – wtrącił w końcu Obarski.

– Żeby panu uzmysłowić, że sprawa tego spadku śmierdzi na odległość. – Już miał dodać, że dokładnie tak samo jak ten szpital, ale na szczęście w porę ugryzł się w język.

W tym momencie na leżące pomiędzy nimi ułożone w stos papiery na biurku spadło kilka ciężkich kropel. Oboje jak na komendę unieśli głowy. Sufit szpeciła mokra plama o nieregularnym kształcie. Na nasiąkniętym tynku powstało już spore wybrzuszenie, które zaczęło nabierać brzydkiej brązowej barwy.

– Nieszczelny dach… – mruknął Obarski. – Ten budynek już od kilku lat wręcz krzyczy o kapitalny remont. Niestety funduszy nadal brak. Miejscowi biznesmeni nie kwapią się do pomagania tej zapomnianej placówce, a na dotacje z budżetu gminy nie mamy co liczyć. Przynajmniej na razie. Wszystkie szpitale w okolicy borykają się z tym samym problemem. Niedługo popłyniemy wszyscy. I to nie jest bynajmniej żadna przenośnia.

Na szerokim czole Richarda pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka.

– Może wspólnie znajdziemy na to radę, profesorze? – odezwał się cicho. – W końcu należy sobie pomagać, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ 23

Dyplomacja i łowy

Marianna stała ze smętnym wyrazem twarzy i ze zwieszonymi rękoma przed otwartą szeroko walizką. Jej wnętrze wypełniały kolorowe ubranka Benia, jego zabawki i pluszaki oraz zaledwie parę jej pomiętych bluzek, dżinsy i pocerowany na łokciach sweter. Kiedy pakowała się w pośpiechu kilka tygodni temu, nie myślała nawet o tym, żeby ściągnąć z wieszaka w szafie jakąś porządną kieckę. Na przykład tę liliową z jedwabnej żorżety. Wyglądała w niej niezwykle szykownie i elegancko. I tak też chciała prezentować się dzisiaj na spotkaniu pojednawczym z Iwem. Próżne nadzieje. Przecież w bluzce, która wyglądała jak psu z gardła wyjęta, nie zdoła udowodnić swojemu mężowi, że jest szczęśliwa, niezależna i doskonale daje sobie radę w dalekiej Holandii. Bez niego. A raczej jak najdalej od niego.

Marianna na samą myśl, że za kilka godzin musi stanąć z mężem twarzą w twarz, odczuwała nieprzyjemne bóle w podbrzuszu. Przecież on się nigdy nie zgodzi na rozwód! Zrobi awanturę, wynajmie najlepszych prawników tylko po to, żeby utrudnić jej życie. W najlepszym przypadku czeka ich długa i trudna bitwa o synka. A właśnie tego chciała oszczędzić Beniowi. Dlatego postanowiła, że nie będzie rościć sobie żadnych praw do ich wspólnego majątku. Niech bierze, co chce! Nie zależało jej nawet na pięknym domu na przedmieściach. I tak nie mogłaby już w nim mieszkać, a wiedziała, że Iwo za żadne skarby go nie sprzeda. Był pazerny, więc prawdopodobnie jeżeli ona zrezygnuje z batalii o finanse, Iwo będzie bardziej skory do współpracy. Ona chciała tylko kilka swoich osobistych rzeczy, rodzinne pamiątki po babci, zdjęcia i rower, który dostała od niego w zeszłym roku na urodziny. A przede wszystkim chciała tego, co było dla niej najważniejsze na całym świecie. A raczej kogoś... Benia. Wszystko inne zeszło na drugi plan.

– I jak tam? Jesteś zwarta i gotowa? – Do pokoju zajrzała Maria Grodnicka.

Na jej pociętej drobniutkimi zmarszczkami twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Od kiedy w domu przy Kamienistej pojawili się Marianna i Benio, uśmiechała się zdecydowanie częściej.

– Dopadł mnie typowy egzystencjalny problem każdej statystycznej kobiety, pani Mario – westchnęła.

– Miłość? – zapytała Grodnicka i podeszła do stojącego przy oknie obitego przetartym pluszem fotela.

– Ciuchy! Nie mam się w co ubrać! – jęknęła Marianna i wskazała dłonią wybebeszoną walizkę. – Przecież nie pójdę na to spotkanie w podartym swetrze. Jak znam Iwa, wystroi się w swój najdroższy garnitur od Armaniego tylko po to, żeby pokazać finansową przewagę. Zawsze uwielbiał podkreślać swoją wyższość.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że matka mojego ulubionego małego dżentelmena podda się na starcie? To do ciebie niepodobne, Marianno. Poza tym zapomniałaś o jednym…

Zrezygnowana Marianna spojrzała na staruszkę.

– O transporcie? Nie, nie zapomniałam. Zamówiłam już taksówkę do centrum…

– O mnie, moja droga. O mnie! – Maria wypięła do przodu wątłą pierś. – Przecież nie dam ci pójść na to spotkanie w tych podartych portkach. Chodź do mojego pokoju. Mam pełną szafę sukienek, których już od lat nie noszę. Kiedyś miałam bardziej kobiece kształty niż teraz, dlatego powinny na ciebie pasować. Na szczęście nie jesteś takim wysuszonym truchłem jak ja.

Marianna już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Maria była pierwsza.

– No już, nie marudź, tylko chodź, bo nie ma czasu! – rzuciła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Za chwilę Benio zgłodnieje, a obiecałam mu, że dziś ugotuję zupę z groszkiem. Taką właśnie sobie zażyczył. „Babciu-ciociu, dzisiaj mam ochotę na groszek i grzanki!”. A ja przyrzekłam, że zrobię, co mogę.

Mariannie momentalnie zwilgotniały oczy. Najchętniej uściskałaby Marię, ale Grodnicka chyba nie lubiła czułości. Zdecydowanie wolała działać. Obie, ramię w ramię, zniknęły za szerokimi drzwiami sypialni pani domu. Już po chwili dochodziły zza nich głośne śmiechy i pokrzykiwania.

Godzinę później Maniana, wystrojona w szarą aksamitną sukienkę z dekoltem w łódkę i nieco przyciasne czółenka Salamandra (Maria kupiła je w Berlinie Zachodnim na jakimś sympozjum. To był wówczas obuwniczy hit! Wszystkie modnisie chciały mieć salamandry!),

maszerowała chodnikiem w kierunku pracowni Iwa. Raz po raz dotykała ostrożnie opuszkami palców trzyrzędowego naszyjnika z pereł, który staruszka osobiście zapięła na jej szyi.

– Moja mama zawsze mówiła, że perły przynoszą pecha – powiedziała Marianna, kiedy Maria wyciągnęła z aksamitnego puzderka jubilerskie cudo.

– Bzdura! – żachnęła się Grodnicka. – Ile ludzi, tyle spojrzeń na perły. Niektórzy sądzą, że przynoszą pecha, zdaniem innych zaś założenie ich będzie znakiem powodzenia w ważnym dniu. Pamiętaj, trzeba wierzyć w to, co najlepsze, Marianno. To ty sama jesteś gwarancją sukcesu albo porażki, a nie to, co nosisz na szyi.

Jak zwykle Maria miała rację. To ona poradziła Mariannie, żeby nie jechała do ich wspólnego domu, tylko spotkała się z mężem na neutralnym, a co za tym idzie bezpieczniejszym gruncie. Grodnicka naładowała ją mnóstwem życzliwości i dobrej energii, ale Mariannie, w miarę jak zbliżała się do jaskini lwa, mina rzedła. Przy wejściu do budynku ze zdumieniem spostrzegła, że gdzieś znikły dwie marmurowe designerskie donice, które Iwo kupił za ciężkie pieniądze u jednego z warszawskich marszandów.

Maniana wzięła głęboki oddech i pchnęła drzwi. W środku panował zaduch, tak jakby już od dawna nikt tutaj nie otwierał okien. Na szerokim blacie recepcji, gdzie zazwyczaj w białym porcelanowym wazonie stały kwiaty, poniewierały się jakieś nierozpakowane przesyłki i brudne filiżanki po kawie. Marianna oniemiała. Co za chaos! Pracownia była oczkiem w głowie Iwa. Nagminnie zwalniał wszystkie sprzątaczki, jeżeli znalazł nawet najdrobniejszy pyłek kurzu w biurowych zakamarkach, o których przeciętny człowiek nie wiedział, że istnieją (urządzał im sławetny test białej rękawiczki). I gdzie tak właściwie podziewała się Łucja? Lalkowata asystentka Iwa, z pomalowanymi na krwistą czerwień pazurami, prężyła się zazwyczaj za biurkiem, na którym stał srebrny ekran najnowszej generacji komputera ze znanym logo. Łucji nie było. Komputera zresztą też nie.

– Czemu się tak czaisz? Może masz coś na sumieniu? – Za plecami Marianny rozległ się nagle znajomy głos.

Odwróciła się w popłochu. Obiecała sobie solennie, że nie da po sobie pokazać, że się go boi, ale w tym momencie bliskość jej męża wręcz ją paraliżowała. Iwo stał nonszalancko oparty o framugę drzwi. Jego oczy błyszczały niezdrowo, a na twarzy widniał niechlujny kilkudniowy zarost. Miał na sobie wymiętą białą koszulę i poplamione dżinsy.

– Co się tak gapisz? – Podszedł nieco bliżej. Marianna poczuła zapach potu i piwa. – Nieźle wyglądasz – szepnął i nachylił się ku niej.

Poczuła na skórze dotyk jego szorstkiego zarostu. Cofnęła się z obrzydzeniem.

– Proszę, jaka wrażliwa! – parsknął. – Własny mąż ci śmierdzi, tak? A tak w ogóle gdzie jest nasz syn? Stęskniłem się za nim! Jakim prawem wywiozłaś go za granicę bez mojej wiedzy i zgody? – Ton jego głosu przepełniała wściekłość. – A może znalazłaś mu już innego tatusia?

– Uspokój się, Iwo! – huknęła. – Zachowujesz się irracjonalnie. Nie będę ci utrudniać kontaktów z małym, wiem, że go kochasz. – To słowo z trudem przeszło jej przez gardło, ale nie mogła z nim zadzierać. Miał takie same prawa do Benia jak ona. Musiała rozegrać to dyplomatycznie, choć najchętniej zdzieliłaby go po twarzy.

– Czego chcesz? Nie mam czasu na pogaduszki – warknął i wyciągnął z kieszeni paczkę cygaretek.

– Masz zamiar kurzyć tu papierosy? – zdumiała się Marianna. – To do ciebie niepodobne. Pamiętasz, jak zwolniłeś jednego z architektów, gdy zapalił w toalecie?

– Co wolno wojewodzie… – Roześmiał się, ale jego oczy pozostały czujne jak u dzikiego zwierza.

Przytrzymał ustami koniec papierosowego filtra, zbliżył ogień do twarzy i po chwili zaciągnął się, delikatnie wciągając dym do płuc.

– Zaraz rozlegnie się alarm – powiedziała Marianna i wskazała kciukiem przeciwpożarową czujkę na ścianie.

– Spokojnie, wyłączyłem go – rzucił Iwo, zaciągnął się mocniej i zatrzymał wzrok na opalonych ramionach żony. – A teraz mów w końcu, po co tu przyszłaś. Klienci czekają.

Marianna już miała odgryźć się złośliwie, że najprawdopodobniej od dawna nie postawił tutaj stopy żaden klient, ale przypomniała sobie, że musi być dyplomatką.

– Chcę rozwodu! – wypaliła. – Bez orzekania o winie. Im szybciej, tym lepiej – ciągnęła. – Możesz zatrzymać cały majątek. Jedyne, o co cię proszę, to wyrażenie zgody na wyjazd naszego syna do Holandii. Uwierz, tak będzie dla nas najlepiej.

Iwo najpierw patrzył na nią jak na upiora, a potem zaczął się histerycznie śmiać.

– Pięknie to sobie wszystko obmyśliłaś! – syknął. – I co za wspaniałomyślność, że oddajesz mi MÓJ majątek. To ja na wszystko zapracowałem! Ty bawiłaś się z Niną w biznesy, do których bezustannie dokładałem. Jak śmiesz czegokolwiek ode mnie żądać?! Nie oddam ci syna! Benio zostanie tutaj, ze mną, a ty możesz sobie jechać, gdzie dusza zapragnie. Już ci tak spieszno do handlowania własną dupą? Te perły to prezent od kochanka czy sowita zapłata za usługę? Powiem ci, że nieźle się cenisz. Są warte majątek!

Marianna zacisnęła mocno powieki. Jeżeli miała choć cień nadziei, że dogada się z tym idiotą, to właśnie w tym momencie prysła. On nigdy nie dopuści do tego, żeby była szczęśliwa. Będzie się upajał jej cierpieniem, zwodził, kłamał i prześladował. Nawet kosztem ich wspólnego dziecka, które podobno tak kochał.

– Jesteś żałosny, ale nie uda ci się mnie sprowokować – odparowała Marianna. – Próbowałam rozmawiać z tobą po dobroci, ale widzę, że moje szczere intencje nic dla ciebie nie znaczą. – Z całych sił starała się zachować zimną krew, ale czuła całą sobą, że jeżeli za chwilę stąd nie wyjdzie, eksploduje niczym ładunek wybuchowy. – A teraz żegnam! Spotkamy się w sądzie!

– Nie masz szans, Mańka. – Iwo roześmiał się drwiąco. – Wynajmę najlepszych adwokatów. Nie zaczynaj ze mną, bo cię zniszczę. Na dzisiaj koniec tej maskarady. I nie zapomnij przyprowadzić do mnie Benia. Czekam jutro o szesnastej w JEGO domu. I nie próbuj żadnych sztuczek, bo gorzko tego pożałujesz.

Trzasnęły drzwi. Iwo odwrócił się na pięcie i poczłapał do swojego gabinetu. Z szuflady przepastnego biurka wyciągnął srebrną piersiówkę i przytknął ją sobie łapczywie do ust. Kilka kropel alkoholu spłynęło mu na kołnierzyk koszuli. Mocny trunek pity za szybko palił nieprzyjemnie w przełyku, ale już po kilkunastu sekundach Iwo poczuł ulgę i odprężenie. Tej dziwce udało się wyprowadzić go z równowagi. I pomyśleć, że jeszcze niedawno dawał się jej bezkarnie wykorzystywać. Bez niego była nikim, nawet jeżeli wydawało jej się, że sobie poradzi. Niedoczekanie!

Nagle za plecami usłyszał hałas, tak jakby ktoś otworzył drzwi wejściowe. Iwo roześmiał się drwiąco. A jednak Marianna wróciła. Szybciej niż przypuszczał, poszła po rozum do głowy. Ale miarka się przebrała. Tym razem będzie dla niej ostrzejszy!

– Proszę, proszę, dawno się nie widzieliśmy, moja droga żono – rzucił drwiąco i zamarł.

Przed nim bynajmniej nie stała potulna Marianna, tylko jakaś nieznana starucha w dziwacznym nakryciu głowy. Jej drobne ptasie oczka przewiercały go oskarżycielsko na wylot. Poczuł nieprzyjemne mrowienie na plecach. Kim ona była, do cholery?

– Jeżeli przyszła pani w interesach, to muszę panią zmartwić. Pracownia jest już nieczynna – rzucił niecierpliwie Iwo.

– Już? – powtórzyła wolno staruszka. – Czy raczej w ogóle, młody człowieku? Przecież wszyscy w okolicy wiedzą, że tracisz klientów. Przede mną nie musisz ściemniać. Żaden

szanujący się zleceniodawca nie narai ci już żadnej fuchy – perorowała nieznajoma, jakby nie była nobliwą starszą panią, a majstrem z budowy.

– O czym pani mówi? – spłoszył się Iwo. – I kim pani w ogóle jest?

– Doskonale wiesz, o czym mówię – odpowiedziała spokojnie staruszka. – Nie sprawdziłeś przeznaczenia działki, na której zaczęto budowę centrum handlowego. Ten projekt rażąco narusza miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. Grozi ci sąd dyscyplinarny. Zresztą to nie jedyna twoja wpadka… Mam wymieniać kolejne?

– To bzdura! – Na czoło Iwa wystąpiły kropelki potu. – Proszę stąd natychmiast wyjść! Bo wezwę… policję!

– Proszę bardzo! Jestem już w takim wieku, że niczego się nie boję, a już na pewno nie glin – odparowała nieznajoma. – Chętnie sobie z nimi pogadam na różne tematy…

Iwo popatrzył na nią z przerażeniem. Wyglądała na wariatkę, a z takimi lepiej nie zadzierać.

– To… czego pani chce? Pieniędzy?

– Nie masz ich. Podobnie jak honoru i klasy – podsumowała bezlitośnie. – Ale myślę, że możemy ubić interes. Oboje jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

ROZDZIAŁ 24

Zakazany owoc

Rzym, 1978

Kochana Relko!

Dziękuję za Twój ostatni list. Noszę go cały czas przy sobie i czytam w każdej wolnej chwili. Wiesz, że te kartki w kratkę (obstawiam, że zdewastowałaś zeszyt do matematyki) pachną tym cytrynowym mydłem, którego tak nie cierpiałam?! Mama szorowała nim zawsze Twoje plecy, tak mocno, że darłaś się wniebogłosy. A potem… potem przychodziłam do Ciebie do łóżeczka, kładłam się obok, wtulałam twarz w Twój pachnący cytryną karczek i mówiłam Ci, że wszystko będzie dobrze. Wtedy ta cytryna kojarzyła mi się z Twoim smutkiem. A teraz wiesz co? Nawet za nim tęsknię. Tak bardzo jak za Tobą, la mia sorellina[4].

Pytasz, czy widziałam już te wszystkie rzymskie wycieczkowe pewniaki? Jasne, każdy chce zobaczyć Koloseum, Fontannę di Trevi i Schody Hiszpańskie. Ale znasz mnie, wiesz, że nie lubię tego, co wszyscy. Dlatego kiedy łapię kilka wolnych chwil, biegnę na trenini *(to taka ichnia kolejka) i jadę do nadmorskiej dzielnicy Ostia. Sparzyłam tam sobie stopy na piasku, bo jest ciemny i bardzo szybko się nagrzewa, a ja, oczywiście, błyskawicznie ściągnęłam buty. Potem siostra Lukrecja kazała mi moczyć stopy w… maślance!*

Lukrecja to mój dobry duch i przewodniczka. Wszystkie siostry w naszym zgromadzeniu są bardzo pomocne, ale ona jest wyjątkowa. Ciepła i miękka jak drożdżowe bułeczki z kruszonką, co nie znaczy, że nie potrafi czasem huknąć jak z armaty. Wiedzą o tym szczególnie dostawcy warzyw, na których niekiedy wyklina po polsku. Lukrecja twierdzi, że Pan Bóg tego nie słyszy, bo jest Włochem i po polsku nie rozumie ni w ząb. Lubię te jej teorie i opowieści nad ciastem w dzieży albo – mniej romantycznie – nad koszem z obierkami. Ale nie narzekam. Mogłam

trafić do pralni lub, co gorsza, do prasowalni, w której można się zanudzić na śmierć. A ja muszę robić coś kreatywnego, inaczej… zresztą nieważne. Po prostu muszę czuć, że uczę się czegoś nowego. To mi dodaje skrzydeł…

Emilia podniosła oczy znad kartki zapisanej równym, gęstym pismem i przygryzła koniuszek taniego plastikowego długopisu z napisem „Love Rome". Dochodziła czwarta rano. Cały dom zakonny pogrążony był jeszcze we śnie, ale ona nie mogła zmrużyć oka. Cały czas myślała o czekoladkach Baci, które spróbowała tak niedawno po raz pierwszy w życiu. *Baci* oznacza po włosku „pocałunek", ale dla niej ta pralinka zawinięta w szeleszczący papierek znaczyła coś więcej. Czuła, że może kiedyś odmieni jej los. Tak samo jak odmieniła los Luisy Spagnoli, która je wymyśliła.

Louisa, tak jak i Emilia, pochodziła z niezamożnej, a nawet można rzec biednej rodziny z Perugii. Jej ojciec sprzedawał ryby, a matka zajmowała się dziećmi i domem. Mając niewiele ponad dwadzieścia lat, poznała pewnego cukiernika o nazwisku Corelli, który odkrył przed młodą dziewczyną fascynujący świat czekolady i tajnych receptur. Correlim Emilii była siostra Lukrecja, która miała ogromną wiedzę kulinarną, ale nade wszystko kochała czekoladę. Dodawała do swoich wypieków różnych tajemnych składników, które całkowicie zmieniały smak. Czasem po pracy, kiedy na chwilę siadały z Emilią na krzywych stołeczkach w kącie kuchni, przygotowywała gorącą czekoladę. Dodawała do niej odrobinę chili lub cynamon i wanilię. Oprócz praktyki miała ogromną wiedzę teoretyczną, gdyż pomiędzy księgami o żywotach świętych i Biblią ukrywała mnóstwo literatury kulinarnej. To było swoiste *guilty pleasure* siostry Lukrecji.

– Czy ty wiesz, Emilko, że historia czekolady sięga dwóch i pół tysiąca lat wstecz? – mówiła, siorbiąc cicho słodki napój. – Do największej perfekcji w obróbce nasion kakaowca doszli Majowie, umieli je doskonale prażyć i mielić.

– Czyli tysiące lat temu ludzie zajadali się czekoladą tak jak my teraz? – Emilia zrobiła wielkie oczy.

Siostra Lukrecja się roześmiała i otarła kilka kropel gęstej czekolady z wąskich ust.

– Nic podobnego. To był bardzo drogi egzotyczny przysmak, przeznaczony wyłącznie dla ludzi zamożniejszych. Biedacy musieli obejść się smakiem. Jak zawsze.

– I co dalej, siostro Lukrecjo? I co dalej? – Emilia patrzyła na nią proszącym wzrokiem.

– W pewnym momencie czekolada stała się tak popularna, że zaczęto ją traktować jak środek płatniczy. Za ziarna kakaowca kupowano przede wszystkim przyprawy, a czasem nawet

płacono nimi za usługi. Na przykład podkucie konia.

– To niesamowite – szepnęła Emilia. – Ciekawa jestem, czy papież też pija gorącą czekoladę. Mam nadzieję, że tak dobrą jak nasza, bo na pewno nie lepszą.

– Już ty mi tu tak nie kadź, moja droga, bo dokładnie wiem, że chcesz mnie nakłonić do pogaduszek, żebym zapomniała o tej stercie naczyń, która już od dobrych trzech kwadransów czeka na swoją kolej. Nie ma obawy, zaraz cię zagonię do zmywania. – Lukrecja pogroziła palcem, ale oczy się jej śmiały. – A wracając do papieża… raczej nie lubi się objadać słodyczami. Choć dobrym deserem nie pogardzi. Podobno mawia, że aby poznać kulturę jakiegoś kraju, trzeba również jeść to, co ten naród lubi. A tak w ogóle, to musisz wiedzieć, że władze kościelne zakazywały swego czasu picia czekolady!

– Dlaczego? Przecież to nie alkohol! – zdumiała się Emilia.

– Oczywiście, że nie, ale jest napojem dosyć pobudzającym. – Siostra Lukrecja odchrząknęła znacząco. – Wyobraź sobie, że hiszpańskie damy na mszach piły ją litrami po to, żeby przetrwać ciągnące się w nieskończoność nudne liturgie.

Emilia zachichotała jak mała dziewczynka.

– Biskup wywiesił wtedy na drzwiach świątyni kartkę, w której zakazał picia tego diabelskiego napoju… – Lukrecja przeżegnała się szybko, wznosząc na sekundę oczy ku niebu – …podczas mszy pod groźbą ekskomuniki.

– I co na to wierni?

– Zaczęli omijać szerokim łukiem mury świątyni – westchnęła Lukrecja.

Nie dodała, że sam biskup niedługo potem został otruty. Nie chciała już mieszać w głowie swojej ciekawskiej i bardzo pojętnej uczennicy. Jeżeli naprawdę chciała znaleźć swoją drogę do Boga, Lukrecja musiała jej w tym pomóc. Nawet jeżeli miałaby do niego trafić za pomocą… czekolady.

[4] wł. moja siostrzyczko

ROZDZIAŁ 25

Pierwsza Bombonierka

Otmuchów, 1979

Aurelia delikatnie wyciągnęła z oklejonej zagranicznymi znaczkami paczki niewielkie zawiniątko. Kiedy niecierpliwie rozerwała papier, jej oczom ukazała się jedwabna apaszka w drobniutkie, naszyte złotą nicią gwiazdy. Przyłożyła śliski materiał do twarzy i poczuła delikatny kwiatowy zapach wody toaletowej, którą spryskano pakunek. Szybko sięgnęła po list w długiej białej kopercie i przebiegła wzrokiem starannie zapisane stronice.

Tak jak się spodziewała, Emilia nie odpowiedziała na jej pytanie, czy jest w Rzymie szczęśliwa. Czy zakon to jej miejsce na ziemi, a jeżeli nie… jak ona, jej młodsza siostra, może jej pomóc się z niego uwolnić. Przez słowa Emilii przebijała wprawdzie radość i beztroska, ale Aurelia doskonale wiedziała, że siostra umie się maskować. Cały czas pisała o czekoladzie i o pracy w kuchni, o siostrze Lukrecji i o egzotycznych przyprawach, o których Aurelia nigdy nie słyszała. Co to jest sól morska? Czyżby wydobywana z dna Bałtyku? A jakieś chili czy szafran? Z początku myślała, że szafran to jakaś szlachetna tkanina, z której można uszyć eleganckie sukienki albo letnie płaszcze. Jedyna rzecz, o której miała jakie takie pojęcie, to była gałka muszkatołowa, może dlatego, że babcia miała ją zawsze w swojej kuchni.

Relka… Bardzo Cię proszę, spróbuj wykraść dla mnie stare przepisy na ciasta babci. Mama chowa je w szafce kuchennej, pod prodiżem. Tylko pod żadnym pozorem nic jej nie mów. Ona i tak z nich nie korzysta. Twierdzi, że nikt normalny nie zużywa do wypieków prawie całej

kostki prawdziwego masła, bo nie można go nigdzie dostać, nie mówiąc już o kakao! Mnie te receptury mogą się kiedyś przydać…

Wiem, że będziesz się ze mnie śmiać, ale czekolada naprawdę mnie wciągnęła! Nawet nie chodzi o jej jedzenie, ale o wyczarowywanie z niej deserów i wypieków. We Włoszech tak kochają słodkości! Tutaj nawet zwykła kawa zbliża ludzi, wywołuje uśmiech na ich twarzach, prowokuje rozmowy i dyskusje. A ja tak bardzo chciałabym dawać ludziom taką radość. Z najprostszych rzeczy. Pachnących cynamonem, wanilią i czekoladą…

„A może szczęście Emilii to właśnie ta czekolada? – zamyśliła się Aurelia. – Tylko jak to połączyć z zakonem? Gdzie służba Bogu, msze, a gdzie kawiarnie, kawa i bombonierki?". Ale mocno wierzyła w kreatywność swojej siostry. Była przekonana, że będzie potrafiła to wszystko posklejać. Nawet jeżeli teraz ten pomysł wydawał się nierealny.

Nagle za drzwiami rozległ się ledwo słyszalny szmer. Aurelia błyskawicznie wcisnęła list pomiędzy stronice podręcznika do fizyki. W tym momencie do pokoju weszła matka.

– Widziałam, jak rozmawiałaś z listonoszem – rzuciła i spojrzała zimno na rozpakowaną paczkę leżącą na tapczanie. – Mam nadzieję, że Emilia w końcu przysłała ci z Rzymu prawdziwy różaniec poświęcony przez naszego papieża? – mruknęła i bez pytania sięgnęła do zawiniątka. – A cóż to za zbytki? Chustka?! W dodatku jedwabna? Czy ta dziewczyna nigdy nie nauczy się pokory?! Jakim prawem wydaje na ciebie cudze pieniądze?!

– To nie są cudze pieniądze – zaprotestowała Aurelia. – Emilia pracuje w kuchni. Pomaga jednej zakonnicy…

– Nie pyskuj mi tu, gówniaro! Co to za praca?! Obijanie się! – warknęła Dobrzycka. – Ja na jej miejscu na kolanach przed ołtarzem Bogu bym dziękowała. W klasztorze dostaje wikt i opierunek za darmo! Powinna się wstydzić… Nie ma wyjścia, konfiskuję te tekstylia. Sprzedam je do komisu, a zarobione pieniądze dam na mszę. W intencji tej durnej dziewuchy! Siedzi sobie w Rzymie jak pączek w maśle, a ja tu ręce urabiam…

– Mamo, muszę się uczyć do klasówki… – Aurelia patrzyła na matkę obojętnie, jak na meblościankę.

Dobrzycka chciała jeszcze coś powiedzieć, ale machnęła ręką. Zawinęła chustkę w rozdarty papier i wyszła z pokoju. Aurelia stała jeszcze przez chwilę w bezruchu, a potem osunęła się na nakryty pasiastą narzutą tapczan i nakryła głowę poduszką. Po chwili dobiegł spod niej cichy płacz. Pobrzmiewała w nim bezradność skrzywdzonego dziecka.

Rzym, 1979

– Siostro Lukrecjo, kto nauczył siostrę sztuki cukierniczej? Jak siostra odkryła w sobie tę pasję? – zapytała Emilia i oblizała ze smakiem unurzany w gęstym kremie palec.

Przygotowywały wspólnie wytrawny tort czekoladowy na zamówienie jednej z najlepszych rzymskich cukierni – Borgo Pio, która dostarczała swoje wypieki do Watykanu. Kiedy Emilia dowiedziała się, że będą piekły ciasta, które najprawdopodobniej trafią na stół papieża, nie mogła ukryć podekscytowania.

– A jeżeli ten tort nie będzie mu smakować? – zapytała nagle z przestrachem. – Przecież on jest przyzwyczajony do dzieł mistrzów! A my tu… skromnie i swojsko.

– Bez przesady – mruknęła Lukrecja i zaczęła drobno siekać migały do posypki. – Właśnie o to chodzi, że ma być swojsko. Papież nie lubi zbytków. Teraz gotują mu siostry ze Zgromadzenia Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego z Krakowa. Papieskim gospodarstwem zarządza siostra Tobiana. Znamy się dosyć dobrze, bo kiedyś razem piekłyśmy ulubiony tort Ojca Świętego, z migdałowej bezy z kremem waniliowym.

– Myślałam, że papieża otaczają włoskie zakonnice.

– Teraz już nie. Osobistymi kucharkami jego poprzednika były zakonnice z regionu, z którego pochodził, czyli z włoskiej Lombardii.

– A co tam lubią jeść?

– Zdziwisz się, moja droga! Zwykłą polentę. To taka papka z mąki kukurydzianej. I masz te swoje papieskie specjały! – Lukrecja śmiała się tak, że aż trząsł się jej podbródek. – Ale jeżeli chcesz, to mogę nauczyć cię piec najsłynniejszą słodkość z Lombardii, panettone. To bardzo łatwa do przyrządzania babka drożdżowa wypełniona bakaliami aż po „sam dach".

– Tak, tak, koniecznie! – Emilia klasnęła. – Ale nie odpowiedziała mi siostra na pytanie, skąd u siostry ta pasja do słodyczy.

– Zadajesz mi ich tyle, że trudno się połapać. Ale dobrze, opowiem ci o tym. Tylko nie zapomnij ubić śmietanę na krem.

Przez chwilę pracowały w milczeniu, aż w końcu siostra Lukrecja zaczęła mówić:

– Pytasz mnie, dziecko, jak odkryłam w sobie miłość do czekolady? Rok po wojnie w moim rodzinnym mieście, we Wrześni w Wielkopolsce, jedna z moich przyjaciółek, Helenka, jako pierwsza na tych terenach zrobiła dyplom z cukiernictwa. Rok później namówiła mnie na ten sam kurs i postanowiłyśmy otworzyć własny – jak to się wtedy mówiło – interes.

Trzymałyśmy się zawsze razem, dlatego bez wahania przyjęłam tę propozycję, tym bardziej że już wtedy lubiłam słodkości. Nasza cukiernia znajdowała się w zapuszczonym budynku po kuźni i zakładzie ślusarskim. Wykonałyśmy gigantyczną robotę, żeby doprowadzić ten przybytek do jako takiego stanu. Pracowałyśmy od świtu do nocy, z dłońmi pokaleczonymi od wystających wszędzie gwoździ, umorusane od stop do głów, ale… szczęśliwe.

– To się właśnie nazywa pasja. Kiedy pomimo wszystko i na przekór wszystkiemu robi się to, co się kocha. Po prostu… – powiedziała cicho Emilia.

Siostra Lukrecja potarła w zamyśleniu policzek.

– Boże drogi, myśmy wtedy niczego nie miały… Helenka od kuzynki z Ameryki dostała formę do czekolady, bo w tym naszym biednym zniszczonym wojną kraju niczego nie było. Przydziały, które dostawałyśmy od państwa, starczały nam na styk. Zwykłe rodzynki czy orzechy traktowano jak towary luksusowe…

– Do dzisiaj nic się nie zmieniło. Moja siostra w życiu nie próbowała prawdziwej czekolady, tylko jakieś jej marne podróbki. Ale już niedługo… – Emilia urwała nagle i odwróciła głowę. Chyba było jeszcze za wcześnie na zdradzanie swoich planów. Nawet tak dobrej duszy jak siostra Lukrecja.

– Zobacz, dziecko... Ta moja kuchnia jest taka skromna, a w porównaniu z tym, co miałyśmy z Helenką w naszej cukierni, wydaje się królestwem. Jeździłyśmy po pracy po ludziach, którzy ze strychu ściągali nam kuchenne akcesoria. W ten sposób dorobiłyśmy się starej wafelnicy, wałków, foremek i drobnego sprzętu do mielenia cukru i obierania jabłek.

– I jak wam szło w tej cukierni? I jaką miała nazwę?

– Na początku w miarę dobrze, a potem coraz częściej ucinano nam przydziały. Byłyśmy bardzo kreatywne, ratowały nas produkty kupowane na straganach u lokalnych przekupek. Kiedy więc na targu dostępne były tylko jaja, robiłyśmy z nich ciepłe lody. Nikt nigdy, uwierz mi, dziecko, nawet w najbardziej znanych szkołach świata, nie nauczyłby mnie takiej kreatywności, jak te lata kombinowania w naszej cukierni. A potem…

– Co było potem?

– Zazdrość i ludzka zawiść, że dwóm młodym kobietom tak się powodzi. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku dostałyśmy nakaz zamknięcia lokalu.

– Jak to, dlaczego?! – zawołała wzburzona Emilia.

– Oficjalnie umotywowano tę decyzję… brakiem nożyczek w apteczce. Nie należałyśmy do partii, a to już klasyfikowało nas jako wrogów ustroju. Helenka nie zamierzała się poddać, próbowała jeszcze interweniować u swojego znajomego, kierownika Wydziału Przemysłu

i Handlu w Poznaniu, ale niczego nie wskórała. Ja natomiast… kompletnie się załamałam. I w ten sposób trafiłam do klasztoru… – Siostra Lukrecja szybko otarła spracowaną dłonią spływającą po policzku łzę. – Ale uwierz mi, Emilio, bardzo często myślę o tej naszej Bombonierce.

– Bombonierce?

– Tak… tak właśnie nazywała się ta cukiernia. Ładnie, prawda? Chyba o to też pytałaś. A teraz moja kolej… – Siostra Lukrecja ujęła się pod boki. Wyglądała teraz jak sroga nauczycielka stojąca nad uczniem, który zapomniał odrobić zadanie.

– Co siostra ma na myśli? – zdziwiła się Emilia.

– Moja kolej na zadawanie pytań – doprecyzowała Lukrecja. – Powiedz mi, dlaczego tutaj jesteś. Przecież widzę, że to nie jest miejsce dla ciebie. Nie bój się, niczego nie zdradzę siostrze przełożonej. Chyba przez te wszystkie miesiące udowodniłam ci, że można mi zaufać. Ktoś ci kazał, tak? Matka?

Emilia spuściła głowę. Po chwili na jej szary habit jedna za drugą zaczęły spływać łzy. Lukrecja nie była wylewna. Jedynym przejawem czułości, na który czasem sobie pozwalała, było przyjacielskie poklepanie po ramieniu. Tym razem jednak bez wahania podeszła do swojej młodej uczennicy i przytuliła ją mocno do serca.

– Chyba wiem, co jest twoim powołaniem, moje dziecko – powiedziała. – I to jest całkowicie moja wina, bo to ja pomogłam ci je odkryć. Dlatego teraz cię nie zostawię. Nie bój się już. Wszystko będzie dobrze, słyszysz? Wszystko będzie dobrze…

ROZDZIAŁ 26

Odkrycie i pojednanie

– Marta! Zobacz, jak myślisz, mogłybyśmy coś z tym zrobić? – Nina siedziała już od kilkunastu minut nad otwartym pudełkiem z pożółkłymi przepisami babci i ciotki Emmy, do którego zaglądała za każdym razem, kiedy tęskniła za domem.

Przed godziną zamknęły Bombonierkę, ale Marta krzątała się jeszcze za kontuarem, poprawiając idealnie równe piramidki z nowych czekoladek, wypełnionych aksamitnym nadzieniem z róży. To nadzienie wymyśliła Kuleczka, pomysłowo mieszając wodę z miodem, konfiturą z płatków róży i odrobiną soku z cytryny, który nadawał lekko kwaskowaty posmak.

– Pokaż, co tam masz? – Marta wytarła mokre dłonie w fartuch i zaintrygowana podeszła do szefowej. Pochyliła się nad stosem karteluszków, które pachniały zetlałym cukrem pudrem i wanilią. – Co to jest?! – zakrzyknęła i chwyciła zapisaną wyblakłym atramentem kartkę z recepturą. – Chowasz tutaj prawdziwy skarb, Nina! Skąd to masz?!

– Spokojnie, nie nakręcaj się tak. – Roześmiała się. – Będę cię potrzebować. Może wybierzemy z tego skarbca, jak mówisz, kilka fajnych przepisów. Możemy nazwać tę cukierniczą serię „Powrót do przeszłości". Albo „Wypieki jak za dawnych lat". Holendrzy uwielbiają takie tradycyjne smaki. Choć obawiam się, że polecenie „Weź kopę jaj i dwa kilogramy masła" będzie nieco trudniejsze do wykonania.

– Brzmisz jak Lucyna Ćwierczakiewiczowa! Moja prababcia piekła ciasta tylko z jej przepisów.

– Kto to Ćwierczakiewiczowa? – Nina zmarszczyła brwi.

– Nie wierzę! Normalnie nie wierzę! Właścicielka jednej z najlepszych cukierni w tym mieście nie zna Lucyny? To skandal!

– To aż takie *faux pas*? To mów mi szybko, co to za jedna.

– To najsłynniejsza autorka dziewiętnastowiecznych książek kucharskich. Nakłady jej dzieł prześcigały wówczas nawet samego Sienkiewicza! Każda szanująca się pani domu korzystała z jej przepisów na obiady i desery.

– Czy ty naprawdę musisz wszystko wiedzieć? – jęknęła Nina. – I co owa Lucyna ma wspólnego z jajkami ciotki Emmy?

– No właśnie Ćwierczakiewiczowa była znana z twierdzenia „weź kopę jaj i dwie dziewki". Co prawda ty kop nie używasz, ale dziewek u ciebie pod dostatkiem.

– A idźże ty, złośliwcze!

Nina chwyciła wiszący na oparciu krzesła płócienny ręcznik, zamachnęła się z całej siły i rzuciła nim w Martę. Ta zwinnie uchyliła się od ciosu, ale w tej chwili drzwi Bombonierki się otworzyły i stanął w nich Romeo. Płócienny ręcznik trafił go prosto w twarz. Nina spurpurowiała i zerwała się z krzesła.

– Przepraszam cię najmocniej! – zawołała. – To niechcący… To Marta miała… znaczy… chciałam ją uderzyć… Nie! Nie uderzyć… ostrzec!

– Już się tak nie plącz w zeznaniach. – Marta zachichotała. – I tak wyszłaś na zołzę. To wy sobie tutaj pogadajcie, a ją idę do… jajek! – zawołała i już jej nie było.

Romeo stał bez ruchu, uśmiechając się zagadkowo, z ręczniczkiem w dłoni.

– W pierwszym momencie przeraziłem się, że zaraz zaczniesz strzelać – rzucił rozbrajająco. – A ja przybyłem tutaj w pokojowych zamiarach. Zważywszy na nasze ostatnie spotkanie… a raczej jego niefortunny koniec…

– Jeszcze raz bardzo cię przepraszam, Romeo – wykrztusiła Nina. – Ale naprawdę, uwierz mi, pomiędzy mną a twoim bratem do niczego nie doszło. Ja nawet nie pamiętam, jak on się znalazł w moim… ekh… znaczy w twoim łóżku. Ech, to wszystko jest takie zagmatwane… – Urwała i opuściła głowę.

– Nie, to nie jest zagmatwane. Oboje z Valem byliście pijani, a ja, biję się w pierś, zareagowałem nieco porywczo. Zważywszy na okoliczności, być może jestem usprawiedliwiony, co nie zmienia faktu, że wylałem całe wiadro frustracji na was, a właściwie na ciebie. Po Valu zapewne spłynęło to jak po kaczce, ale… ty nie jesteś moim upiornym braciszkiem. Gdyby nie pokłócił się ze swoją panną i nie władował w nocy do mojego mieszkania, jak pospolity złodziejaszek, nigdy by nie doszło do tej kuriozalnej sytuacji.

– On nawet nie wiedział, że ktoś leży obok niego! – Nina przewróciła oczami.

– I bardzo dobrze! Kto wie, co wtedy strzeliłoby do tej jego tępej głowy. Nie ufam mu w tych sprawach za grosz… – Romeo postąpił krok. – A teraz, Nino, proszę cię o wyjaśnienie. Pytałem już o to podczas twojej wizyty, ale byłaś wtedy, delikatnie mówiąc… niedysponowana.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Romeo. Byłam pijana w nieboszczyka!

– W trupa, w trupa! No skoro sama tak twierdzisz, nie będę zaprzeczał. Tak było.

Roześmiali się oboje.

– To o co chciałeś mnie zapytać, Romeo? – Nina przekrzywiła lekko głowę.

– O ten miłosny list. Wyjaśnisz mi w końcu, do kogo był adresowany?

Nina jęknęła rozdzierająco.

– Nie uwierzysz… Do pana Jolinka.

Romeo zamarł.

– Tego od browarów DAVO? Darzysz go tak gorącym uczuciem?! Nie wiedziałem, że tak dobrze się znacie…

– Boże broń! – zaprotestowała żywo Nina. – Mam z nim kontakty wyłącznie biznesowe. Zamówił u nas czekoladki dla swojej narzeczonej, której zamierzał się oświadczyć. I ten liścik był do niej. Nie wiem, jakim cudem trafił do ciebie, pewno któraś z dziewczyn pomyliła zamówienia.

– Wszystko więc wskazuje na to, że romantyczną miłość wyznał mi dyrektor Jolink. A ja naiwnie myślałem, że to ty…

– Przykro mi, to nie byłam ja. – Nina spojrzała mu odważnie w oczy. – Ale… przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się ze sobą przyjaźnili. Tylko mi nie mów, że to niemożliwe. Bardzo mi na tobie zależy, Romeo. Naprawdę. Bardzo. Od początku tak było. Nikt nie był dla mnie tak życzliwy i pomocny jak ty. Mimo że teoretycznie jesteśmy konkurencją.

Romeo nie zdążył nic powiedzieć, gdyż nagle zza szklanych drzwi wejściowych dobiegły ich jakieś krzyki. Zaintrygowani wyjrzeli na zewnątrz. Po opustoszałej o tej porze Walstraat biegła na niebotycznych obcasach narzeczona starszego Jeurissena, Nicolette.

– Wiem, że tu się ukryłeś, żmijo jedna! – krzyczała, machając miniaturową białą torebką typu baguette.

– Żmijo? – rzucił Romeo, dusząc się ze śmiechu. – Chyba węża?! Co on znowu nawyprawiał? Mam tylko nadzieję, że nie zalazł jej zbyt mocno za skórę, bo z panną Nicolette nie ma żartów.

Nina zerknęła w głąb ulicy. Nicolette stała teraz przed croissanterią i waliła pięścią w witrynę. Romeo nerwowo podrapał się po głowie.

– Chyba muszę zainterweniować, bo inaczej źle się to skończy – mruknął. – Nie mam zamiaru szukać na gwałt szklarza, a jak tak dalej pójdzie, zostaniemy na noc bez szyb. Idziesz ze mną?

Nina zaprzeczyła gwałtownym ruchem dłoni.

– Wybacz, ale nie chcę się w to mieszać. To wasze rodzinne sprawy. Wolałabym nie wchodzić w drogę tej temperamentnej pannicy. Ale pamiętaj, gdybyś potrzebował pogadać, zawsze możesz dzwonić.

– Dziękuję, Nino. Naprawdę to doceniam. A teraz idę mediować. Życz mi powodzenia!

Marianna nie mogła uwierzyć własnym oczom. Po raz kolejny czytała pismo od prawnika, szukając jakichś ukrytych kruczków, ale wszystko wskazywało na to, że w końcu Iwo odpuścił. To jakiś cud! A może to Benio tak go zmiękczył? Spędzili ze sobą prawie całe popołudnie. Mały twierdził, że tatuś był bardzo wesoły, grał z nim w piłkę na nowym boisku na osiedlu, a potem poszli na pizzę. I tatuś pozwolił mu wypić pół szklanki coli.

– W ogóle, ale to w ogóle nie był zły, mamusiu – mówił podekscytowany Benio, kiedy kładła go do łóżeczka. – Trochę się bałem, że będzie się na mnie denerwował...

– A dlaczego miałby się na ciebie denerwować? Dlaczego tak myślisz, synku? Przecież niczego złego nie zrobiłeś?

– Wyjechałem do Holandii bez pożegnania – sapnął Benio. – A to przecież niełądnie. Sama mi mówiłaś, że ludzie, których kochamy, muszą sobie wszystko mówić. A ja kocham tatę. Chyba nie jesteś o to na mnie zła? Bo ty go już chyba nie lubisz…

– Nie jestem zła, syneczku. Nic a nic. – Marianna pogładziła go czule po miękkich włoskach. – I to nie tak, że już nie lubię taty. Po prostu czasem tak jest, że drogi dwojga ludzi się rozchodzą. Tak się właśnie stało ze mną i z twoim tatą. Ale wiesz co, pomimo tego w pewien sposób już na zawsze będziemy ze sobą związani. Wiesz dlaczego?

Mały ziewnął szeroko. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie zamknąć oczu.

– Bo macie mnie? – zapytał cicho, łapiąc ją za rękę.

Marianna uniosła pulchną łapkę synka i przytknęła ją sobie do ust.

– Jesteś bardzo mądry, wiesz? Codziennie dziękuję losowi za to, że pozwolił mi zostać twoją mamą…

Benio już tego nie słyszał. Sapnął głośno przez sen i przekręcił się na drugi bok. Marianna starannie przykryła go kołdrą i na palcach wyszła z pokoju. Z kuchni dochodził zniewalający aromat świeżo pieczonego drożdżowego ciasta. Marianna uśmiechnęła się do siebie i zeszła po schodach na dół.

– Pani Mario, naprawdę chciało się pani piec ciasto po nocy? – powiedziała do stojącej przy kuchennym stole staruszki.

– Jaka to noc?! Dochodzi ósma! – zaprotestowała Grodnicka. – A poza tym przecież ci obiecałam. Siadaj, kochana, zrobię ci dobrej herbaty z malinami. Chyba że wolisz coś mocniejszego. Gdzieś tu powinna być wiśniowa nalewka, którą dostałam od sąsiadki. – Maria rozejrzała się wokół siebie z roztargnieniem.

– Nie trzeba, pani Mario. Odkąd sama opiekuję się Beniem, unikam alkoholu. Ale dobrej herbaty chętnie się napiję.

Grodnicka podeszła do kuchenki i zapaliła gaz pod wielkim żeliwnym czajnikiem. Za oknem zaczęło zmierzchać. Na parapecie paliły się dwie grube świeczki, których płomienie tańczyły wesoło na ciemnej szybie. Marianna chwyciła leżący na oparciu krzesła włóczkowy szal i otuliła nim ramiona. Czuła się tutaj tak dobrze, tak bezpiecznie…

– I jak tam twoje sprawy? Opowiadaj! – Grodnicka usiadła naprzeciw niej przy okrągłym stole i jak zwykle poprawiła ręką zakrzywioną nieco szydełkową serwetę. – Iwo dalej robi trudności?

– Pani Mario, właśnie nie! Sama nie mogę w to uwierzyć! – Oczy Marianny błyszczały. – Postanowiliśmy, że weźmiemy rozwód bez orzekania o winie. Może uda się to załatwić na jednej rozprawie. Najważniejsza jest dla mnie jego zgoda na wyjazd Benia za granicę…

– A alimenty na małego? I wasz majątek? Podzielicie się wszystkim po połowie? – zapytała Grodnicka. Była już za stara i za bardzo doświadczona życiowo, żeby wierzyć w cudowne przemiany takich drani, jakim był Iwo.

Marianna odwróciła głowę. Milczała. Grodnicka czekała cierpliwie, ale po kilkunastu sekundach ciszy zapytała ponownie:

– Co z domem, Mańka? Mów mi tu zaraz! Zarobiliście na niego wspólnie!

– Nie chcę od niego niczego – rzuciła hardo Marianna. – Poradzę sobie. Będę pracować w Holandii. Alimenty – tak. To mi obiecał. Pani Mario, ja naprawdę nie chcę się z nim kłócić. Dla dobra Benia. Ja wyjeżdżam, on zostaje. Musi gdzieś mieszkać…

– Nie dziwota, że się tak szybko zgodził. – Grodnicka zmarszczyła czoło. Gdzieś tam w tyle głowy kołatała jej niesprecyzowana do końca myśl, że za tym ugodowym zachowaniem

Iwa musi się coś kryć. – Ale nie ma co rozdzierać szat – dodała. – Masz rację. Najważniejsze, że pan i władca łaskawie zezwolił na to, żebyś w końcu mogła na nowo ułożyć sobie życie. A teraz koniec już dyskusji na jego temat. – Maria wstała i ruszyła w kierunku kuchenki. – Napijemy się herbatki. I ciasto też już gotowe. Nie wiem jak ty, ale ja uwielbiam takie gorące, prosto z pieca.

ROZDZIAŁ 27

Rzeźby z czekolady i kwiatowy projekt

Dziewczyny już od rana kręciły się po Bombonierce jak frygi. Nina wymyśliła, że co jakiś czas będą zmieniać kolory obrusów, dopasowując je do barw sezonowych kwiatów. Przed miesiącem były liliowe jak bez, zwany w Holandii *sering*, teraz na stołach królowały biel i błękit, a w wazonach pyszniły się pełne kielichy dorodnych hortensji. Nina, zagłębiona w lekturze ostatnich maili od dostawców, siedziała przy ostatnim stoliku przy wejściu do ogródka, ale co jakiś czas pilnie zerkała na wypełnioną ludźmi salę. Klientów w Bombonierce nie brakowało, ale to nie była tylko jej zasługa. Gdyby nie świetnie zgrany team, na pewno nie osiągnęłaby w tak krótkim czasie tak wiele. Miała nadzieję, że już niedługo dołączy do nich Kristen, która trzy tygodnie temu pochowała męża. Henk po ciężkiej chorobie umarł w hospicjum De Winde. Kristen próbowała się trzymać, przede wszystkim dla ich dzieci, ale jak sama wspomniała Ninie w ostatniej rozmowie telefonicznej, jedynym antidotum na jej smutki mogła być teraz praca. Kristen kochała Bombonierkę, nowe receptury, ruch i gwar, który tutaj panował, a który choć na chwilę mógł pomoc jej się oderwać od smutnej rzeczywistości.

– Mam nadzieję, że znajdziesz dla mnie miejsce, Nino – powiedziała wprost Kuleczka. – Wiem, że przyjęłaś nową pracownicę, ale zapewniam cię, stara Kristen jeszcze może ci się na coś przydać.

– Kochana, przecież wiem… Twoje nadzienie z róży robi furorę, zamiast więc kombinować w swojej kuchni, możesz to robić z nami. Tęsknimy za tobą… Poza tym gdybym cię nie przyjęła, ciotka Emma wstałaby z grobu i straszyła mnie po nocach. Kristen… gdyby nie ty… – Głos Niny załamał się lekko, ale nie zamierzała ukrywać swoich emocji. – Gdyby

nie ty… nigdy bym nie została w Bombonierce. Sprzedałabym ją już dawno. Dlatego wracaj do nas jak najszybciej. Bardzo cię potrzebujemy. Bez ciebie Bombonierka nie jest kompletna. Tak jakby brakowało w niej największej i najbardziej smakowitej czekoladki.

Kristen się roześmiała. Pierwszy raz od bardzo dawna…

– Ty jesteś tą czekoladką, Nina. I pamiętaj, Emma byłaby z ciebie bardzo dumna.

– A co ty taka zamyślona, szefowo? – Do stolika podbiegła Marta. Miała lekko potargane włosy i jakiś dziwny błysk w oczach. – Wiem, że te faktury są okropnie nudne, ale żeby aż tak?

– Nie myślałam o fakturach! – Uśmiechnęła się. – A co się stało, wyglądasz tak… promiennie?

Marta przysiadła na krześle.

– Był tu przed chwilą Romeo… – zaczęła. – Pogadaliśmy chwilę.

– Tak? – Nina spojrzała na nią uważnie. – A o czym, jeżeli mogę wiedzieć?

– Wspomniałam mu o pomyśle kwiatowym…

– Chodzi ci o obrusy?

– Nie! O lawendę, fiołek i miętę. Wymyśliłam, że oprócz naszego hitu piri-piri, który działa, jak wiemy, na libido – mrugnęła filuternie okiem – moglibyśmy również produkować coś na uspokojenie.

– Dla równowagi? Najpierw rozpalać, a potem gasić? – Nina zachichotała.

– Nie do końca… – Marta potrząsnęła głową. – Choć nie ukrywam, że urząd miejski powinien nam zacząć płacić. Kto wie, ilu nowych obywateli miasta urodzi się po tym, jak zaczęłyśmy sprzedawać nasze czekoladki?

– To prawda. Podniesiemy krzywą demograficzną w całej okolicy! – parsknęła Nina.

– A teraz znowu możemy zrewolucjonizować lokalny rynek. Tylko nie do końca wiem, jak to ugryźć… – Marta się zafrasowała. – Lawenda ma cudowne właściwości: jej zapach uspokaja, a olejki eteryczne działają korzystnie na skórę. No a niepozorne fiołki mają zastosowanie w ziołolecznictwie… Tylko jak można te skarby natury wykorzystać w naszych recepturach?

– A co wspólnego ma z tym Romeo? Czyżby również chciał dodawać fiołki do croissantów? – Nina nie mogła się powstrzymać od drobnej złośliwości.

– Skądże! Żadne takie! Coś tam mu napomknęłam o swoich rozkminkach i dał mi świetną radę! Polecił mi warsztaty dla mistrzów czekolady w legendarnej fabryce Neuhausa w Belgii.

Podobno właściciele stworzyli tam Akademię dla takich zapaleńców jak ja! – zawołała podekscytowana. – To właśnie Neuhaus wymyślił pierwszą pralinkę z miękkim nadzieniem!

– Tak, słyszałam o tych pralinkach – powiedziała Nina. – Emma pisała o Neuhausie w swoich pamiętnikach. Wiesz, że je podczytuję wieczorami. W ten sposób coraz lepiej ją poznaję. Podobno siostra Lukrecja, którą Emma poznała w klasztorze, spotkała kiedyś w Brukseli Neuhausa w jednej z jego cukierni. Wiesz, że zaczynał jako aptekarz i ku uciesze swoich klientów pokrywał niektóre medykamenty cienką warstewką najlepszej czekolady?

– To brzmi fascynująco! – Marta klasnęła z zachwytu. – Tak naprawdę to ja się tutaj mądrzę, ale jestem samoukiem. Nigdy nie zgłębiłam porządnie tej sztuki od podstaw. Znam technikę temperowania czekolady, ale chciałabym to wszystko jakoś usystematyzować. I nauczyć się podstaw tworzenia rzeźby czekoladowej. To moje największe marzenie: rzeźbić w czekoladzie. Co ty na to, żeby w naszej Bombonierce stanęła czekoladowa miniatura tej kamienicy? Zobaczysz, że odtworzę ją idealnie, tylko pozwól mi pojechać!

– Nie widzę przeszkód. – Nina się uśmiechnęła. – Kristen wraca niedługo do pracy, więc może cię zastąpić. A ty idź, spełniaj swoje marzenia! Sama wiem, jaka to radość, kiedy ktoś daje nam możliwość rozwoju. No już, przestań, bo mnie udusisz. – Broniła się nieudolnie, bo Marta nieoczekiwanie rzuciła się jej na szyję, piszcząc jak nastolatka. – Przetrzesz szlaki, bo i ja powinnam pójść na taki kurs. Dużo się tutaj uczę, ale ciągle mam wrażenie, że niczego nie wiem. A te faktury… brrr… to nie dla mnie. Od zawsze lubiłam działania bardziej kreatywne niż wypełnianie tabelek w Excelu. A teraz idź pomóc Isie, bo widzę, że patrzy błagalnie w naszym kierunku, i wcale się jej nie dziwię. Mecenasowa Klundert zapewne znowu marudzi, że nie mamy całego pudła jej ukochanych pralinek.

Marta poprawiła opadające na czoło włosy i popędziła w kierunku gablot z czekoladkami. Teraz nawet mecenasowa i jej wieczne fochy nie były jej straszne. Gdyby mogła, fruwałaby kilka centymetrów nad ziemią! Wiedziała, że Nina się zgodzi na tę Belgię! Ale nadal czuła lekkie wyrzuty sumienia, że nie powiedziała jej wszystkiego…

ROZDZIAŁ 28

Tykająca przesyłka szefa mafii

Witold Kostrzewski jak co dzień po obiedzie udał się na zasłużoną drzemkę. Aurelia wolała spędzać swój wolny czas w sposób zdecydowanie bardziej czynny, gdyż zapisała się na jogę. Witold nie zamierzał po próżnicy machać nogami, a poza tym miał inne zmartwienia. Ostatnie tygodnie były dla niego niezwykle stresujące, co zauważył z niepokojem, przypatrując się swojej pogłębiającej się łysinie. Mógłby przysiąc, że jeszcze przed rokiem jego zakola były mniejsze, a teraz z przestrachem zerkał w lustro podczas porannych ablucji. Najgorsze było to, że nie miał nawet komu się wyżalić. Własna siostra na pewno by go wyśmiała, a żona jak zwykle zbagatelizowałaby problem, twierdząc, że kocha go takiego, jakim jest. Gadanie! Nie takiej rady potrzebował! Chciał konkretów, które pozwoliłyby mu zapobiec tym nieodwracalnym zmianom rujnującym jego dobre imię. Pardon, wizerunek. Łysina w kwiecie wieku? Mick Jagger był sporo od niego starszy, kiedy po raz kolejny został ojcem, a on już ma nosić tupecik? Niedoczekanie! Musiał jak najszybciej znaleźć rozwiązanie tego problemu. W końcu żył w dwudziestym pierwszym wieku, w którym debatowano nad sztuczną inteligencją i komputerami kwantowymi. To prawdziwy skandal, że naukowcy nie uporali się jeszcze z czymś tak prostym i nieskomplikowanym jak ludzki włos!

Witold zapadał właśnie w płytki sen, mamrocąc coś pod nosem i próbując wyobrazić sobie siebie w ogromnym afro (było mu w nim nawet do twarzy), gdy nagle u drzwi wejściowych rozległ się natarczywy dzwonek. Kostrzewski uniósł głowę i rozejrzał się na wpół przytomnym wzrokiem po sypialni. Odczekał dłuższą chwilę i ponownie zległ na wysokich poduszkach. Ledwo zdążył przymknąć oczy, gdy wtem dzwonek zaświdrował w jego uszach po raz drugi.

– Ki diabeł? – mruknął i niechętnie podniósł się z posłania. – Jeżeli to jacyś domokrążcy, to nie ręczę za siebie!

Wielce zeźlony poczłapał do drzwi i z impetem szarpnął za klamkę.

– Nie będę kupował żadnych robotów wielofunkcyjnych ani ubezpieczeń na życie! – huknął i po kilku sekundach zreflektował się, widząc niepozorną kobiecinę z wypchaną reklamówką z napisem „Duty free".

– Żony nie ma w domu, przepraszam, ale jestem niezwykle zajęty – wypalił, zamierzając zatrzasnąć nieznajomej drzwi przed nosem, ale ta przytomnie włożyła swoją stopę, obutą w pomarańczowego crocsa, pomiędzy drzwi a framugę.

– Cholera, to niedobrze – zafrasowała się rezolutna kobiecina. – Nie mogę tutaj sterczeć w nieskończoność, kiosk zamknęłam, a w tych czasach każdy grosz się liczy.

– Nie za bardzo rozumiem, jak mógłbym pani pomóc – odburknął zniecierpliwiony Witold.

Kobieta dźwignęła reklamówkę na wysokość jego twarzy.

– Muszę jej przekazać przesyłkę do rąk własnych! Żadne niepowołane oko nie może zajrzeć do tej torby! A szczególnie jej chłopak… Hm… nie mówiła, że ma męża, ale powiem panu z ręką na sercu, wygląda pan jak jej młodszy brat.

Witold jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskał dobry humor. Wyprostował się jak struna i nieco przychylniejszym okiem łypnął na kobietę.

– Oczywiście, że nie zajrzę do środka, o co mnie pani podejrzewa! – zaprotestował. – Ufamy sobie nawzajem z siostrą… pardon, z żoną. Niech pani postawi tę torbę w holu. Nie tknę nawet jednym palcem. Nie interesują mnie babskie sekrety. Ja jestem poważnym facetem, proszę pani. Inżynierem!

– Tak, tak, akurat – mruknęła z przekąsem nieznajoma. – Każdy tak gada, a potem sobie w telefonach, nie tych… tych, no… smartfonach grzebią! Ale niech już będzie. To proszę mi przejście zrobić, zostawię torbę i uciekam, bo i tak już za dużo czasu zmitrężyłam – zakomenderowała, władczym ruchem odsunęła Witolda od drzwi i wparowała do środka.

– Tutaj może być? – zapytała, wskazując okrągły ażurowy koszyk z parasolkami, stojący tuż przy szafce na buty.

– Tak, niech pani stawia. – Zrezygnowany Witold machnął ręką.

Kobiecina z estymą ustawiła reklamówkę i łypnęła na niego groźnie.

– Tylko nawet jednym palcem, zrozumiano?

Witold poczuł, że jeszcze chwila, a zacznie krzyczeć. Żeby jakaś obca baba ustawiała go we własnym domu! Aurelia to miała znajomości, nie ma co!

– Dziękuję i do widzenia! – huknął niegrzecznie, ujął babę pod ramię, wyprowadził na zewnątrz i z ulgą zatrzasnął za nią drzwi.

Nie zaszczycając torby ani jednym spojrzeniem, wrócił do sypialni i położył się na swojej części łóżka. Nie minęło nawet pół minuty, gdy nagle zerwał się jak rażony piorunem i pognał z powrotem do holu.

– Co ze mnie za dureń! – wyrzucał sobie po drodze.

Gdyby mógł, rwałby sobie włosy z głowy, ale nie za bardzo miał czym szastać. Był szaleńcem! Wpuścił do domu jakąś obcą kobietę z torbą i jak gdyby nigdy nic pozwolił jej ją zostawić! A jak w środku była bomba? Albo, nie daj Boże, jakaś kontrabanda? Narkotyki, zwłoki, na przykład odcięta głowa szefa mafii? Mało to kryminalistów wkoło? Zachował się nieodpowiedzialnie! Jak najszybciej musiał się pozbyć tego trefnego towaru z domu! Najlepiej jak wyniesie go na śmietnik. Tak, i to oczywiście nie swój, tylko tych sąsiadów z początku ulicy. Cały czas zatruwali wszystkim życie, urządzając imprezy na kilkadziesiąt osób. Witold podejrzewał, że palili trawkę. Niech teraz łamią sobie głowę, jak się pozbyć zgniłego jajeczka, które tak niegodziwie mu podrzucono.

Tajemnicza torba spoczywała teraz niewinnie tuż przed jego obutymi w bambosze stopami. Witold nachylił się ostrożnie i przez kilkanaście sekund nadsłuchiwał uważnie. Nie, zdecydowanie nic tam nie tykało. Kostrzewski rozejrzał się w popłochu i w końcu sięgnął po leżące na półeczce nad wieszakami zimowe rękawiczki. Aurelia truła mu już od jakiegoś czasu, że ma je schować do pawlacza, ale on jak zwykle o tym zapominał. A teraz, proszę, będą jak znalazł. Ujął ostrożnie obiema dłońmi szerokie plastikowe uszy torby i stękając nieco, uniósł ją. Nie przypuszczał, że była aż tak ciężka! Być może spoczywały w niej nawet i trzy ucięte głowy!

„Witoldzie, powściągnij swoją wyobraźnię i działaj!” – upomniał sam siebie i ruszył naprzód. Na litość boską, ależ ta niepozorna kobiecina miała krzepę! Przesunął się w kierunku drzwi, zahaczając niefortunnie prawym bamboszem o podwiniętą na rogu wycieraczkę. Zachwiał się i rąbnął jak długi na wyfroterowaną terakotę. Z torby wysypały się jakieś książki. Zdezorientowany Witold sięgnął po pierwszą z nich. Na okładce prężył się półnagi mężczyzna o lśniącym torsie pokrytym czarnym włosiem. Tuż obok niego w wielce nieprzyzwoitej pozie wdzięczyła się blond syrenka o wydatnych ustach.

– *Tygrysy miłości* – przeliterował Witold i oniemiał.

Co to, do diabła, ma być? Wszystko wskazywało na to, że o mało co nie stracił życia dla jakichś świerszczyków. Czy ta Aurelia kompletnie oszalała? Witold otworzył książkę na chybił

trafił:

Mam ci przypomnieć, z czego zrobiłem doktorat? Znam wszystkie metody zaspokajania kobiety. I nie zapominaj o olejkach eterycznych… jestem mistrzem masażu! Poddaj się sile moich dłoni, maleńka… a trafisz do raju.

Witold poczerwieniał jak sztubak aż po nasadę włosów. Czyżby Aurelia…? Na Boga! Ona się dokształcała w arkanach alkowy! I dlatego nie chciała, żeby się dowiedział o tej… lekturze! Ta cała konspiracja to dla niego… po to, żeby ożywić ich zakurzone nieco pożycie małżeńskie! Tak, i dlatego ta joga! Żeby być… bardziej giętką!

Witold poczuł, że wracają mu siły witalne. Już nie potrzebował drzemki. Wyciągnął z torby kilka książek i udał się z nimi do salonu. Olejki eteryczne… tja… chyba widział jeden, w brązowej buteleczce na półce Aureli w łazience. Już on jej zrobi niespodziankę… i pokaże, co to znaczy znaleźć się w prawdziwym raju!

ROZDZIAŁ 29

Tort dla papieża

Otmuchów, 1980

Aurelia miała dzisiaj bardzo ciężki dzień. Jej ulubiona nauczycielka, historyczka Danuta Rybińska, nie pojawiła się w szkole i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Rybińska była prawdziwym belfrem z powołania i w przeciwieństwie do kolegów po fachu traktowała swój zawód jako misję, a nie przykry obowiązek.

– Może zachorowała? – spekulowali zaniepokojeni uczniowie zgromadzeni na przerwie przed pokojem nauczycielskim, próbując złapać w locie zabieganą panią dyrektor. Jednak jak na złość również i ona zapadła się pod ziemię. Albo specjalnie się przed nimi ukrywała.

Choroba ukochanej nauczycielki wydawała się tak samo prawdopodobna, jak szansa, że do ich miasteczka przyjedzie na koncert John Lennon. Rybińska przez prawie dwadzieścia lat pracy nigdy nie wzięła nawet jednego dnia wolnego. Sprawa musiała być poważniejsza.

Aurelia zdjęła buty i poszła do kuchni. Cały dom pogrążony był w ciszy. O tej porze matka chodziła do kościoła, miała więc kilka chwil dla siebie, bez jej gderania i narzekania. Dziewczyna podniosła pokrywkę w garnku stojącym na kuchence. „Znowu kwaśnica” – pomyślała z obrzydzeniem. Matka musiała kupić chyba cały zagon kapusty, bo od kilku dni katowała ją znienawidzoną zupą. Aurelia trzasnęła pokrywką. Podeszła do chlebaka, odkroiła grubą pajdę razowca i wpakowała go sobie do ust. Najchętniej zjadłaby pierogi albo potrawkę z kurczaka z marchewką. Na samą myśl o ulubionym daniu poczuła jeszcze dotkliwszy głód.

– Aurelia, to ty? – z pokoju dobiegł głos matki.

Dziewczyna skrzywiła się i odłożyła trzymany w ręku chleb. W samą porę, gdyż do kuchni zajrzała zaspana matka.

– Nie wiedzieć czemu, zmogło mnie nad różańcem – mruknęła. – Za ciężko pracuję i to są skutki niedospania. Odgrzałaś sobie zupę?

– Tak, ale tylko trochę. Nie jestem głodna, mamo – skłamała.

– A co dziś tak wcześnie? – Dobrzycka świdrowała córkę wzrokiem. – Nie urwałaś się czasem z lekcji?

– Historyczka nie przyszła do szkoły. – Aurelia potrząsnęła burzą włosów. – Nie wiemy, co się stało, a dyrektorka nie chciała puścić pary z ust. Pozwoliła nam iść do domu.

Dobrzycka przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu.

– Doigrała się… – mruknęła w końcu i spojrzała w ocienione białymi zazdrostkami okno.

– Co masz na myśli? – Aurelia spojrzała na nią ze zdziwieniem. – To bardzo dobra nauczycielka…

– A juści, dobra! – parsknęła. – Opowiada wam na lekcjach głupoty, na Związek Radziecki pluje, to co się dziwić, że ją w końcu władza namierzyła.

– A ty skąd o tym wiesz? – Przerażona Aurelia wpatrywała się we własną matkę jak w kogoś obcego. – I to nieprawda, co mówisz! Pani Danuta nigdy nie opowiadałaby nam kłamstw. Jest na to za… prawa.

Dobrzycka zaczęła się histerycznie śmiać.

– I tobie też już wyprała ten twój głupi móżdżek – burknęła. – Jej chłop w opozycji działa, bawi się w partyzantkę i razem chcą zbawiać świat. Oj, dziecko, dziecko, ty się matki słuchaj, bo inaczej marnie skończysz. Zobacz na swoją siostrę! Już wszyscy myśleli, że nic z niej nie będzie, a tu, proszę.

– O czym ty mówisz, mamo? – zapytała zdezorientowana Aurelia.

– Matka przełożona do mnie list napisała, że Emilia na postulat do Szwajcarii jedzie. Podobno posłuszna jest, uduchowiona i bardzo pomocna w zakonnej kuchni. Przełożona napisała, że upiekła jakiś tort, którym nawet sam papież się zajadał. Trudno mi w to uwierzyć, bo to żadnego zacięcia do gotowania nie miało, ale, jak widać, praktyka czyni mistrza. Talent niechybnie po mnie… A ty co znowu zjadłaś, że się tak krztusisz?

Dobrzycka spojrzała podejrzliwie na zaczerwienioną córkę, która rozkaszlała się nagle, jakby suchoty złapała. Zwinęła lewą dłoń w pięść i zdzieliła ją po plecach.

– Pójdę już do swojego pokoju, mam trochę lekcji – zarzęziła Aurelia. – A nie chcę mieć zaległości.

– Idź, idź, przecież ja ci nauki nie bronię. – Dobrzycka wzruszyła ramionami. – Kto wie, jak się tam ta nasza Emilka urządzi, może zaprosi nas do siebie? Szwajcaria… jaki to musi być piękny kraj!

Szwajcaria, 1980

Zbliżała się piąta rano. Za chwilę miał się rozlec klasztorny dzwonek wzywający siostry na modlitwę. Była obowiązkowa i należało się na nią bezzwłocznie stawić. Emilia ziewnęła, odrzuciła koc i opuściła nogi na zimną posadzkę. Miała na sobie długą szarą koszulę, która sięgała prawie do kostek. Przeciągnęła się i jak co dzień spojrzała w rozpościerający się za oknem widok na Üetliberg, nazywaną domową górą Zurychu. Cały czas obiecywała sobie, że wejdzie na jej szczyt, skąd rozciągał się widok na bezkresne zielone doliny, turkusowe Jezioro Zuryskie oraz ośnieżone Alpy. Siostra Magdalena powiedziała jej, że nie musi wdrapywać się tam o własnych siłach, a może dostać się na miejsce uruchomioną niedawno kolejką S-Bahn. Podobno na górze, w starym stylowym hotelu, można było się napić gorącej czekolady.

Przy stojącej pod przeciwległą ścianą pryczy rozległ się stłumiony dźwięk budzika. Kilka sekund potem usłyszała klasztorny dzwonek. Emilia westchnęła cicho.

– Już siostra nie śpi? – odezwała się zaspanym głosem Magdalena. Miała na głowie zabawny płócienny czepek, jaki onegdaj nosiły modne arystokratki. – Gdybym wiedziała, że będziemy musiały wstawać z kurami, zastanowiłabym się dziesięć razy, czy warto iść tą drogą – burknęła i przetarła dłonią zaspane oczy.

Emilia uśmiechnęła się ciepło. Wszyscy wiedzieli o słabości siostry Magdaleny. Ranne wstawanie nie było jej pisane, ale jak wielu innych rzeczy w klasztorze musiała się go nauczyć. Albo, jak by powiedziała siostra Lukrecja, po prostu przywyknąć, bo lepiej nie będzie. Tak, lepiej nie będzie…

Na samo wspomnienie Lukrecji łzy napłynęły do oczu Emilii. Kiedy dowiedziała się, że na specjalną prośbę ukochanej zakonnicy siostra przełożona przenosi ją do Szwajcarii, w pierwszej chwili nie mogła w to uwierzyć. Przecież ostatnio tak dobrze im szło. Tort cytrynowy, który upiekły razem z okazji urodzin papieża, cieszył się wielkim powodzeniem i podobno, jak ćwierkały watykańskie wróble, Ojciec Święty pochwalił ciasto za wyjątkową lekkość i puszystość.

– To twoja zasługa – przyznała uczciwie siostra Lukrecja, patrząc z nieudolnie ukrywaną czułością na swoją podopieczną. – Gdyby nie ten nowatorski pomysł o dodaniu do mascarpone oprócz kremu cytrynowego, *lemon curd,* malinowej żelki, nie byłby taki dobry.

– I dlatego chce mnie siostra odesłać do polskiego zakonu w Szwajcarii? To ma być nagroda? – Emila nie wyobrażała sobie rozstania z osobą, która od samego początku pobytu w Rzymie okazała jej tyle serca.

– Ja już cię wszystkiego nauczyłam – powiedziała cicho Lukrecja. – Uczeń przerósł mistrza. Pora, żebyś wyruszyła dalej. Mam w Szwajcarii swoje kontakty i chciałabym, żebyś kształciła się dalej. Kto wie, może zostaniesz pierwszą na świecie zakonnicą *maître chocolatier*!

– Zakonnice chyba nie mogą być mistrzami czekolady? Jak to się ma do posłuszeństwa, czystości i służby Bogu? – Emila nie chciała, żeby to, co powiedziała, zabrzmiało cynicznie, a jednak tak się stało.

Lukrecja energicznie potrząsnęła głową.

– Jeżeli coś robisz z pasją, zaangażowaniem i miłością, to w każdej tej czynności jest Bóg. On nie siedzi na kapiących złotem watykańskich ołtarzach. Jest między nami. Tutaj, w tej kuchni, też jest. Uwierz mi, dziecko.

– Wierzę, siostro Lukrecjo. Naprawdę wierzę – szepnęła Emilia i nieśmiało dotknęła pomarszczonej spracowanej ręki swojej mentorki.

Ufała jej we wszystkim. Jeżeli siostra Lukrecja uważała, że jej miejsce jest teraz w Szwajcarii, to po prostu musiała tam jechać. Może to był kolejny przystanek w drodze ku przeznaczeniu, który po prostu musiała pokonać?

Rano w dniu wyjazdu, kiedy poszła do kuchni, chcąc się pożegnać z siostrą Lukrecją, z całych sił starała się nie rozpłakać. Jednak kiedy zobaczyła pochyloną nad osypaną mąką stolnicą zgarbioną sylwetkę zakonnicy, zaczęła histerycznie szlochać. Tak jakby wypłakiwała cały ból i strach, które nagromadziły się w niej od momentu wyjazdu z Polski.

– Nie mazgaj się – szepnęła Lukrecja, ale i jej oczy niebezpiecznie szybko się zaszkliły. – Niech cię Bóg prowadzi, moje dziecko. Cokolwiek zrobisz, pamiętaj, On już ma swój plan. I ja chyba wiem, czego dla ciebie pragnie…

Emilia jeszcze nigdy nie podróżowała sama pociągiem za granicę. Kiedy z niewielką torbą podróżną dotarła na dworzec kolejowy Termini w centrum Rzymu, poczuła dreszcz podniecenia i coś jakby cień szczęścia, które nagle zapukało do jej życia, nieśmiało pytając, czy może do niego wejść i na chwilę się rozgościć. W pociągu miała zamiar porządnie się

wyspać, ale zapierające dech w piersiach widoki za oknem nie pozwalały zmrużyć oka. Emilia po raz pierwszy oglądała na żywo tak soczyście zielone wzgórza, na których pasły się sterylnie czyste krowy o niemalże symetrycznych łatach. Na szyi każdej z nich niczym anioł stróż wisiał ciężki dzwonek, który nie pozwalał im się zgubić.

Na dworcu w Zurychu czekały na nią dwie siostrzyczki, które przyjechały żółtym citroënem, zwanym popularnie kaczką. Kamienny solidny budynek klasztoru otaczał piękny, starannie wypielęgnowany ogród z soczystą zieloną trawą, poprzecinaną wybrukowanymi symetrycznymi ścieżkami. Kilka zakonnic pochylonych nad równymi grządkami wyrywało w milczeniu chwasty. Tuż przy ciężkich dębowych drzwiach wejściowych stał kamienny postument z niewielką kapliczką kryjącą posąg Matki Boskiej. Cały klasztor pogrążony był w ciszy.

Siostry wskazały jej pokój matki przełożonej i same znikły w kaplicy. Emilia nieśmiało ruszyła przed siebie. Wyfroterowana posadzka odbijała zwielokrotnionym echem jej kroki. Przez wysokie witrażowe okna do środka klasztoru wpadały krzyżujące się ze sobą promienie światła. Minęła pyszniący się mnóstwem kolorowego kwiecia wirydarz. Przystanęła na chwilę, ciesząc oko feerią barw. Kiedy trafiła w końcu przed oblicze matki przełożonej, z trudem tłumiła ziewanie. Zakonnica siedziała we władczej pozie za biurkiem i spoglądała na nią zagadkowym wzrokiem.

– Siostra Lukrecja bardzo cię rekomendowała – zaczęła. Jej głos był niski i surowy. – W naszym klasztorze zadania postulantek są bardzo ściśle określone, ale zgodnie z sugestią mojej drogiej Lukrecji skieruję cię do kuchni. Podobno jesteś niezwykle uzdolnioną cukierniczką… Zobaczymy, zobaczymy… – Zmrużyła lekko oczy. – Szwajcaria, jak zapewne słyszałaś, to kraina czekolady i słodkości i trudno dogodzić tutejszym mieszkańcom. Chyba już zauważyłaś, że teren klasztoru to bardzo pagórkowata okolica, nie możemy tutaj uprawiać ziemi, a bardzo zależy nam na niezależności finansowej.

Przełożona wstała. Gruby pęk kluczy, przytwierdzony do szerokiego skórzanego paska oplatającego jej habit, zadźwięczał głośno. Przysypiająca Emilia ocknęła się i zwróciła lekko nieprzytomny wzrok na przeoryszę.

– Czy siostra Lukrecja mówiła ci, co tak naprawdę tutaj robimy, żeby zarobić na swoje utrzymanie?

Emilia pokręciła głową.

– Zgodnie z regułą *ora et labora*[5] codziennie pomiędzy nabożeństwami zajmujemy się wyrabianiem czekolady, pakowaniem jej i sprzedawaniem na lokalny rynek – wyjaśniła

przełożona. – Ale na dzisiaj koniec. – Chwyciła stojący na biurku srebrny dzwoneczek i potrząsnęła nim energicznie. Po kilku chwilach do środka zajrzała jedna z zakonnic, które przyjechały po Emilię na dworzec. – Siostro Judyto, proszę zaprowadzić naszą postulantkę do jej pokoju. Musi odpocząć po długiej podróży. A potem proszę pokazać jej klasztor. Resztą zajmę się sama – zakomenderowała władczo, po czym ponownie zasiadła za biurkiem i zagłębiła się w leżących na nim papierach.

Dopiero kilka dni po przyjeździe do klasztoru na Emilię czekał pierwszy dyżur w klasztornej manufakturze czekolady. Czuła się jak przed egzaminem maturalnym, ale dzielnie próbowała powstrzymać drżenie rąk. Pomieszczenia, do których zaprowadziła ją siostra Judyta, mieściły się na parterze klasztoru, w jego południowym skrzydle. Przed wejściem obie musiały założyć plastikowe czepki i starannie umyć ręce.

– Czujesz ten zapach? – zapytała cicho Judyta, kiedy znalazły się za drzwiami. W każdym kącie niewielkiej sali stały ogromne lniane worki.

Emila wciągnęła w nozdrza specyficzny lekko kwaśny aromat przemieszany z wonią orzechów i kakao. Kiwnęła lekko głową.

– Co jest w tych workach? – zapytała, ciekawie wyciągając głowę.

– Cukier, prażone hiszpańskie migdały, tureckie orzechy laskowe i ziarna kakao z Afryki i Ameryki Południowej – wyjaśniła Judyta. – Tutaj stoją zręby masła kakaowego, a obok metalowe baniaki z mlekiem.

– Chyba tylko mleko pochodzi z tego rejonu? – odważyła się zapytać Emilia.

– Tak, to prawda. – Skinęła głową. – Sekret szwajcarskiej czekolady wbrew pozorom nie tkwi w zamiłowaniu do precyzji i perfekcjonizmie, które są cechami narodowymi mieszkańców tego kraju, ale właśnie w banalnym mleku. Dzięki zdrowym szwajcarskim krowom, które całymi dniami pasą się na zielonych zboczach Przedgórza Alpejskiego, ta czekolada jest tak wyjątkowa…

W następnym pomieszczeniu przy wielkiej kuchni uwijało się kilka sióstr w czepkach na głowach.

– Tutaj prażymy ziarna kakaowca – wyjaśniła siostra Judyta. – Powinno się to robić w piecykach, ale my nie jesteśmy takie nowoczesne. Robimy to na patelni. To zdecydowanie trudniejsze.

– Dlaczego? – Emila żałowała, że nie wzięła ze sobą zeszytu i ołówka. Jeżeli chciała się czegokolwiek nauczyć, powinna to wszystko zapisywać.

– Wysypując ziarna na patelnię, nie wiemy do końca, jaka jest temperatura wyprażenia – odpowiedziała szczupła zakonnica i odwróciła się w kierunku Emilii. Miała rumiane policzki i uśmiechała się zachęcająco. – Potem trudno jest zapewnić taką samą temperaturę, a my musimy zachować pewną powtarzalność w smaku naszej czekolady. Niech siostra podejdzie bliżej, to pokażę – zachęciła Emilię, machając w jej kierunku drewnianą szpatułką. – Zatrzymałyśmy się w tej naszej manufakturze na czasach króla Ćwieczka. – Mrugnęła zabawnie lewym okiem.

– Dlatego okoliczni mieszkańcy tak bardzo nam ufają, Bernadetto! – skarciła ją wysoka i koścista zakonnica w okrągłych okularach. – Produkujemy nasze czekoladki ręcznie. I wszystkie robimy tutaj, pod jednym dachem – podkreśliła z wyższością. – To dlatego ta czekolada jest tak wyjątkowa. Bez proszku kakaowego lub innych półproduktów, tylko z najlepszych ziaren kakaowca.

– To prawda, Konstancjo – zgodziła się Bernadetta. – A tam, pod ścianą, na kamiennym blacie miażdżymy prażone ziarna za pomocą metalowego walca. Przydałby się zwykły żarnowy młynek. Ręce nam mdleją, ale nie narzekamy. Nie chcemy produkować naszych wyrobów na skalę masową. Nie jesteśmy fabryką Lindta!

– I bardzo dobrze – podsumowała Judyta. – Chyba na dziś wystarczy. Ustawiaj się obok Konstancji i zakasuj rękawy. Mogę ci zagwarantować, że po kilku tygodniach będziesz miała muskuły jak gladiator.

Wszystkie siostry roześmiały się jak na zawołanie, a Emila poczuła, że chyba będzie jej tu dobrze.

– A jak się nazywają wasze czekoladki? – zapytała już całkiem rozluźniona.

Zakonnice popatrzyły po sobie tajemniczo.

– No jak to jak? – Siostra Judyta zmarszczyła groźnie czoło. – *Petites Sœurs!* To po francusku oznacza „siostrzyczki”. Jakże inaczej mogłybyśmy je nazwać? Mamy nadzieję, że będziemy tworzyć zgrany team. Witaj w manufakturze siostrzyczek, Emilio!

3

Nazajutrz od razu po porannej mszy Emila popędziła do pomieszczeń w południowym skrzydle. Bernadetta obiecała, że nauczy ją dziś konszowania czekolady. Ochoczo zabrały się

do podgrzewania, rozdrabniania i mieszania z cukrem gęstej masy, żeby nadać jej gładkości. Masa musiała mieć idealną strukturę, w której nie miała prawa pojawić się nawet najdrobniejsza grudka.

– Cały czas trudno mi uwierzyć w to, że w zakonie produkuje się czekoladę – wyrwało się Emilii. – To jakoś tak… nie pasuje mi do… – Urwała, nie wiedząc, jak ma sformułować swoje myśli, żeby nie urazić życzliwej siostry.

– Do Boga? – podpowiedziała Bernadetta. – Ależ wręcz przeciwnie. Nie zdradź nas przed siostrą przełożoną, ale czasem żartujemy sobie, że i sam Ojciec Święty nie oparłby się naszym bombonierkom. Szczególnie tej nugatowej. To prawdziwe niebo w gębie!

Emilia roześmiała się głośno.

– Tylko nie wiem, czy ja tutaj się na coś przydam, bardzo bym chciała, ale przecież tak naprawdę niczego nie umiem.

– Tu się mylisz, moja droga. Masz świeże spojrzenie i nieprzetarty smak, a takich tu potrzebujemy. Kto wie, może przez zupełny przypadek odkryjesz ciekawe połączenie, które zrewolucjonizuje nasze *Petites Sœurs*! Siostra Lukrecja nie na darmo przysłała cię tutaj aż z Rzymu.

– No właśnie, a skąd się znacie? – zapytała Emila, popatrując na Bernadettę z ciekawością.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – burknęła nagle, a jej twarz spochmurniała. – Nie wypytuj o to za często, dobrze ci radzę. Lukrecja była tutaj przez jakiś czas, ale… po prostu wolała Włochy. Koniec kropka.

Emilia zrozumiała, że lepiej już nie drążyć tego tematu. Miała jednak nadzieję, że kiedyś odkryje tajemnicę swojej ukochanej zakonnicy.

[5] łac. módl się i pracuj

ROZDZIAŁ 30

Piekielne pokusy

– Eugenio! Ratuj! – po drugiej stronie słuchawki zabrzmiał przerażająco złowróżbnie głos Aurelii.

Kostrzewska była raczej opanowaną i pragmatyczną osobą, nieskorą do histerii, dlatego słysząc ten dramatyczny apel, serce Eugenii zamarło.

– Co się stało, na litość boską?! – zawołała, o mały włos nie zrzucając ze stołu filiżanki z kawą, którą właśnie sobie zaparzyła.

– Witold… Już nie mam do niego cierpliwości – jęknęła Aurelia.

– Cóż znowu nawyprawiał? – sapnęła Eugenia.

I kto by pomyślał, że jej świętej pamięci rodzice uraczą ją takim balastem? Jak widać musiała go niańczyć całe życie!

– Nasmarował się jakimiś olejkami i okazało się, że jest na nie uczulony – zakomunikowała Aurelia. – Dzwonię do lekarza rodzinnego, ale nie odbiera, a ten mi tu jęczy jak potępieniec. Może ty coś doradzisz? Ja już nie wiem, co mam robić. Witek dostał na całym ciele czerwonej wysypki i drapie się jak opętany!

– Co mu strzeliło do łba, żeby nacierać się tym świństwem? I gdzie on to znalazł?

– Na półce pomiędzy moimi kosmetykami. Najprawdopodobniej ten olejek był już przeterminowany. Dostałam go od przyjaciółki z Ameryki, ale ani razu nie używałam. Witold twierdzi, że zaaplikował go sobie, żeby… zabrać mnie do raju – wykrztusiła w końcu Kostrzewska.

– Czy wyście powariowali?! Do jakiego raju? Tego z Adamem i Ewą? Jeszcze tam go nie było! – Eugenia zdębiała.

– O dokładną lokalizację tego miejsca musisz zapytać już samego zainteresowanego – parsknęła z przekąsem Aurelia. – W końcu to twój brat. Błagam cię, przyjedź, bo ja z nim oszaleję!

Eugenia rozłączyła się bez słowa i pośpiesznie wstała od stołu. Kawa musiała poczekać. Czym prędzej podreptała w kierunku szafy, wyciągnęła z niej jasny płaszcz i skierowała się ku wyjściu. Zamierzała wezwać taksówkę, a kosztami tej nagłej eskapady obarczyć Witolda. Skaranie boskie z wariatami! Raju mu się zachciało! I olejków eterycznych…

Pół godziny później dzwoniła już do drzwi willi Kostrzewskich. Aurelia otworzyła je prawie natychmiast, tak jakby już za nimi stała, czekając na odsiecz.

– Gdzie ta ofiara? – huknęła Eugenia i wpadła do środka.

Niczym rącza klacz przebiegła hol i wparowała do salonu. Za nią szybkim krokiem drobiła Aurelia. Eugenia stanęła w progu, rzuciła okiem do środka i zamarła. Witold ze zbolałą miną siedział na brzegu kanapy. Miał obandażowaną głowę, a jego nabrzmiałą twarz i przedramiona pokrywała intensywnie czerwona wysypka.

– Wyglądasz jak chory na trąd – trzeźwo podsumowała starsza siostra. – I po co żeś obwiązywał sobie łeb tym bandażem? Choć właściwie nie powinnam się dziwić, bo mózg też masz chory. A raczej wcale go nie masz. Przynosisz wstyd klanowi Kostrzewskich! A to nazwisko z rodowodem!

– Eugenio, błagam, nie dobijaj go. – Aurelia położyła dłoń na ramieniu szwagierki. – Lepiej poradź, jak temu zaradzić?

– Dzwoń na pogotowie! – poleciła władczo Eugenia. – Nasz rajski ptaszek wpadł w niezłe tarapaty. Jeżeli dostanie anafilaksji, może się przekręcić.

– Dziękuję, że patrzysz na mnie tak trzeźwym okiem – wyrzęził Witold i zamknął oczy.

W tym momencie leżąca na stole komórka Aurelii zaczęła wibrować. Kostrzewska chwyciła za telefon i przytknęła go do ucha.

– Tak, tak, panie doktorze… Nie, nie ma żadnych innych objawów, tylko ta wysypka… – Aurelia potakiwała miarowo głową. – Oczywiście, że mam w domu wapno… Gdyby coś się działo, dam znać. Dziękuję za pomoc.

– Widzisz, masz więcej szczęścia niż rozumu! – zatriumfowała Eugenia i rozpięła płaszcz. – A teraz z łaski swojej zrób mi kawy, Aurelio, bo czuję, że ja tu zaraz trupem padnę, a chyba nie chcesz nadwyrężać uprzejmości swojego lekarza rodzinnego?

Aurelia bez słowa zniknęła w drzwiach do kuchni. Eugenia odczekała kilka chwil, a potem przysunęła do kanapy krzesło i rozsiadła się tuż obok wyciągniętych prawie na sam środek

pokoju długich nóg brata.

– A teraz bez ściemy… Swojej naiwnej żonie możesz oczy mydlić, ale nie mnie! – warknęła. – Za stara wyga jestem! Po co żeś się tymi olejami smarował, hę?

Witold łypnął na swoją bezlitosną siostrę lekko zaropiałym okiem.

– Chciałem… Nie! Nie będę z tobą o tym gadał! To są… wstydliwe tematy!

– A ty co myślisz, że ja całe życie na anielskiej chmurce panieństwa siedziałam? – obruszyła się Eugenia. – Ho, ho, byś się zdziwił!

– Nie wiem, czy chcę o tym słuchać – zaprotestował słabo Witold. – Nie jestem twoją psiapsiółką.

– Nie ma rady, musisz. Sam mnie tu sprowadziłeś swoim szczeniackim wybrykiem. Wcale się dzisiaj do was nie wybierałam. No więc o czym to ja…? A, mam! – Eugenia poprawiła się na krześle i odchrząknęła znacząco. – Gadaj jak na spowiedzi u proboszcza!

W tej chwili do pokoju wkroczyła Aurelia z tacą wypełnioną filiżankami z parującą kawą.

– Ja też poproszę – jęknął Witold.

– O nie, mój drogi! Będziesz się musiał obejść smakiem, dla ciebie mamy wapno – zarządziła Eugenia. – A teraz mów w końcu, skąd ten pomysł z olejkami, byle szybko! Umówiłam się dziś po południu w mieście, więc nie mam dla was zbyt wiele czasu.

Obie z Aurelią wbiły w nieszczęsnego Witolda natarczywy wzrok.

– No już dobrze, dobrze! – wybuchnął. – Poczytałem sobie co nieco literatury fachowej, w której radzono, jak uatrakcyjnić swoje przywiędłe nieco życie… seksualne. I stąd te olejki.

Nieszczęsna Aurelia właśnie upiła aromatycznej kawy i słysząc wyznanie swojego męża, wypluła cały łyk malowniczą fontanną wprost na swój śnieżnobiały sweterek.

– Przywiędłe? Nie masz wstydu przed własną siostrą o łóżku konferować?! – zagrzmiała Eugenia.

– Sama mnie do tego zmusiłaś! – warknął. – A poza tym to ty jesteś wszystkiemu winna! – Potulny Witold przeszedł w końcu do kontrataku i wskazał na małżonkę. – Po co zamawiałaś te książki do domu?

– Jakie książki? – Aurelia zdębiała. – O seksie?!

– Te tam, w torbie. – Witold machnął ręką w kierunku szafy. – Ukryłem je przezornie, bo to przecież wstyd takie coś w domu trzymać.

Aurelia wstała i bez słowa pomaszerowała w kierunku szafy. Po chwili trzymała jedną z książeczek z kolorowymi okładkami. Tytuł wołał czerwonymi literami: *Piekielne pokusy.*

– A kto ci pozwolił rekwirować moje harlequiny, Witoldzie? – Eugenia ujęła się pod boki. – Przysłałam je tutaj z zastrzeżeniem, że macie je dla mnie przechować. Kupiłam je za grosze od Kryńskiej, tej z kiosku naprzeciw mojego bloku. Mówiłam jej, że Aurelia jest w każde wtorkowe popołudnie w domu i ma to jej przekazać do rąk własnych. Jak wiecie, cały poprzedni tydzień byłam w sanatorium.

– JAK TO, TWOJE HARLEQUINY?! Myślałem, że to Aurelia się dokształca i chciałem ją erotycznie zaskoczyć – wyznał Kostrzewski.

– Smarując się starymi olejami?! Rzeczywiście sprawiłeś mi niespodziankę! Jak ty w ogóle mogłeś pomyśleć, że ja to czytam? To lektura dla starych… znaczy, ten… no, nie dla mnie – w porę zreflektowała się Aurelia.

– Nie masz racji, kochana. – Eugenia wcale nie poczuła się urażona. – Zapewniam cię, że ja sama wyciągnęłam z tych pozornie prostych historii cenne lekcje.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, droga siostro, że dokształcasz się seksualnie? – dogryzł jej Witold. – Mogę wiedzieć, w jakim celu? Chyba że… ćwiczysz na sucho.

Aurelia poniewczasie kopnęła swojego męża w kostkę.

– I tu się mylicie, moi drodzy! I bez obawy, nie dotkną mnie wasze złośliwostki. – Eugenia wysunęła dumnie podbródek. – Otóż chciałam wam zakomunikować, że mam chłopaka. I już niedługo go poznacie.

– Gdzie jest Marta? – zapytała zaniepokojona Nina, raz po raz zerkając na zegarek.

Minęły już dwie godziny od otwarcia Bombonierki, a dziewczyny ciągle nie było. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby się spóźniła, dlatego Nina zaczęła się martwić. Musiało coś się stać.

– A dzwoniłaś do niej? – zapytała Kristen, pakując nugatowe bombonierki do różowego pudełka obwiązanego fikuśnie kokardą.

– Oczywiście, już kilka razy! Nie odbiera… Dobra, ty tu pilnuj interesu, kochana, a ja podjadę na Kolkweg – powiedziała, rozwiązała fartuch i położyła go na ladzie. – Postaram się wrócić jak najszybciej. I pamiętaj, że mamy dzisiaj promocję na czekoladowe babeczki. *Twee halen één betalen!*[6] Dodałam do nich różowy pieprz i chcę sprawdzić, jak chwyci ten nowy smak.

– Skąd pomysł na pieprz? – Kristen się roześmiała.

– Znalazłam tę recepturę w pamiętniku cioci. Czytam jej zapiski codziennie i już się martwię, co będę robić, gdy ta lektura się skończy. Emma umiała tak pięknie i zajmująco opowiadać. – Nina zamyśliła się na sekundę. – Moja mama praktycznie nic nie wiedziała o jej życiu. Mówiła mi kiedyś, że Emilia przebywała na formacji w Rzymie, a potem na postulacie w Szwajcarii, ale nie miałam pojęcia, że ona uczyła się tam produkcji czekolady. W klasztorze niedaleko Zurychu! Te polskie siostry były niezwykle przedsiębiorcze. Żeby ratować podupadający, wymagający nieustannych napraw i renowacji dom zakonny, wymyśliły sobie manufakturę czekoladek. *Petites Sœurs.* A ja myślałam, że ciocia nauczyła się tej sztuki dopiero tutaj, w Holandii.

Kristen nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż do Bombonierki weszli kolejni klienci. Nina pomachała jej na pożegnanie i wskoczyła na swój ukochany veloretti. Postanowiła po drodze kupić na targu kwiaty. Mijała kolorowe kamieniczki ze schodkowymi szczytami i pozdrawiała, machając, siedzących przed nimi na ławkach mieszkańców. Ludzie często wychodzili tutaj na zewnątrz z kubkiem kawy w dłoni po to tylko, żeby pogawędzić sobie przyjacielsko z sąsiadem. Nina postanowiła, że następnym razem weźmie ze sobą pudełko swoich ulubionych pralinek i poczęstuje sympatycznie uśmiechających się deventerczyków. Lubiła sprawiać ludziom radość takimi drobiazgami. Chyba nauczyła się tego właśnie w Holandii.

Marta mieszkała w długim szeregowcu z czerwonej cegły, tuż obok placu z kilkoma dużymi supermarketami. Dzisiaj wypełniały go stragany z sezonowymi owocami i kwiatami. Nina zeskoczyła z roweru i prowadząc go za kierownicę, zgrabnie lawirowała pomiędzy kolorowymi kramikami. Kiedy znalazła w końcu dom Marty, nacisnęła krótko znajdujący się przy drzwiach dzwonek. Potupała chwilę w miejscu, ale drzwi pozostały zamknięte. Odczekała dwie minuty i ponownie, tym razem dłużej, przytrzymała okrągły guzik dzwonka. Gdzieś nad nią rozległ się odgłos otwieranego okna i po kilku sekundach pojawiła się w nim niemiłosiernie rozczochrana głowa Marty.

– Co się stało?! – krzyknęła Nina. – W Bombonierce od zmysłów odchodzimy, a ty zaspałaś? Hej, Marta, co się dzieje?

– Nina… umieram… – jęknęła i zakryła obiema dłońmi twarz. – Wczoraj zjadłam jakieś chińskie żarcie z budki i jestem struta na amen. Rzygam jak kot!

– Masz jakieś leki czy coś ci podrzucić? – zafrasowała się Nina.

– Mam całą baterię medykamentów! Przepraszam, ale dzisiaj chyba nie dam rady iść do pracy!

– Nie ma sprawy! Ogarnę wszystko, a ty się kuruj!

– Nina… to nie wszystko! Wieczorem mam inaugurację warsztatów mistrzów czekolady! Już jestem spakowana, ale nie dam rady! Błagam, jedź tam za mnie, dobrze?

– Do cholery! Gdzie jest Romeo? Dostawca masła z Twente już od kilkunastu minut do niego wydzwania, ale mój piekielny brat nie odbiera telefonu! Facet się zdenerwował i w końcu zrzucił ten majdan na mnie. Tak jakbym nie miał co robić, tylko babrać się w nabiale. – Val z rozwianym włosem wpadł na zaplecze croissanterii.

Jedna z pracownic, która wyciągała właśnie z pieca blachę z gorącymi bułeczkami cynamonowymi, wystraszona krzykiem pryncypała zadrżała, a blacha wymsknęła się jej z rąk, uderzając o stojący tuż obok metalowy wózek. Cała partia bułeczek wystrzeliła malowniczo do góry, po czym opadła na białe płytki, zdobiąc je niczym kruszonka wyrośnięte drożdżowe ciasto.

– No nie, ja oszaleję! – Valentijn złapał się za głowę. – Przed croissanterią cały tłum ludzi czeka na świeże bułki, a tutaj armagedon! Zawołaj szybko Jetteke, niech ci pomoże z kolejną partią, a ja idę pacyfikować chłopa od nabiału – zarządził błyskawicznie Val.

W chwilach kryzysowych nigdy nie tracił zimnej krwi, choć w myślach wizualizował już moment oskalpowania młodszego brata. A najlepiej siekania go na drobniutkie krwawe kawałeczki!

Półtorej godziny później kolejne bułeczki wyjechały z pieca, masło zostało wniesione do chłodni, faktury zaakceptowane i Valentijn, uwijając się od bladego świtu, mógł w końcu przysiąść przy stoliku w ogrodzie i wypić swoją pierwszą CIEPŁĄ kawę. Upił łyk cappuccino, wyciągnął z kieszeni dżinsów telefon i wybrał numer brata. Po kilku sygnałach po drugiej stronie rozległ się w końcu stłumiony głos młodszego Jeurissena.

– Do cholery! – wrzasnął Val, a ponieważ głowy siedzących obok kilku wiekowych klientek jak na komendę zwróciły się ku niemu, obrzucając go wielce zniesmaczonym wzrokiem, ściszył nieco głos. – Gdzie ty się podziewasz? Mam tutaj koniec świata, wybuch maślanego meteorytu i fruwające po kuchni bułki z cynamonem! GDZIE TY JESTEŚ?!

– Błagam cię, nie krzycz – jęknął Romeo. – Ja tu umieram, a ty mi o bułkach… – Romeo urwał nagle i do uszu Vala doszedł jakiś dziwny, niepokojący dźwięk. Tak jakby… NIE!

– Czy ty masz kaca?! – zawołał i ponownie ściągnął na siebie uwagę siedzących obok emerytek.

Zaczęły szeptać między sobą, wypowiadając jakieś niepochlebne uwagi pod adresem zachowującego się dość dziwnie właściciela. W tym momencie było mu to jednak najzupełniej obojętne. Ogarnęła go taka złość, że najchętniej wysłałby brata idiotę w kosmos.

– Gorzej… – wyjęczał Romeo. – Zatrułem się jakimś fast foodem. Umierałem całą noc, ale już mi trochę lepiej. Nie histeryzuj, bo ci przypomnę, ile razy bez słowa skargi reanimowałem cię po zakrapianej imprezie.

– Już dobrze, nie wypominaj mi chwil młodzieńczej beztroski. Czegoś ci trzeba? – rzucił po chwili służbiście.

Wizja dogorywającego w łóżku brata z wiadrem przy głowie złagodziła nieco jego furię, ale nie zamierzał od razu go niańczyć.

– Spokoju – stęknął udręczony Romeo. – A, i byłym zapomniał… Jest jeszcze jedna sprawa, którą musisz za mnie załatwić…

[6] hol. dwie w cenie jednej

ROZDZIAŁ 31

Tęsknota o zapachu wanilii i cynamonu

Nina jakimś cudem znalazła wolne miejsce tuż przy ceglanym budynku o wielkich oknach i zaparkowała pożyczone od notariusza van Haasterena auto. Gmach mieścił starą fabrykę znanej belgijskiej czekolady z wielowiekową tradycją. Pomimo widocznych zmian zachowana została cała konstrukcja dawnej manufaktury oraz mury w postindustrialnym, loftowym charakterze. Nina przystanęła na moment, wpatrując się z zaciekawieniem w imponującą fasadę. Najwyraźniej budynek zmodernizowano bardzo niedawno, na co wskazywały świeże jeszcze plamy po zaschniętym cemencie na chodnikowych płytkach pod oknami.

Może to nie był taki zły pomysł, że właśnie ona zastąpi Martę na warsztatach w Akademii Czekolady. Od dawna planowała pogłębić swoją wiedzę na fachowe tematy, ale zawsze brakowało jej czasu. W końcu los zdecydował za nią i chyba dobrze się stało. Marta wybrała dla siebie zajęcia praktyczne na temat czekoladowych dekoracji i rzeźb, a Nina w ostatniej chwili dorzuciła do tego pakietu seminarium dotyczące pralin, trufli i ganaszy. Miała nadzieję, że te dwa tak nagle wyrwane z życiorysu dni okażą się produktywne.

Już miała wejść do fabryki, gdy nagle usłyszała nadjeżdżający samochód. Zaparkował z wizgiem tuż za nią. Trzasnęły drzwiczki i… Nie do wiary! Za jej plecami rozległ się znajomy zgryźliwy nieco głos:

– Nie wierzę własnym oczom! Panna Bombonierka zdecydowała się w końcu na poszerzenie swojej mizernej wiedzy na temat tego, co robi! Brawo, brawo, jak to zwykle mawiamy w tym kraju: *beter laat dan nooit*[7]*!*

Valentijn Jeurissen we własnej cynicznej osobie! Tylko co on tu, do cholery, robił?!

Nina już miała się odgryźć w nie mniej złośliwy sposób napuszonemu panu Croissantowi, ale w drzwiach fabryki stanęła kobieta w futurystycznym srebrnym kostiumiku.

– Państwo zapewne na seminaria do Akademii Czekolady?! – zawołała rozpromieniona. – Nazywam się Mirjam de Jager i jestem opiekunem waszej grupy. – Prawą ręką uczyniła zapraszający gest i przytrzymała szklane drzwi, dopóki Nina i Valentijn nie weszli do środka.

– Nie do wiary! – syknęła Nina prosto do ucha Vala. – Szpiegujesz mnie nawet tutaj! W życiu nie uwierzę, że z własnej nieprzymuszonej woli przyjechałeś tu, żeby uczyć się czekoladowej rzeźby! Gratuluję rozmachu w szpiegowskich działaniach!

– Pohamuj swoje detektywistyczne zapędy, Bombonierko. Jestem tu na takim samym legalu jak ty.

– Cisza! – syknął ktoś z grupy stojącej tuż obok nich. – Porozmawiacie sobie po zajęciach.

Val teatralnie przewrócił oczami, ale posłusznie zamilkł i spojrzał wyczekująco na futurystyczną Mirjam. Nagle górne światło zgasło, a na bocznych ścianach figlarnie zamigotały świetliki.

– Pora na introdukcję, moi państwo. Proszę podążać za mną i niczemu się nie dziwić – zapowiedziała tajemniczo Mirjam i rozpłynęła się w granatowej czerni.

Cała grupa przeszła płynnie do kolejnego pomieszczenia. Panowały tu egipskie ciemności, a z podłogi wyrastały podświetlone metalowe słupy. Wszędzie widoczne były rozety srebrnych rur.

– Pani przewodniczka ubrała się gustownie pod te instalacje – mruknął Val, nachylając się ku Ninie.

Zamachała, odganiając się od niego niczym od natrętnej muchy.

– Żeby zostać dobrym *maître chocolatier,* trzeba umieć wąchać świat, czuć go wszystkimi zmysłami, wyczulić je na wibrujące dźwięki aromatów, które pobudzają naszą wyobraźnię – rozległ się nad nimi ciepły, niski głos, jakby wypływający ze ścian. – To zapachy najbardziej oddziałują na nasze emocje, przywołują najwięcej wspomnień… Chcecie je poczuć? Dotknąć…?

Z futurystycznych rur zaczęła się nagle wydobywać para, a po chwili otoczył ich zniewalający aromat świeżego chleba. Z głośników umieszczonych po obu stronach doszedł dźwięk towarzyszący krojeniu chrupiącej świeżej skórki. Po sekundzie z kolejnych rur zaczęła się dobywać cieniutka, rozpływająca się w powietrzu kakaowa smuga i charakterystyczny odgłos łamania czekolady. Nina zamknęła oczy. Prawie poczuła pod opuszkami palców gładką, błyszczącą teksturę o jedwabistej powierzchni. W pomieszczeniu wibrowały kolejne

zapachy, jeden po drugim, otulające ich jak delikatny cienki szal. Cynamon, karmel, skarmelizowany cukier, rum i świeży liść mięty. A za chwilę przyprawy korzenne, miód i bakalie.

Nina chłonęła aromaty wszystkimi zmysłami. Pod jej powiekami wirował kalejdoskop wspomnień z dzieciństwa, kłujący w nozdrza zapach świerku, domowego ciasta, orzechów, maślanej kruszonki. Otworzyła oczy, zerknęła na Valentijna i zamarła. Na jego twarzy malowało się cierpienie i ból. Kiedy zobaczył, że Nina mu się przygląda, przyłożył dłoń do swoich ust, tak jakby chciał powstrzymać krzyk, po czym szybko wyszedł z sali. Nina zmartwiała, a potem bez chwili namysłu, pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu, pobiegła za nim.

– Poczekaj! – krzyknęła, ale on przyśpieszył kroku.

Szarpnął za uchwyt szklanych drzwi i wybiegł na zewnątrz. Nina nie zamierzała się poddawać i podążyła jego śladem. Valentijn szedł w kierunku swojego samochodu. Rozległ się dźwięk centralnego zamka, a potem odgłos otwieranych drzwiczek.

– Co się stało, Val?! – zawołała Nina i dopadła do auta. Chwyciła desperacko za klamkę.

– Zostaw to! – warknął i złapał mocno za jej dłoń.

Jęknęła z bólu, gdyż o mało nie wykręcił jej ręki. Odruchowo się odsunęła. Rozległ się warkot zapalanego silnika. Nina popatrzyła na czerwoną pręgę na skórze i niespodziewanie nawet dla samej siebie rozpłakała się ze złości i żalu. Nie oglądając się za siebie, podeszła do ażurowej ławeczki stojącej tuż przy wypielęgnowanym trawniku. Usiadła ciężko i przymknęła oczy. Cały czas czuła wokół siebie intensywny aromat czekolady.

– Boli cię? – rozległ się nagle tuż obok cichy męski głos.

Nina uniosła powieki. Valentijn stał naprzeciwko, w czarnej skórzanej kurtce i w ciemnych okularach. Był trupio blady.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Przepraszam cię, Nina – powiedział w końcu Valentijn.

Drgnęła na dźwięk swojego imienia. Jeszcze nigdy tak się do niej nie zwrócił. Była dla niego albo Marmoladką, albo Bombonierką, albo Czekoladką. Nigdy Niną…

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Znaczy inaczej, doskonale to wiem, ale nie powinienem się na tobie wyżywać. To karygodne, wybacz mi.

Nina zmrużyła oczy i przesunęła się na ławce.

– Siadaj obok i po prostu mi to powiedz. Co się stało?

Val po sekundzie namysłu usadowił się obok dziewczyny. Nastała cisza, a potem nagle zaczął mówić:

– Znam tę edukację zapachami i dźwiękami, której nas poddano. Byłem kiedyś w Berlinie w muzeum Martin-Gropius-Bau. Zainstalowano tam maszynę Smeller, która do specjalnego pomieszczenia pompuje zapachy, jeden po drugim.

– Nigdy o tym nie słyszałam – szepnęła Nina. – Mów dalej.

– Pamiętam… Wszedłem do małego białego pokoju z perforowanym metalowym ekranem oplecionym rurami i czekałem. A potem osaczyły mnie aromaty. Ale nie były tylko zapachami… – Urwał nagle i odwrócił głowę.

– Ale przede wszystkim wspomnieniami… – dokończyła Nina.

Val spojrzał na nią zdumiony.

– Skąd to wiesz?

– Bo u mnie było tak samo. Po prostu. Czując ciasto i bakalie, widzę swój dom. Moich rodziców, babcię, bliskich, momenty z mojego życia, w których byłam szczęśliwa. Te zapachy są jak poczucie bezpieczeństwa, stałe, niezmienne, takie nasze… – W tym momencie w głowie Niny jak błyskawica pojawiła się kolejna myśl. A właściwie pewność. – Ty też ich zobaczyłeś, prawda? – zapytała cicho. – Dlatego stamtąd wyszedłeś. Bo to ciągle… tak bardzo boli.

Milczenie. Ciężkie, takie, które można kroić nożem.

– Nie, to mnie nie boli, Nino… To łamie mi serce. Za każdym razem, kiedy czuję zapach wanilii i cynamonu, staje mi przed oczami moja mama. I słyszę jej głos: „Chłopcy, usmażyłam wam na śniadanie naleśniki. Dla ciebie, Val, z cukrem pudrem, a dla Romea z cynamonem. Pośpieszcie się, głodomory, bo wystygną”. Ja to cały czas słyszę w mojej głowie, rozumiesz?

– W takim razie jak możesz pracować w croissanterii? Przecież te zapachy otaczają cię tam cały czas! To musi być nie do zniesienia! – zdumiała się Nina.

– A jak myślisz, dlaczego chodzę tam tylko wtedy, kiedy muszę? – zapytał gorzko. – Siedzę na zapleczu i udaję, że wszystko jest w porządku, ale najchętniej bym stamtąd uciekł.

– Zrób to! Po prostu to zrób…

– To nie takie proste. Nie mam wyjścia. Croissanteria to nasze dziedzictwo. Przyrzekłem rodzicom, że zajmę się biznesem. Oni bardzo ciężko pracowali na sukces. Mam też brata. Za niego też jestem odpowiedzialny. Ma tylko mnie. Nie mogę nagle wszystkiego rzucić, bo drażnią mnie zapachy! To niedorzeczne!

– A kto obiecał twoim rodzicom, że zajmie się tobą? – Nina w przypływie odwagi odważyła się zapytać o coś, co nurtowało ją już od dłuższego czasu.

Val nagle oprzytomniał, jakby uświadomił sobie, że ta rozmowa idzie w niebezpiecznym kierunku.

– To jak, idziemy do środka czy będziemy dalej prowadzić tutaj psychoanalizę parkingową? – Stary cyniczny Jeurissen wracał do życia.

Nienawidził się nad sobą użalać. I tak za bardzo się otworzył, ale miał nadzieję, że Nina szybko o tym zapomni. W końcu przecież go nie cierpiała. Tak jak i on jej!

– Dlaczego parkingową? – Roześmiała się dźwięcznie.

– Bo, jak widać, tkwimy na parkingu. – Valentijn mrugnął okiem. – Ale wiesz co, nie mam ochoty robić wejścia smoka. Choć pewnie nawet nie zauważyli w tych nasączanych aromatami ciemnościach, że daliśmy nogę. Z jakich warsztatów zwiałaś?

– Z czekoladowych rzeźb, a ty?

– Z *viennoiserie*!

– Z czego?

– *Viennoiserie*. Croissanty, brioszki i inne atrakcje – prychnął Val. – W dodatku wegańskie! Pełna nazwa tego seminarium brzmi: „Rozwój innowacyjnych technik charakterystycznych dla cukiernictwa wegańskiego”. W życiu bym tego nie wymyślił, ale Romeo uparł się, że musimy iść z duchem czasu. Ja weganinem! Świat się kończy!

– To dlaczego sam nie przyjechał? – zdumiała się Nina.

– Bo nażarł się jakiegoś świństwa z budy na placu de Brink i mówiąc mało romantycznie, ale znasz mnie, nie owijam niczego w bawełnę, zaczął rzygać jak kot. A u ciebie skąd nagle zainteresowanie rzeźbami z pralin?

Nina zmarszczyła czoło i burknęła coś wymijająco. Rozsypane puzzle wskoczyły w końcu na swoje miejsce. Wszystko wskazywało na to, że Marta i Romeo umówili się na te warsztaty razem. W dodatku musieli się spotykać już wcześniej, stąd to „wspólne” zatrucie! Czyżby…? Nie, to niemożliwe. Przecież na pewno coś by zauważyła… Nie pozostawało nic innego, jak po powrocie rozmówić się z Martą.

[7] hol. lepiej późno niż wcale

ROZDZIAŁ 32

Pociąg zwany przeznaczeniem

Szwajcaria, 1980

Przed klasztorną infirmerią stało kilka szepczących zakonnic w szarych habitach. Emilia niosła w ręku ciężką formę do czekolady, ale widząc to niecodzienne zgromadzenie, przystanęła z ciekawością na korytarzu.

– Co się stało? – zapytała stojącą najbliżej siostrę Łucję. – Ktoś jest chory?

– Tak, przełożona. Wczoraj wieczorem nagle zaniemogła i od tej pory leży w łóżku – odpowiedziała jej i lekko szturchnęła łokciem wysoką, kościstą zakonnicę w drucianych okularach i z przerażonym wyrazem twarzy. – To kto w końcu jedzie po leki do Zurychu? Da siostra radę? – zagadnęła, wskazując brodą ciężkie drewniane drzwi infirmerii.

– Wolałabym nie. – Wysoka zakonnica potrząsnęła głową. – Boję się jeździć sama do miasta. Od lat nie wychodzę poza teren klasztoru. Ja nawet nie wiem, gdzie kupić bilet na kolejkę podmiejską! Siostra Anastazja nie może mnie zastąpić? Jako jedyna ma prawo jazdy!

– I osiemdziesiąt lat! Z trudem dostrzega owsiankę na swoim talerzu. Nie możemy od niej wymagać, żeby załatwiała za nas, młodsze o kilka dekad, takie sprawunki.

Emilia odstawiła ciężką formę na posadzkę.

– Czy mogę w czymś pomóc? O co chodzi z tym lekiem? – zagadnęła zaczerwienioną na twarzy Łucję. Zawsze kiedy się denerwowała, na twarz zakonnicy wychodziły brzydkie ceglaste wypieki.

– Przełożona potrzebuje pilnie jakiegoś medykamentu z apteki w centrum Zurychu – wyjaśniła szybko Łucja. – Mamy zaopatrzeniowca, który raz w tygodniu jeździ furgonetką do

miasta po sprawunki, ale akurat dzisiaj rano poślizgnął się na schodach i złamał nogę. Nie możemy czekać. Sprawa jest bardzo pilna.

– Ja z chęcią pomogę! Tylko proszę powiedzieć co i jak – zaproponowała Emilia. Nie miała jeszcze okazji zwiedzić Zurychu, a inne siostrzyczki, jak widać, nie kwapiły się do takich wycieczek.

– Zaraz zapytam przełożoną. Niech Emilia idzie za mną – powiedziała zakonnica i przepchnęła się przez tłumek stojących sióstr.

Wszystkie zamilkły jak na komendę. Łucja delikatnie zapukała trzy razy do drzwi, po czym nacisnęła mosiężną klamkę. W środku niewielkiego pokoju stało wąskie, solidne łóżko z starannie obleczonym w śnieżnobiałe prześcieradło grubym materacem. Spoczywała na nim przełożona, na głowie nosiła staroświecki płócienny czepek ozdobiony grubą koronką. Miała wymizerowaną bladą twarz i przymknięte powieki. Tuż obok jej łóżka stała dębowa szafka z brązowymi fiolkami i dzbanek z wodą. Pod ścianą, na prostym krześle, siedziała wiekowa zakonnica. Na widok przybyłych wstała z trudem, stękając cicho, i zwróciła na nie zdziwiony wzrok.

– Siostro Anastazjo, mam chętną duszyczkę na wyprawę do Zurychu. To siostra Emilia – mówiąc to, lekko popchnęła dziewczynę w kierunku łóżka przełożonej.

– Dobrze. Proszę się zgłosić do kancelarii. Tam dostanie siostra pieniądze i wszystkie instrukcje. Tylko proszę się pośpieszyć. Specyfik jest już przygotowany, wystarczy go odebrać.

Emila pośpiesznym krokiem wyszła z infirmerii. Musiała narzucić na siebie jakiś sweter i poinformować siostrzyczki w manufakturze, że dzisiaj rozpocznie pracę nieco później. Kochała swoje czekoladowe zajęcie, ale ciągnęło ją również do świata poza klasztornymi murami. Nie miała pojęcia, że ta wyprawa już na zawsze zmieni jej życie…

Pociąg, do którego wsiadła na małej stacyjce Üetliberg, w pobliżu domu zakonnego, wlókł się w tempie truchtu nieskazitelnie czystych szwajcarskich krów (podobno gospodarze szorowali je w specjalnej myjni). Emilia jednak nie narzekała. Üetliberg było wzniesieniem górującym nad stolicą kantonu, skąd rozpościerał się zjawiskowy widok na całą panoramę Zurychu. Dziewczyna z nosem przyklejonym do szyby podziwiała podmiejskie krajobrazy, ale jej myśli krążyły wokół manufaktury. W przepastnych zakamarkach habitu ukryła czekoladę, którą siostra Konstancja odrzuciła z zamówienia ze względu na ledwie zauważalną porysowaną powierzchnię tabliczki. Emilia sięgnęła do kieszeni. Pod opuszkami palców poczuła gładką, aksamitną fakturę. W lśniącej tabliczce odbijał się koniuszek jej nosa. Uśmiechnęła się sama do siebie, po czym otworzyła usta, żeby poczuć w końcu słodki smak na

języku i wtedy kątem oka zauważyła przyglądającego się jej mężczyznę. Siedział tuż obok na obitej czerwonym pluszem ławce. Dzieliło ich tylko wąskie przejście pomiędzy siedziskami. Nieznajomy miał zaczesane gładko do góry siwe jak skrzydła gołębia włosy, jasny garnitur z jednorzędową długą marynarką, kamizelką w kratę i barwny fular zawiązany fantazyjnie na śnieżnobiałej koszuli z okrągłym kołnierzykiem. Wyróżniał się na tle podróżnych ubranych z niedbałą nonszalancją w dżinsy i powyciągane swetry. Wyglądał, jakby został przeniesiony do podmiejskiej szwajcarskiej kolejki z początków wieku.

– Teraz ją złam – powiedział po niemiecku.

Emilia znała ten język, uczyła się go w liceum. Spojrzała zdumiona na nieznajomego, ale bez słowa sprzeciwu wykonała polecenie. Odgłos łamanej czekolady przypominał głośny, apetyczny trzask.

– Gdy zatopi pani w niej zęby, będzie chrupać, a rzucona na porcelanowy talerz wyda głośny dźwięk – oznajmił mężczyzna. – To oznacza, że jest doskonałej jakości. Mogę wiedzieć, kto jest jej producentem?

– Mała manufaktura klasztorna. Na pewno nigdy pan o niej nie słyszał – odpowiedziała coraz bardziej zaintrygowana Emilia.

– Siostrzyczki? *Petites Sœurs!* – Roześmiał się, widząc jej minę.

Emilia o mało nie spadła z ławki. Kim był ten tajemniczy mężczyzna? I skąd wiedział o tak małej manufakturze? Nieznajomy jakby czytał w jej myślach.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się, co za niedopatrzenie z mojej strony. Nazywam się Alexandre Cailler. – Skłonił z atencją głowę.

– Cailler? Jak znana marka szwajcarskiej czekolady?

– W rzeczy samej – potaknął. – Jeden z moich przodków był jej założycielem. Przejąłem od moich dziadów czekoladowy gen i wiele lat pracowałem jako *maître chocolatier*. A pani mnie zaintrygowała – wyznał rozbrajająco. – Przeglądała się pani w tym kawałku czekolady jak w zwierciadle… Pardon… mogę mówić pani? Czy raczej siostro? – Delikatnym ruchem dłoni wskazał jej habit, tak jakby dopiero teraz go zauważył.

Emilia roześmiała się dźwięcznie.

– Proszę mi mówić po imieniu, po prostu Emilia. Przebywam w miejscowym klasztorze na nowicjacie. Pomagam siostrom w pracy. Wiem, że wiele osób dziwi się, że produkujemy słodycze, bo co zakonnice mogą mieć wspólnego z czekoladą…

– Wręcz przeciwnie! – zaprotestował Cailler. – To właśnie zakonnice przyczyniły się do spopularyzowania tego napoju na Starym Kontynencie.

– Ani trochę panu nie wierzę! – wyrwało się Emilii. – Skąd ten pomysł?

– To fakty – odparł. – Wieki temu konkwistadorzy odkryli w azteckim pałacu miliony ziaren kakaowca. Podobno tamtejszy władca pijał w złotym kielichu miksturę z kakaowca i kukurydzy z sokiem z agawy. Wojsko zabrało ze sobą cenne znalezisko do Europy.

– Nadal nie widzę żadnego związku z zakonem – wtrąciła Emilia.

W wagonie zrobiło się gwarno. Podróżni przygotowywali się już do wyjścia na stacji końcowej – Zurych Główny.

– Jest pani bystra, ale niecierpliwa – stwierdził Szwajcar z uśmiechem. – Ale ma pani rację, rozgadałem się. Zimny i gorzki napój z ziaren kakaowca nie przypadł do gustu Hiszpanom. I właśnie wtedy do mojej opowieści wkraczają zakonnice z Gwatemali, które dodały do zmielonego kakao gorącą wodę, wanilię i cukier. I tak powstała słodka czekolada.

W tym momencie pociąg zatrzymał się z chrzęstem. Emilia poderwała się z siedzenia i wyjrzała przez okno. Cailler wstał z ławki. Ramię w ramię ustawili się w kolejce do wyjścia i po chwili znaleźli się na gwarnym peronie. Mężczyzna spoglądał uważnie na Emilię, tak jakby się nad czymś zastanawiał.

– Nie wiem, czy to, co powiem, nie będzie zbyt… hm… niegrzeczne, ale jestem już w takim wieku, że nie kieruję się konwenansami. Zapytam więc wprost… Jakie ma pani plany? Chciałbym pani coś pokazać. Zurych jest przesiąknięty czekoladą, a pani tak ją kocha.

Emilia w pierwszej chwili chciała stanowczo odmówić. Zawieranie znajomości w pociągu z eleganckim, ułożonym dżentelmenem, ale jednak obcym mężczyzną, na pewno nie przypadłoby do gustu siostrze przełożonej. Ale ten człowiek… Miała wrażenie, że można mu zaufać.

– Muszę odebrać medykamenty dla przełożonej naszego zgromadzenia – powiedziała Emilia. – Apteka znajduje się na… Chwileczkę, sprawdzę. – Szybko wyciągnęła z torebki kopertę z receptą, na której zapisany był adres. – Bahnhofstrasse. Wie pan, gdzie to jest?

– Urodziłem się w tym mieście i znam tutaj każdy kąt. Bahnhofstrasse łączy dworzec kolejowy z brzegiem Jeziora Zuryskiego. To jak, idziemy? Załatwimy błyskawicznie apteczne sprawunki i zabieram panią do raju. Chyba zakonnicom wolno tam bywać? – Zamrugał zabawnie.

Emilia skinęła głową. Poczuła nagle, że przypięty wsuwkami welon zsuwa się jej z głowy. Złapała go w ostatniej chwili. Przedzierające się z trudem przez ciężkie chmury słońce wplątało się w długie płowe pasma jej pięknych włosów. Uniosła ramiona, przytrzymując

niesforny kawałek tkaniny. Cailler patrzył na nią oczarowany. W tym momencie obiecał sobie, że zrobi wszystko, żeby wydostać tę dziewczynę z zakonu.

ROZDZIAŁ 33

Absztyfikant, arystokracja i pospolite ruszenie

– Czy ja naprawdę nie mogę pójść na to spotkanie w zwykłej koszuli? – utyskiwał Witold, przeglądając się sceptycznie w lustrze w sypialni. – Ten garnitur jest dla mnie za ciasny! Poza tym mnie postarza! – marudził niczym panna na wydaniu. – Eugenia do cna oszalała. Po co te przebieranki?

Aurelia zapinała właśnie perłowe guziczki przy dekolcie bladoróżowej sukienki z jedwabnej żorżety.

– Nie jęcz, Witku – powiedziała kojącym głosem, przyzwyczajona już do mężowskich fochów. – Przypominam, że Eugenia wyciągnęła cię ostatnio z olejkowych tarapatów i wypadałoby okazać jej choć odrobinę wdzięczności.

– Gdyby nie sprowadziła do naszego domu tych tanich romansideł, nigdy bym w te tarapaty nie wpadł! – żachnął się Witold. – Na stare lata zachciało jej się amorów! A teraz znowu ten absztyfikant… Jak mu tam? Bonifacy?

– Broniwoj! Broniwoj Maria Witwicki herbu Poraj. Błagam cię, tylko nie pomyl tego staropolskiego imienia, bo Eugenia ci tego nigdy nie wybaczy! Jak zapowiedziała mi przez telefon, mamy zrobić na panu Witwickim jak najlepsze wrażenie, w przeciwnym wypadku twoja siostra nie odezwie się do nas już do końca życia.

– I to ma być kara? – burknął Witold. – To nagroda! W końcu mielibyśmy święty spokój – zrzędził dalej, ale posłusznie wciągnął na grzbiet marynarkę.

Eugenia po raz kolejny zrzuciła na rodzinę towarzyską bombę. Po akcji z nieszczęsnymi harlequinami przyznała się w końcu, że w jej życiu po latach pojawił się nowy mężczyzna. Podobno poznała go w sanatorium w Ciechocinku. Był emerytowanym lekarzem ortopedą,

z arystokratycznej familii z Wielkopolski, o nieskazitelnym charakterze społecznika i takoż nieskazitelnych i niedzisiejszych manierach prawdziwego dżentelmena. Właśnie dzisiaj rodzina Kostrzewskich miała po raz pierwszy poznać, na wykwintnej kolacji, wybrańca serca energicznej i apodyktycznej Eugenii. Witold modlił się teraz tylko o jedno… Żeby ta kolacja minęła jak najszybciej i żeby ten, pożal się Boże, arystokrata nie okazał się skończonym nudziarzem.

Restauracja wybrana przez Eugenię znajdowała się w pięciogwiazdkowym zabytkowym hotelu w centrum miasta. Na parterze za szklanymi przesuwnymi drzwiami znajdowała się klimatyczna sala z okrągłymi stołami nakrytymi śnieżnobiałymi obrusami. Podobno tutejsza kuchnia oferowała wykwintne dania śródziemnomorskie.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał jeść ślimaków! – zapowiedział twardo Witold i odpiął pijący go okrutnie w szyję guzik sztywnej koszuli.

Aurelia nie zdążyła już nic powiedzieć, gdyż zza rogu wyłoniła się Eugenia. Szła pod rękę z dystyngowanym starszym panem w marynarce w kratę. Mężczyzna trzymał w dłoni elegancką czarną laskę ze srebrnym uchwytem.

– Zamknij usta! – upomniała męża półgłosem Aurelia i uśmiechnęła się szeroko.

– Dobry wieczór! – zawołała. – Eugenio, jaki piękny kapelusz.

Witold rozkaszlał się gwałtownie. Eugenia bez słowa huknęła brata pięścią w plecy. Miała na głowie fantazyjną konstrukcję złożoną ze srebrnych gałęzi i pawich piór.

– Oszalałaś? – szepnął półgłosem Witold. – Skąd wyciągnęłaś to ptasie gniazdo?

– Z całym szacunkiem… – Witwicki skłonił się wytwornie. – Eugenia kultywuje wielowiekową angielską tradycję związaną z wyścigami konnymi Royal Ascot!

– Pardon, ale gdzie pan tu widzi konie? – zdumiał się Witold.

– Tu chodzi o kapelusze – wtrąciła szybko Aurelia. – Panie na trybunach noszą tam zwyczajowo najwymyślniejsze i najdroższe nakrycia głowy.

Eugenia popatrzyła na szwagierkę z wdzięcznością. Aurelia nieświadomie uratowała honor rodziny, inaczej musiałaby świecić oczami za tego nieokrzesanego gbura! I pomyśleć, że zawsze dbała, żeby miał suchą pieluchę!

W tym momencie za jej plecami rozległ się nagle bełkotliwy głos.

– Proszę, proszę! Jakie szacowne towarzystwo! Arystokracja w kapeluszach! Może będę mógł się przyłączyć? Ale uprzedzam, że nie dysponuję nawet najtańszym melonikiem.

Na chodniku kilka kroków dalej stał, chwiejąc się na nogach, Iwo Łagiewski. Miał poplamione jakimś tłustym smarem dżinsy i rozpiętą na piersiach koszulę. Eugenia

gwałtownie pobladła.

– Nie zwracajcie na niego uwagi! – powiedziała szybko. – Wchodzimy do środka.

– Chwileczkę, nie tak szybko! – Iwo z zaciętym wyrazem twarzy zastąpił wszystkim drogę.

– Czy ty znasz tego człowieka, Eugenio? – Witwicki mocniej chwycił laskę.

– Oczywiście, że mnie zna! – parsknął Iwo. – Przecież ubijamy ze sobą interesy stulecia! Prawda, babciu?

– Hola, hola! Proszę zważać na słowa! – zaperzył się Witwicki. – Damie należy okazywać szacunek.

– Eugenio, kto to, do cholery, jest? – Witold chwycił siostrę za ramię. – Mów mi zaraz, bo widzę, że coś ukrywasz.

– Ja chętnie panu powiem, co to takiego! – Iwo roześmiał się mściwie. – Pani arystokratka w kapeluszu zapłaciła mi za rozwód z własną żoną! Macie państwo pojęcie? Przekupstwo! Tak to się załatwia interesy w wyższych sferach!

– Nawet nie wiesz, kochana, jak się cieszę, że wszystko w końcu zaczyna się układać. – Nina z ulgą opadła na miękką kanapę w swoim miniaturowym salonie. Z obrazu wiszącego na ścianie patrzyły na nią piękne dobre oczy Emmy.

Nina długo wzbraniała się przed przemeblowaniem ascetycznego saloniku ciotki. Wydawało jej się, że wszystko powinno zostać tak jak za czasów, kiedy tutaj mieszkała. A potem Evelien powiedziała coś, co ostatecznie ją przekonało, że może pora odświeżyć pokój.

– Emma kochała zmiany. Była przekonana, że wnoszą w naszą codzienność coś lepszego, coś, co nie pozwala nam stać w miejscu i wierzyć, że będzie już tylko dobrze albo wyłącznie źle. Życie jest jak czekolada, Nino. Czasem słodkie, niekiedy gorzkie, a momentami twarde jak orzechy wypełniające jej aksamitne wnętrze.

– Ninka, czy ty słyszysz, co do ciebie mówię?! – wołała po drugiej stronie telefonu podekscytowana Marianna. – Wszystko wskazuje na to, że już za kilkanaście dni do was wrócę. Iwo podpisał wszystkie dokument rozwodowe i zgodził się na wyjazd małego za granicę! Jestem taka szczęśliwa!

Nina oprzytomniała w okamgnieniu.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę! I nie tylko ja! Evelien i dziewczyny będą zachwycone. Już zdążyły cię pokochać. Ciebie i Benia.

Marianna czuła, że gdyby miała skrzydła, fruwałaby pod samym sufitem.

– Kochana, mam do ciebie jeszcze małą prośbę… – wyznała po chwili milczenia. – Czy moglibyśmy do czasu wyjazdu do Holandii przeprowadzić się z małym do twojego mieszkanka? Nie chcę wykorzystywać dobroci pani Marii. Gości nas u siebie już tyle czasu. Ma całe morze cierpliwości, ale czasem mam wrażenie… że wolałaby być sama. Ma swoje rytuały wypracowane przez lata, a my… ze względu na nas musiała je zmienić.

– Maniana… – Głos Niny zmienił się nagle. Pobrzmiewały w nim teraz jakieś dziwne tony. – Nie mówiłam ci o tym wcześniej, ale sprzedałam swoją kawalerkę.

– Masz problemy finansowe? Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – przeraziła się Marianna. – Obiecałyśmy sobie, że od tej kłótni, która o mało co nie zniszczyła naszej przyjaźni, nie będziemy miały przed sobą żadnych tajemnic. Nina… Ja obiecuję, że nie będę dla ciebie ciężarem. Zapracuję na swoje utrzymanie. Będę sprzątać, gotować, pakować czekoladki Wszystko, co tylko chcesz. Mam jakieś oszczędności, a Benio dostanie alimenty.

– Kompletnie oszalałaś, Mańka! – weszła jej w słowo Nina. – Nie mam żadnych problemów. Po prostu potrzebowałam na gwałt gotówki. Pilny wydatek, to wszystko. A może… przeprowadzisz się na ten czas do moich rodziców?

– To nie jest najlepszy pomysł… – Marianna się roześmiała. – Twój ojciec zje mnie na śniadanie bez popitki. Zostanę u Marii, jakoś sobie poradzimy.

Rzeczywiście, Marianna miała rację. Mieszkanie pod jednym dachem z Witoldem Kostrzewskim nie należało bynajmniej do rzeczy łatwych i przyjemnych. Jedyną osobą, która potrafiła sobie z nim radzić, była mama. I ciotka Eugenia, oczywiście!

À propos ciotki… Od razu po zakończeniu rozmowy z Marianną Nina zauważyła, że Eugenia próbowała się do niej dodzwonić. Na wyświetlaczu widniały trzy nieodebrane połączenia z jej numeru i dwa z komórki ojca. Znowu jakiś pożar… Niech będzie, najpierw najbliższa rodzina, czyli ojciec. Nina westchnęła cicho i już miała nacisnąć ikonkę połączenia, gdy nagle jej telefon rozbłysnął sygnałem nadchodzącej wiadomości.

Bombonierko!

Jestem ci chyba winien jakieś wino za pozbieranie mnie na tym parkingu.

Co powiesz na Rosso Nobile al Cioccolata?

Czekolada, słodka wanilia i cierpki ja. A może bardziej pasowałoby – kwaśny?

Val

Nie mogła w to uwierzyć… Starszy Jeurissen chciał się z nią umówić na degustację wina! A to ci niespodzianka. Po tym, jak wybiegł nagle z prezentacji zapachów, była przekonana, że już nie wróci na kurs, ale jak każdy pragmatyczny Holender nie wyobrażał sobie zapłacić za coś i z tego nie skorzystać. Razem wrócili do budynku i każde poszło w swoją stronę…

Nina nie przypuszczała, że warsztaty dadzą jej tyle radości. W Bombonierce nauczyła się już dużo, jednak tak naprawdę nie wiedziała jeszcze nic. Najbardziej spodobały się jej zajęcia z Giulią, mistrzynią z Włoch, która tworzyła obrazy z czekolady, ziarenek kawy i… kwiatów. Te niezwykłe kulinarne dzieła spoczywały ułożone kolorami i fakturami płatków w szklanych pojemnikach na marmurowym blacie. Bladoróżowe płatki róży, jaśminu, bratków i fiołków idealnie pasowały Ninie do delikatnych waniliowo-maślanych smaków. Giulia potwierdziła tę teorię i dodała, że świetnie współgrają z białą czekoladą i szampańskim ganaszem. A kwiaty krystalizowane? Co to było za cudo! Doskonale harmonizowały z czekoladowymi tabliczkami – chrupiące, mieniące się, o jeszcze wyraźniejszym smaku i aromacie. Nina już obmyślała wyjazd z Kristen na podmiejskie łąki, gdzie mogły do woli zbierać smakowite płatki. Ach, te plany dodawały jej tyle energii, że mogłaby przenosić góry. Czekoladowe góry, oczywiście!

Dziewczyna, zachwycona precyzją i rozmachem dzieł Giulii, pod koniec kursu postanowiła, że być może spróbują w Bombonierce wytwarzać ręcznie malowane pralinki. Giulia za pomocą zwykłej szprycy do tortów z różnymi nakładkami z wprawą nanosiła na czekoladową polewę miniaturowe ozdoby. Po warsztatach Nina miała spożywczy brokat nawet we włosach i na rzęsach, ale włoska mistrzyni przekonywała, że tak właśnie wyglądają początki miłości do tego fachu.

– Musisz poczuć czekoladę całą sobą. W myślach i na wargach, na swojej skórze i w sercu – mówiła, a Nina wierzyła jej jak nigdy wcześniej nikomu.

Kiedy opowiedziała jej o Bombonierce, Włoszka spojrzała na nią uważnie swoimi pięknymi dużymi oczami. Nawet one były w kolorze czekolady.

– Nie stroń od eksperymentów i nowości, Nina. Używaj pieprzu, curry, bergamotki, chili. To doskonałe surowce do stworzenia niepowtarzalnego ganaszu. Piri-piri? – Roześmiała się wdzięcznie. – To fantastyczny pomysł! Osobiście wykorzystuję również zieloną herbatę, trawę cytrynową czy igły sosny. I pamiętaj, nie ma takiego zioła, którego nie mogłabyś dodać do

czekolady. Nie bój się jej. Po prostu ją kochaj. I temperuj! Wtedy będzie idealnie błyszcząca i krucha.

„Po prostu ją kochaj… – zamyśliła się Nina. – Tak właśnie mówiła o czekoladzie Emilia". Poczuła ból, który zakłuł w sercu jak ostra szpilka. Dlaczego nie dane jej było poznać Emmy? Dlaczego nigdy nie mogły stanąć obok siebie i wspólnie wymyślać coraz to nowsze i bardziej smakowite receptury? A może tak właśnie miało być? Może gdyby była tu Emma, Nina nie zostałaby w Holandii tak długo i nadal sprzedawałaby w Polsce książki? Dziewczyna nie potrafiła jeszcze udzielić jednoznacznej odpowiedzi na te pytania.

Kiedy po warsztatach z głową pełną marzeń i planów szła przez parking do samochodu, z lewej strony dostrzegła Vala stojącego przy swoim sportowym austinie-healeyu. Wyglądał, jakby na kogoś czekał. Kiedy dostrzegł Ninę, na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– Nie jestem dobry w sentymentalne gadki – zaczął. – Ale chyba powinienem ci podziękować. Czy coś w tym stylu. No i dlaczego się śmiejesz? Wyszedłem na durnia, tak?

– Podziękować? – Nina nie zamierzała odpuszczać. Los dawał jej właśnie niepowtarzalną szansę, żeby utrzeć nosa panu Croissantowi. – Ty PODZIĘKOWAĆ? MNIE? Dobrze się czujesz? A może to jednak prawda, że czekolada łagodzi obyczaje?

– To nie czekolada, Bombonierko. To tryptofan! Nie rób mądrej miny, bo i tak widzę, że nie wiesz, co to znaczy. Oświecę cię. To związek chemiczny odpowiedzialny za podnoszenie poziomu serotoniny, czyli hormonu szczęścia. No dobra, nie będę ściemniał. Pół godziny temu też tego nie wiedziałem. Wegańscy spece od muffinek zrobili nam niezły wykład. Ale to nawet ciekawe…

Nina zaczęła się śmiać. Val zawtórował jej po sekundzie namysłu.

– To co z tymi podziękowaniami? Doczekam się ich w końcu? – odezwała się rozbawiona Nina.

– Chyba nie każesz mi klękać? – Val zrobił przerażoną minę, a potem powiedział po prostu: – Dziękuję, Bombonierko. Pozbierałaś mnie. Nieczęsto mi się zdarza utrata kontroli. Pewno byłem przemęczony…

– Ciągłym udawaniem, że jesteś twardzielem? Czasem warto odpuścić, Val. Po prostu…

– Wiem. Ale nie baw się w psychologa, Nina. Nie ze mną. Jestem beznadziejnym, niereformowalnym przypadkiem. Ale mam swoje plusy, na przykład robię niezłe żarcie. Może dasz się zaprosić? Tylko nie obiecuj sobie za dużo po tym spotkaniu. Nadal cię nie lubię, jednak zakopanie topora wojennego w tej sytuacji może mieć swoje dobre strony.

– I ja za tobą nie przepadam – odgryzła się błyskawicznie. – W naszym przypadku nie ma szans na produkcję fenyloetyloaminy.

– Czego? – zdumiał się Val. – Brzmisz jak mój nauczyciel chemii z liceum.

– A widzisz, ja też się czegoś nauczyłam na tym kursie. To związek, który wydziela się wtedy, gdy jesteśmy zakochani.

– Miłość to przereklamowany narkotyk. Nawet o tym nie myśl, Bombonierko!

– Ani ty, Croissancie! A z zaproszenia chętnie skorzystam. Tylko po to, żeby ci udowodnić, że jednak nie umiesz gotować. Na pewno nie tak dobrze jak Romeo.

– Romeo to lepsza połowa naszej rodziny – uczciwie przyznał Val. – Ale w wypadku kulinariów i skrzypiec to ja wygrywam w przedbiegach. Sama zobaczysz! Ale ostrzegam cię, jeżeli będziesz rozczarowana, nie możesz się obrażać. Przecież tak naprawdę będzie wtedy chodziło o twoje oczekiwania, a nie moje obietnice…

A teraz tak po prostu przesłał jej wiadomość. Nina ponownie zerknęła na tekst. Jak widać, starszy Jeurissen nie rzucał słów na wiatr. Tylko kto by przypuszczał, że odezwie się tak szybko!

Po kilku minutach od pierwszej wiadomości na ekranie telefonu dziewczyny pojawiła się druga:

Tak myślałem, że zwykłe niemieckie rosso cię nie zadowoli! Dorzucam jeszcze porcini! Z czekoladą!

Nina wzruszyła ramionami i błyskawicznie zripostowała:

Nie mam pojęcia, co to porcini! To jakiś podstęp?

Wpadnij do mnie, to się przekonasz. 19? Noordenbergstraat 5. Mieszkam w lofcie starej fabryki. Włóż dżinsy i trampki, żadne powłóczyste kreacje i szpilki. To co, mam już robić zakupy, Bombonierko?

V.

No tak, Romeo kochał wielobarwne tkaniny i poduszki, a Val beton i lofty. Jak oni mogli być braćmi?!

Zapomnij, Croissancie! Nie skusisz mnie czekoladą. Nie przyjdę do ciebie, nawet jak założysz szpilki i kupisz podręcznik dobrego wychowania! No way!

PS Pozdrowienia dla Twoich PORCINI. Sprawdź, czy nie są halucynogenne.

Nina

Dziewczyna roześmiała się drwiąco. Co za tupet! Troglodyta! Myślał, że ją ściągnie do swojej jaskini! Co to, to nie! O cholera… Oprzytomniała nagle. Dochodziła dziesiąta. Już dawno powinna być w Bombonierce. Na telefon do rodziców i Eugenii przyjdzie czas później. Że też zawsze potrzebowali jej w najbardziej nieodpowiednich momentach!

ROZDZIAŁ 34

Szwajcarska bajka i marzenia

Zurych, 1980

Relka! Moja kochana siostrzyczko!

Nie uwierzysz, kogo spotkałam w Zurychu! Na pewno nigdy o nim nie słyszałaś, ale musisz mi zaufać. To Alexandre Cailler, znany mistrz czekolady. Tutaj mówią na takich ludzi „Le maître chocolatier". Natknęłam się na niego w pociągu, a właściwie to on zwrócił na mnie uwagę. Ja w życiu nie zagadnęłabym obcego człowieka, w dodatku w nieznanym kraju. Siostry do tej pory nic nie wiedzą o tym spotkaniu. Może powinnam im coś o nim napomknąć, ale mam wrażenie, że nie byłyby zachwycone, że ktoś inny oprócz nich udziela mi nauk. Poza tym to mężczyzna. Wprawdzie sędziwy i bardzo dystyngowany, ale jednak! Może pomyślałyby, że jestem rozwiązła, niewdzięczna i nie wierzę w ich umiejętności? Ale to nie tak, naprawdę nie tak.

Monsieur Cailler ma zupełnie inne podejście do czekolady niż siostry. Nie gorsze, nie lepsze, po prostu inne. I właśnie ta inność tak mnie fascynuje i pociąga. Trudno mi ubrać te wszystkie kłębiące się w głowie uczucia w słowa, ale ja wiem, że Ty mnie zrozumiesz. Zawsze mnie rozumiesz, Relka. I mam nadzieję, że tak już będzie do końca świata. Te nasze listy zastępują mi rozmowę, sprawiają, że czuję, jakbyś była obok, choć tak naprawdę okłamuję sama siebie, bo przecież nie mogę Cię dotknąć ani przytulić. Oddałabym wszystko, żeby choć przez moment poczuć aromat tego szamponu, którym myłaś włosy, a którego ja tak nie cierpiałam. Teraz zdaje mi się najpiękniejszy na świecie, bo pachnie Tobą. Miałam Ci o tym nie mówić, tylko się ze mnie nie śmiej, ale kupiłam wczoraj w drogerii coś, co pachnie podobnie. I w ten sposób oszukuję cały świat swojej tęsknoty, że jesteś tu ze mną…

Relka… nie pytaj, czy jest mi dobrze w zakonie. Musi być. Szwajcaria to kraina czekolady i kiedyś Cię tu zabiorę. To nie mógł być zwykły przypadek, że apteka, do której pojechałam po medykamenty dla siostry przełożonej, znajduje się przy Bahnhofstrasse. Ta ulica jest po prostu przesiąknięta czekoladą! Byłam już w sklepie Markus, gdzie podpatrywałam, jak prawdziwi mistrzowie przyrządzają pralinki. Oczywiście zaprowadził mnie tam Alexandre. Wszyscy powtarzają, że najważniejsza w tej pracy jest pasja i… marmurowy lub granitowy blat. Podobno tylko na nich można uzyskać najlepszą strukturę czekolady. Będę kiedyś taki miała, zobaczysz!

Ach, a te ich cukiernie… Relka, wiem, że na pewno łapiesz się za głowę i trudno Ci to sobie wszystko wyobrazić, jeżeli za rogiem jest szara rzeczywistość, ale uwierz mi, sycę się tym, oglądam, chłonę zmysłami i zapamiętuję najdrobniejsze detale, również dla Ciebie. Szwajcarskie czekoladziarnie przypominają wystrojem sklepy z biżuterią lub perfumerie. W tej, w której byłam po raz pierwszy z Caillerem, widziałam ogromną przeszkloną ladę, która wyglądała jak gustowna toaletka, ale zamiast biżuterii czy flakoników perfum ustawiono w niej pralinki nadziewane ganaszami, makaroniki, ciasteczka petit four, trufle, musy i puszyste eklery. A najlepsza gorąca czekolada jest w Truffe. Siadamy zwykle na zewnątrz, przy pięknych okrągłych stolikach, i obserwujemy eleganckie towarzystwo spacerujące Bahnhofstrasse… Mam wrażenie, że jestem w innym świecie, kochana siostrzyczko. I tak bardzo chciałabym, żebyś była tutaj ze mną…

Alexandre Cailler już od jakiegoś czasu przyglądał się uważnie swojej nowej podopiecznej. Niestety, nie mogła bywać w jego pracowni tak często, jakby chciał. Nadal stanowczo odmawiała poinformowania zakonnic o lekcjach, których jej udziela, obawiając się, że poczują się urażone. Musiał uszanować jej decyzję, choć doprawdy nie rozumiał, jak zakonnice mogą być zazdrosne (tak, on nazywał rzeczy po imieniu!), że Emilia uczy się u jednego z najlepszych szwajcarskich mistrzów. Zapał, głód wiedzy i radość tej młodej dziewczyny o poprzetykanych rudością jasnych włosach udzielał się i jemu, choć myślał, że już nikt nie zdoła wzbudzić w nim tego żaru i pasji, jaką miał jeszcze kilkanaście lat temu. Tego właśnie potrzebował. Pokryte kurzem sprzęty w jego pracowni symbolizowały również stan jego umysłu – zastały, zaśniedziały, wymagający szybkiego naoliwienia nową energią.

Czasami po kilku godzinach intensywnej (znowu!) pracy zastanawiał się, czy Emilia nie daje mu więcej niż on jej. Temperowania czekolady mógł się nauczyć każdy, ale niewielu

umiało tak pięknie okazywać głód i ciekawość świata. Ta młoda dziewczyna to potrafiła. On był już zgorzkniały i stracił gdzieś ten młodzieńczy zapał, którym Emilia obdarzała go za każdym razem, kiedy się spotykali. Jego miłość do czekolady powinna być jak skała, w końcu pradziad Alexandre'a, nazywany ojcem batoników, przekazał mu ją w genach. Kto by przypuszczał, że tę pasję odbierze mu własna żona, również spadkobierczyni wielowiekowych tradycji. Kiedy osiągnęli ogromny sukces, po prostu go zostawiła i odeszła z jakimś podrzędnym cukiernikiem z Lucerny. Od tej pory nie wymyślił już nic innowacyjnego. Jednak dzięki Emilii znowu poczuł, że w jego żyłach płynie czekoladowa krew.

– Jest pan szczęściarzem… – stwierdziła, kiedy po raz pierwszy przekroczyła próg jego pracowni.

Blaty i maszyny przykryte były płóciennymi płachtami, żeby uchronić je przed kurzem i zanieczyszczeniami.

– Na samym początku temperowałem czekoladę na kamiennym blacie. Do tego trzeba mieć cierpliwość – powiedział zamyślony Alexandre.

– I kunszt – z przekonaniem dodała Emilia. – Mam nadzieję, że uda mi się choć w niewielkiej części zdobyć takie umiejętności, jakimi pan dysponuje. Na razie dopiero od niedawna wiem, co to jest.

Wskazała dłonią stojący na blacie metalowy przyrząd. Jego uniesione skrzydło z kwadratową ramą, pociętą napiętymi jak cięciwa i idealnie równymi metalowymi żyłkami, które wyglądały niczym struny, przypominało instrument muzyczny[8]. Alexandre się roześmiał i przysiadł na jednym z krzeseł stojących przy blatach.

– Jeszcze nikomu o tym nie mówiłam, pan jest pierwszy – zaczęła skupiona Emilia. – Bardzo długo myślałam, że to harfa i zastanawiałam się, po co siostrom w naszej manufakturze instrumenty. Byłam święcie przekonana, że ich pralinki są takie dobre, bo umieją zakląć w nich muzykę…

– To bardzo piękne, co pani mówi. Teraz to pani odkryła moją tajemnicę. Bo ja to wiem już od dawna. Czekolada jest jak muzyka. Nuty serca nadają jej smak. Jeżeli próbujemy czekolady przy łagodnych dźwiękach fletu, zdaje się gładka, kiedy słyszymy szorstkie skrzypce, czujemy nagle ziarnistość, nierównomierną teksturę. A to przecież ciągle ten sam kawałek. – Ożywiony Alexandre nagle wstał z krzesła. – Gładkość jest ściśle powiązana z harmonią, *legato*, płynnymi przejściami, pogłosem. Dlatego tak kocham chodzić do opery. Lubię czuć muzykę na języku, jak kawałek najlepszej czekolady. Zawsze noszę w kieszeni kilka pralinek i kiedy

nikt nie widzi, wsuwam je ukradkiem do ust. A potem… w zależności od tego, czego słucham, ona zmienia swoją teksturę. Smaki wibrują… To magia!

– Magia – powtórzyła jak zaczarowana Emilia.

Tak bardzo chciała się stać częścią tego świata. Pragnęła tego jak niczego dotąd!

Tego dnia Emilia wyjątkowo spóźniła się na wieczorną modlitwę. Dotychczas udawało się jej po pracy wymykać niepostrzeżenie na kilka godzin (każdego dnia wszystkie siostry miały wolne w ramach tak zwanej rekreacji), ale gdzieś tam w głębi serca podświadomie wiedziała, że kiedyś to się wyda. Nie przypuszczała jednak, że stanie się to tak szybko.

Tego dnia Alexandre uczył ją kompozycji smaku, która nadawała jego pralinom unikatowego sznytu. Ganasze według jego autorskich receptur zachwycały całe pokolenia wybrednych Szwajcarów. Kiedy Cailler z zapałem demonstrował uczennicy, jak zrobić fantazyjną truskawkę z cointreau, po plecach dziewczyny przepływały ciarki i drżącymi z podekscytowania palcami zapisywała wszystkie wskazówki mistrza, krok po kroku, w grubym brulionie w kratkę. Czasem pod niektórymi przepisami szkicowała zabawne rysunki najróżniejszych kształtów czekoladek. Na jednej stronie narysowała nawet ołówkiem bardzo udaną karykaturę Alexandre’a. To było oczywiste, że ten brulion pod żadnym pozorem nie mógł wpaść w niepowołane ręce, dlatego Emilia dla niepoznaki przykleiła na jego okładce plakietkę z napisem „Pieśni i sonety religijne”. Drogocenny brulion chowała do jednego z wygaszonych pieców stojących w rogu refektarza. Miała pewność, że przynajmniej tam nikt nie myszkował. Trzymanie zapisków w celi było zbyt niebezpieczne, gdyż siostra dzieląca z nią sypialnię była trochę wścibska i Emilia miała wrażenie, że gdy wychodziła do pracy, regularnie lustrowała jej skromny dobytek w szafie. Gdyby odkryła tam przepisy i rysunki, na pewno od razu powiedziałaby o wszystkim przełożonej. Nie na darmo plotkowano w kuluarach, że jest jej ulubienicą.

Kiedy po dwóch godzinach pokazu Emilia skończyła swoje notatki, niespodziewanie dla samej siebie zagadnęła Alexandre’a:

– Czy mogłabym zrobić dzisiaj kilka pralinek według własnego pomysłu?

Zaintrygowany Cailler pokiwał głową. Postanowił nie patrzeć jej na ręce. Jak nikt inny wiedział, że czasem trzeba pozwolić swoim uczniom puścić wodze fantazji.

Emilia w skupieniu pochyliła się nad blatem. Po kilkunastu minutach z dumą zaprezentowała mistrzowi swoje dzieło. Na prostym porcelanowym talerzyku ze złotym

rantem spoczywały dwie okrągłe pralinki. Alexandre wziął jedną z nich, oblaną deserową czekoladą, i przymykając z lubością powieki, włożył ją sobie do ust. Po kilku sekundach otworzył szeroko oczy.

– Co dodałaś do ganaszu?! – zawołał.

– Karmelizowane migdały. W drugiej pralince są prażone pistacje – odpowiedziała Emilia, patrząc na niego pytającym wzrokiem.

Alexandre chciał coś powiedzieć, ale wzruszenie odebrało mu mowę. Już od jakiegoś czasu w jego głowie kiełkował pewien pomysł, ale właśnie dziś ta idea nabrała realnych kształtów. Postanowił, że zdradzi wszystko swojej uczennicy na kolejnym spotkaniu.

– I jak? Smakuje panu? – zapytała Emilia.

– „Smakuje" to mało powiedziane. TO JEST DOSKONAŁE! *Excellent!*

Zaraz po wejściu do klasztoru Emilia wyczuła, że coś się święci. W budynku panowała gęsta, niewróżąca niczego dobrego atmosfera. Kroki dziewczyny rozbrzmiewały złowieszczym echem po pustym korytarzu. Zza drzwi kaplicy dobiegały odgłosy wieczornej modlitwy. „Boże, już tak późno?" – pomyślała przerażona Emilia. Kompletnie straciła poczucie czasu. Przegapiła nawet kolację, siostra przełożona nigdy jej tego nie daruje. W dodatku nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Gdyby chodziło o kilkanaście minut spóźnienia, mogłaby powiedzieć, że zasiedziała się w ogrodzie, w pobliżu figurki Matki Boskiej. Siostry często chodziły w to miejsce, żeby się pomodlić. Ale tyle czasu… Nikt jej nie uwierzy, że nie słyszała dzwonka wzywającego wszystkie zakonnice do środka!

W tym momencie jak na zawołanie drzwi po przeciwległej stronie korytarza otworzyły się ze skrzypieniem i stanęła w nich przełożona. Jej figura zdawała się wypełniać całą futrynę, a padające ze środka gabinetu światło utworzyło nad jej głową aureolę. Emila drgnęła.

– Pozwól tu do mnie na chwilę – odezwała się lodowatym tonem zakonnica. – Chyba że w twoim napiętym terminarzu nie ma miejsca na rozmowy z przełożoną? – Zawiesiła głos i cofnęła się do środka.

Emilia z opuszczoną głową udała się w ślad za nią i wsunęła nieśmiało do gabinetu.

– Zamknij z łaski swojej drzwi – poleciła przełożona i we władczej pozie usiadła za biurkiem.

Emilia chwyciła za klamkę i posłusznie zrobiła to, co kazała zakonnica.

– Siadaj! Albo nie, to nie jest konieczne. Załatwmy tę sprawę najszybciej, jak się da. Tutaj nie trzeba zbędnych słów. Twoje karygodne zachowanie…

– Siostro… ja naprawdę…

– Milcz! I nie waż się więcej mi przerywać! – Przełożona uderzyła otwartą dłonią w stół.

Emila zamknęła oczy. Skuliła się błyskawicznie w sobie, przygotowana na kolejne razy. W jej głowie brzmiał teraz głos matki. I tak jak zawsze, kiedy Michalina na nią krzyczała, postanowiła niczego nie robić, tylko pokornie milczeć. To dawało nadzieję, że tortury potrwają krócej.

– Obserwuję cię od dłuższego czasu, Emilio – zaczęła zakonnica, splatając dłonie. – Nie myśl, że udawało ci się bezkarnie mnie oszukiwać. Jestem na to za stara. Umiem w mig dostrzec niesubordynację i… bunt. Ale jeszcze nigdy wcześniej nie trafiłam na kogoś, kto tak bezczelnie wykorzystywał moje dobre serce i miłosierdzie.

W tym momencie przełożona sięgnęła do szuflady. Przerażona Emilia spostrzegła, że zakonnica trzymała w powykręcanych artretyzmem dłoniach brulion z jej zapiskami. Cała krew uderzyła jej do głowy.

– Skąd przełożona to ma?! – krzyknęła z rozpaczą. – Siostra nie ma prawa… to moje prywatne notatki. – Głos załamał się jej jak skrzywdzonemu dziecku.

– Mam prawo robić tutaj wszystko, rozumiesz? – Przełożona poczerwieniała. – Wszystko, co uznam za słuszne! Złamałaś wszystkie reguły tego miejsca! Sprzeniewierzyłaś się Bogu i nam, jako wspólnocie. Masz szczęście, że siostra Lukrecja, którą bardzo cenię i szanuję, stoi za tobą murem, choć naprawdę nie rozumiem tego oddania komuś takiemu jak ty, Emilio. Ogromnie nas zawiodłaś. I jak chyba się domyślasz, twój postępek nie obędzie się bez kary…

Emilia opuściła nisko głowę. Na jej dłonie, złożone na piersiach jak do modlitwy, skapnęło kilka łez.

– Musisz natychmiast opuścić nasz klasztor! – zagrzmiała przełożona. – Nie życzę sobie, żeby ktoś pozbawiony kręgosłupa moralnego żył z nami pod jednym dachem. Spotykałaś się potajemnie z mężczyzną… – Przełożona uniosła brulion Emilii z taką pogardą, jakby trzymała dowód ciężkiego przestępstwa. – Taki grzech!

– To były niewinne spotkania! – odruchowo zawołała Emilia. – Mistrz Cailler…

– Ani słowa więcej o tym człowieku! – zagrzmiała przełożona. – Naraziłaś naszą manufakturę na śmieszność, stawiając umiejętności tego… fircyka ponad lata naszych doświadczeń! Wykorzystałaś dobre serce sióstr! A one tak ci ufały!

– To nieprawda. Nigdy nie wątpiłam w wiedzę i kunszt sióstr.

– Dosyć tego! – Twarz przełożonej wykrzywił grymas złości. – Ta manufaktura nie jest już twoja. Jeszcze dziś spakujesz swoje rzeczy. W ciągu dwóch dni masz wracać do Rzymu.

[8] Mowa o gitarze cukierniczej, która służy do krojenia pralinek.

ROZDZIAŁ 35

Kłótnie ostre jak piri-piri

Nina przybiegła zaaferowana do Bombonierki, nie mogąc się doczekać, kiedy powie dziewczynom o swoim nowym pomyśle, który podsunęła jej na warsztatach Giulia. Mogły odtąd stosować kwiaty jako subtelne i oryginalne dekoracje, dodatek do ganaszu w formie ekskluzywnej perełki w misternie przygotowanej pralinie. Poza tym kwiaty można było podawać na tyle różnych sposobów! Smażone, kandyzowane, gotowane! Do wyboru, do koloru.

Na zapleczu przy blacie stała Kristen. Miała podwinięte do łokci rękawy i dekorowała właśnie świeżą partię Poziomkowych Kawałków Nieba. To Nina na samym początku swojej czekoladowej przygody wpadła na pomysł nadawania każdej czekoladce wyprodukowanej w Bombonierce zabawnego i słodkiego imienia. Poziomkowym Kawałkiem Nieba stały się więc pralinki z ganaszem z owoców leśnych, Nugatową Ucztą – mleczne ze słodkim nadzieniem orzechowym, a ciemna czekolada z crème fraîche i nutą pomarańczy otrzymała nazwę Waniliowa Dama w Oranżu. Idea nadania czekoladkom piri-piri honorowego imienia najwierniejszej fanki, czyli mecenasowej Klundert, upadł w głosowaniu na zapleczu, ale dziewczyny po kryjomu i tak nazywały te najpopularniejsze bombonierkowe słodycze Papryczki Klundertowej.

– Kristen! Mam świetny pomysł! – zawołała Nina, zerkając z podziwem na zwinne palce swojej ulubionej pracownicy.

„Kuleczka” dekorowała czekoladki z taką precyzją, jakby urodziła się ze szpatułką i skrobką w dłoni. Przy pomocy skrobki potrafiła wyrzeźbić w czekoladzie finezyjne wachlarze, spiralki i koronki.

– Kolejny pomysł? Coraz bardziej się rozkręcasz, kochana. – Kristen uśmiechnęła się ciepło.

Od śmierci jej ukochanego męża Henka minęło tak niewiele czasu, rana w sercu ciągle pozostawała niezagojona, dlatego praca ratowała Kristen przed smutkiem i marazmem. Tylko tutaj potrafiła zapomnieć o ciężkim losie młodej wdowy z dziećmi. Kiedy Nina powiedziała jej o kwiatowych planach, aż klasnęła z podekscytowania.

– Nina, znam te techniki! Koniecznie musimy wykorzystać czarny bez. Ten delikatny kolor będzie idealnie harmonizował z kolorem czekolady.

– Czarny bez? – odezwała się nagle za ich plecami Marta. – Nie zapominajcie, że to jest roślina trująca i tylko jego kwiaty nadają się do spożycia.

– A ty jesteś prawdziwą ekspertką, jeżeli chodzi o truciznę, prawda? – Nina nie mogła się powstrzymać od drobnej złośliwości. – Po zatruciu ani śladu? A taka byłaś umierająca… – Nina nie poznawała samej siebie. Jeszcze nigdy nie rozmawiała z Martą w taki sposób.

Kristen, wyczuwając napiętą atmosferę pomiędzy dziewczynami, postanowiła na chwilę się wycofać.

– Idę po pistolet – rzuciła lekko, wycierając dłonie w papierowy ręcznik.

Jeszcze kilka miesięcy temu jej słowa wywołałyby popłoch wśród mniej doświadczonych pracownic. Teraz jednak wszystkie wiedziały, że nie chodziło o broń, a o przyrząd do wykańczania wypieków. Pistolet rozpylał gorącą czekoladę na schłodzonym torcie, polewa błyskawicznie tężała i zamieniała się w niezwykle apetyczny kakaowy „zamsz". Tylko Kristen umiała precyzyjnie korzystać z tego urządzenia i jako jedyna miała do niego cierpliwość.

– Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś kazała przynieść Kristen prawdziwy pistolet – burknęła Marta. – Co się dzieje? Zachowujesz się, jakbyś naprawdę chciała mnie zabić. Ciągle jesteś zła o ten przymusowy wyjazd na warsztaty? Czyżby okazały się aż takim niewypałem?

– Wręcz przeciwnie – odparowała lodowato Nina. – Tylko nie rozumiem, dlaczego zataiłaś przede mną tyle ważnych informacji. Nie wiedziałam, że planowałaś ten wyjazd z Romeem… Mogłaś mnie ostrzec, że spotkam tam jego brata z piekła rodem.

Marta uniosła ze zdziwienia brwi.

– Nie miałam pojęcia, że Valentijn tam będzie!

– Aha. I zapewne nie wiedziałaś, że Romeo również zatruł się chińszczyzną. Kogo ty chcesz oszukać, Marta, bo na pewno nie mnie?! Co cię z nim łączy?

Marta nagle poczerwieniała.

– A jeżeli nawet tak jest, to co ci do tego? – rzuciła buńczucznie. – Romeo nie jest twoją własnością! Myślisz, że nie widzę, jak się nim bawisz? Do cholery, Nina, to jest bardzo wartościowy mężczyzna! A ty pomimo że nie jesteś nim zainteresowana, ciągle chcesz go kontrolować! I mieć na własność, jak zabawkę! To nie fair!

– To jakieś bzdury! Romeo może robić to, co mu się żywnie podoba – oburzyła się Nina. – Jego plany naprawdę mnie nie interesują, ale wolałabym znać twoje. Może dlatego, że cały czas dla mnie pracujesz.

Marta ze złością rozwiązała firmowy fartuch i cisnęła nim na marmurowy blat.

– Doprawdy? To już nie pracuję! Baw się dalej, Nina, ale beze mnie! Nigdy bym się nie spodziewała, że jesteś taka małostkowa!

– Oszalałaś, Marta… – Nina oniemiała. – Twoje zachowanie jest… idiotyczne. Poza tym nie możesz nas teraz tak zostawić. Nie żartuj sobie i nie strój fochów. Czy ja naprawdę nie miałam prawa wiedzieć, że planujesz ten kurs razem z Jeurissenem? Postawiłaś mnie pod ścianą.

– Sama sobie odpowiedz na to pytanie, Nina – zripostowała Marta. – I dobrze ci radzę, nie traktuj ludzi jak swojej własności. I nie baw się nimi. Bo prędzej czy później zostaniesz sama. Tak jak teraz. – Obróciła się na pięcie i wyszła.

Lars van Haasteren od kilkudziesięciu lat urzędował w swojej kancelarii notarialnej mieszczącej się w siedemnastowiecznej kamienicy w samym centrum Deventer. Stary prawnik nie wyobrażał sobie życia bez pracy, choć, prawdę mówiąc, sił witalnych miał coraz mniej. Przyjaźnił się z Emmą długie lata przed jej śmiercią, a teraz stał się podporą i doradcą jej siostrzenicy. Wszystko, co dotyczyło Emmy, zawsze żywo go interesowało, szczególnie teraz, kiedy nad jej ukochaną Malinową Bombonierką zawisły czarne chmury.

Zatopiony w myślach Lars drgnął nagle, kiedy na jego wielkim zabytkowym biurku zadźwięczał staroświecki telefon. Lars nie lubił nowości. Do solidnych rzeczy z duszą przywiązywał się prawie tak samo jak do ludzi.

– Pan Brenner z kancelarii Brenner Advocaten na linii – odezwała się po drugiej stronie sekretarka Chantal Kamperman. – Czy mam łączyć rozmowę?

Lars nie odpowiedział, tylko pokiwał głową, czego Chantal nie mogła, oczywiście, zobaczyć, ale znała już swojego pryncypała na tyle długo, iż wiedziała, że w jego przypadku milczenie oznaczało zgodę.

– Dzień dobry, Janie – odezwał się służbistym tonem Lars.

– Witaj, Lars – odpowiedział jeden z najskuteczniejszych prawników w Holandii. Podejmował się wyłącznie spraw skazanych na przegraną. Inne nie zaprzątały mu głowy. Swoją pracę traktował jak narkoman dragi. Zawsze musiał być na haju. – Przejdę od razu do rzeczy. Otrzymałem właśnie pismo potwierdzające, że mamy nowego świadka. To lekarz, doktor… – Brenner umilkł na sekundę, tak jakby szukał w swoich dokumentach nazwiska. – Doktor Obarski. Lucjan Obarski zgodził się zeznać, że Emma van Toorn, wówczas znana pod panieńskim nazwiskiem Emilia Dobrzycka, miała problemy psychiczne i przebywała w szpitalu psychiatrycznym, z którego…

– Brenner, to się nie uda! – Lars podniósł nieco głos.

– …uciekła – dokończył spokojnie Jan. – Radziłbym ponownie zapoznać się z twoimi pokrytymi grubym kurzem księgami prawa spadkowego, Haasteren, bo nie chcę cię straszyć, ale szykuje się nam prawdziwa batalia. Mój klient jest zdecydowany na wszystko. A ja, jak wiesz, nie lubię przegrywać.

Nina od kilku godzin nie mogła sobie znaleźć miejsca. Kręciła się po swojej miniaturowej kuchni na piętrze kamienicy, próbując przyrządzić kolację, ale wszystko leciało jej z rąk. Ta niespodziewana kłótnia z Martą kompletnie wyprowadziła ją z równowagi. To prawda, może nie powinna zwracać się do niej w taki obcesowy sposób, ale czy gwałtowna reakcja Marty nie była przesadzona? A teraz nie dość, że straciła jedną z najlepszych pracownic, to w dodatku dowiedziała się, że jest zołzą traktującą ludzi przedmiotowo, jak swoją własność. Czy naprawdę tak było?

Nina z zafrasowaną miną podeszła do okna i zerknęła na ulicę. Walstraat o tej porze świeciło pustkami. Na ławeczce przy sąsiedniej kamienicy w ostatnich promieniach słońca wygrzewały się dwa grube koty sąsiadów.

To jak z nią właściwie jest? Jej samej wydawało się zawsze, że jest życzliwa światu, a jednak ten świat postrzegał ją inaczej, niż sądziła. Nie pozostało nic innego, jak zapytać o to własną matkę.

Nina wyjęła z kieszeni dżinsów telefon i wybrała numer Aurelii. Mama odebrała błyskawicznie, już po pierwszym sygnale.

– W końcu holenderska księżniczka raczyła zadzwonić! Czy ty naprawdę sądzisz, że możesz nas traktować w taki sposób? Jak możesz być taka egoistką, dziecko! – krzyknęła

Aurelia z wyrzutem. Nawet się nie przywitała.

Nina zdębiała. Skąd, na litość boską, mama wiedziała, po co do niej dzwoniła?!

– Właśnie miałam cię zapytać, czy uważasz mnie za wredną zołzę, ale widzę, że jakimś dziwnym trafem już wiesz o moich rozkminkach – rzuciła z wyrzutem.

– Prawie całe miasto o tym huczy! – krzyknęła Aurelia. – Czy ty naprawdę myślałaś, że to się nie wyda?! Kompletnie oszalałaś!

– Mamo, o czym ty mówisz? – Nina ścisnęła telefon tak mocno, że aż jej pobielały knykcie. – Co się wydało?

– Nina, na Boga! Przekupiłaś męża Marianny pieniędzmi ze sprzedaży swojego mieszkania! – Głos matki brzmiał tak zimno, tak obco. Jeszcze nigdy nie zwracała się do niej takim arktycznym tonem. – To dlatego tak łatwo dał jej rozwód. Co to za bandyckie metody?! A wiesz, co jest najgorsze? To, że wciągnęłaś w tę intrygę ciotkę Eugenię! I że nas wszystkich okłamałaś!

– Mamo, błagam…

– Żadne mamo! Nie próbuj teraz brać mnie na litość. To nie zabawa, Nino. Zachowujesz się skandalicznie. Jesteśmy z ojcem na ciebie wściekli, słyszysz? WŚCIEKLI!

– Nie pouczaj mnie z łaski swojej! – wybuchła Nina. – Mam ci przypomnieć, dlaczego Emilia wylądowała w szpitalu? Czytam jej pamiętniki i wszystko już wiem! Nie masz prawa mnie krytykować, bo sama nie jesteś święta!

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. Długa, przejmująca. A potem nagle połączenie przerwano.

– Mamo! MAMO! – krzyczała Nina.

Ponownie wybrała numer Aurelii. Raz, a potem drugi. I trzeci… Telefon nie odpowiadał. Dziewczyna ze złością rzuciła komórkę na łóżko. Chwyciła pulower i zbiegła po schodach. Do jej uszu dotarł śmiech przechodzących właśnie ulicą kilku nastolatek. Popatrzyła na ich szczęśliwe buzie i ogarnął ją przeraźliwy smutek. Po raz pierwszy od kilku miesięcy poczuła się bardzo samotna. Szybko przekręciła klucz w zamku i przyłożyła czoło do zimnych przeszklonych drzwi. Niech ten cholerny dzień już się skończy!

– O, proszę! Kogo my tu mamy! – Wieczorną ciszę zmącił nagle znajomy głos. – Panna Bombonierka tuli się do swoich własnych wrót w niedostępnej dla zwykłych śmiertelników twierdzy. W takim razie nie będę przeszkadzać. Gdybym wiedział, że cię tu spotkam, w życiu nie wychodziłbym z domu. – Valentijn w białej bluzie i dżinsach maszerował właśnie w kierunku croissanterii i na widok dziewczyny zatrzymał się na środku ulicy.

Nina poczuła, że już dłużej nie da rady. Z całych sił zacisnęła powieki, ale pomimo to łzy popłynęły gorącą strużką po jej policzkach. Zapanowała cisza. Nawet dwa sąsiedzkie koty umilkły, choć jeszcze przed chwilą niecierpliwie nawoływały swoją właścicielkę głośnym miauczeniem.

– Nina… Co się stało? – Val stanął tuż za dziewczyną. Dwa razy wyciągnął w jej kierunku dłoń i dwa razy ją cofnął. – Dlaczego płaczesz?

W końcu się odważył i delikatnie położył rękę na jej ramieniu. Nina błyskawicznie ją strząsnęła.

– Idź sobie stąd! – krzyknęła. – Zostaw mnie w spokoju! Wszyscy mnie zostawcie! – zawołała i zakryła rękami twarz.

Jej plecy drżały od niepohamowanego płaczu. Po chwili na jej białej bluzce pojawiły się mokre plamy. Dwoje starszych ludzi, którzy przechodzili właśnie obok, spojrzeli na nią z troską i zaczęli konfidencjonalnie szeptać pomiędzy sobą.

– Nie rób z siebie pośmiewiska! Mów, o co chodzi! – syknął Val.

Nina nie wytrzymała i zamachnęła się na niego. Mężczyzna, broniąc się przed ciosem, chwycił jej ramię, a potem niespodziewanie zamknął ją całą w mocnym uścisku. Najpierw próbowała się wyrwać, miotając się niczym ryba na piasku, a potem nagle zamarła i przytuliła się do jego szerokiej piersi. Val opasał ją ramionami i nachylił się w kierunku pachnących miętą włosów.

– Już dobrze… Wszystko będzie dobrze – szeptał, kołysząc ją delikatnie w rytmie bicia swojego serca. – Nie płacz, Nina. Nie słuchaj tego, co mówię, czasem sam siebie nie poznaję. Loretta mówi, że jestem jak doktor Jekyll i mister Hyde.

– Kim jest Loretta? To twoja kolejna flama? – Nina chlipnęła prosto w jego śnieżnobiałą bluzę.

– Pudło, panno złośliwa. Loretta Simons to dyrektorka hospicjum De Winde. Przyjaźnimy się. Kiedyś podała mi rękę, wyciągając z dołka po śmierci rodziców. Od tej pory odwiedzam tam jej dzieciaki. Razem z moim Karlem Höfnerem.

– To marka skrzypiec. Znam je – powiedziała Nina i podniosła na niego zapuchnięte oczy. – Słyszałam cię wtedy w hospicjum… jak grałeś przebrany za klauna. Te dzieci… patrzyły na ciebie jak zaczarowane, wiesz?

Pomiędzy nimi zapadło milczenie, ale nie było wrogie, było oczyszczające. Val patrzył na Ninę uważnie swoimi zielonymi oczami, a potem delikatnie otarł kciukiem łzy z jej twarzy i złapał ją za ręce.

– Trudno jest zaczarować świat, który się kończy, Nino. Ale ja wiem, co one czują. Bo mój świat też się kiedyś skończył. Ale w przeciwieństwie do nich ja nadal żyję. I dlatego czasem dla nich gram. Gdyby nie hospicjum, smyczek od moich skrzypiec dawno by zbutwiał…

– Zadziwiasz mnie. Skąd ta pasja do muzyki u…? – Nina dosłownie w ostatniej chwili ugryzła się w język. Chyba nie potrafiła rozmawiać z Valem normalnie, bez tego ciągłego złośliwego docinania.

– U zwykłego za bardzo przypieczonego croissanta? To chciałaś powiedzieć?

– Czytasz mi w myślach – burknęła, ale buzia jej się śmiała.

– Mamie bardzo zależało na tym, żebym grał. Ale do niczego mnie nie zmuszała. Mój dziadek był absolwentem konserwatorium w Amsterdamie. Lubiłem ukrywać się wśród pudeł rezonansowych rozlicznych instrumentów w jego garderobie. Urodziłem się niedaleko filharmonii, na Jordaanie. Mama mówi, że do czasu, aż poszedłem do szkoły, zaciągałem w miejscowym dialekcie, a w dodatku okropnie się jąkałem. Muzyka miała mi pomóc w nabraniu płynności w mowie.

– Jak miała na imię twoja mama? – zapytała cicho Nina.

– Vera – powiedział szybko Val, a twarz mu spochmurniała.

Nina wyswobodziła się delikatnie z jego uścisku, ale bezwiednie chwycili się za ręce.

– Dlaczego płakałaś? To przeze mnie, tak? – zapytał ponownie Val. – Przepraszam cię. Nie chciałem, żeby tak wyszło.

– To nie przez ciebie. Miałam ciężki dzień… ale chyba już mi lepiej. Będę tylko musiała naprostować parę spraw. Dzięki za troskę.

– Nie ma sprawy. I pamiętaj, moje zaproszenie na porcini nadal jest aktualne.

ROZDZIAŁ 36

Przyjaciółka incognito

– Robicie z igły widły! Jestem dorosła i wiem, co mam czynić! I nie patrzcie już na mnie takim karcącym wzrokiem. Znaleźli się święci! Niejedno macie za uszami, ale ja wam brudów nie wypominam. A tutaj, proszę, taka wdzięczność. Huzia na Józia! Na mnie i na wasze własne biedne dziecko!

Eugenia od kilku minut stała w bojowej pozie na środku salonu Kostrzewskich, gotowa dzielnie odpierać zmasowany rodzinny atak. Nadal uważała, że nie zrobiła niczego złego. Ani ona, ani tym bardziej Nina, za którą zawsze stała murem.

– Czy ty naprawdę nie widzisz niestosowności tej sytuacji, Eugenio? Razem z Niną balansujesz na granicy praworządności! – zaperzył się Witold. – Nasz ojciec przewraca się w grobie! W końcu był adwokatem! A ty z taką lekkością i, rzekłbym, niefrasobliwością żonglujesz literami prawa w swoim własnym przedziwnym moralnym alfabecie!

– Już ty tatka w to nie mieszaj, bardzo cię proszę. – Skrzywiła się. – Poza tym ojciec nie był żadnym adwokatem, tylko komornikiem, w dodatku życiowym i niejedną literę prawa zdarzało mu się naginać do potrzeb swoich klientów. Tak trzeba, mój szanowny bracie. A ty jesteś sztywny jak, nie przymierzając, ten żywopłot za oknem.

– Uspokójcie się w końcu! Oboje! – fuknęła Aurelia i spojrzała surowo na szwagierkę. – Eugenio, zawsze miałyście z Niną konszachty za naszymi plecami, ale tym razem naprawdę posunęłyście się za daleko. Jak mogłaś pomyśleć, że przekupstwo tego człowieka rozwiąże problemy Marianny? Czy ona w ogóle o tym wie?

– NIE! – wrzasnęła Eugenia i złapała się teatralnie za serce. – Nie wie i absolutnie zabraniam wam ją o tym informować. Nina pomogła swojej przyjaciółce ten… no… a mam!

INCOGNITO!

– Incognito? Trzymajcie mnie! – Witold przewrócił oczami i chwycił za duraleks z przestygłą nieco kawą. – Piękna pomoc za grube tysiące! Znalazła się niewidzialna ręka.

– Ot, właśnie wyszło szydło z worka! – prychnęła Eugenia. – Jak nie wiadomo, o co chodzi, zawsze chodzi o pieniądze. To po co mi trujesz o literze prawa, moralności i innych dyrdymałach, skoro tak naprawdę zależy ci tylko na kasie, pardon, walucie! Przypominam, że Nina sprzedała swoją własność. Nic ci do tego.

– Ta dyskusja nie ma sensu, bo mam wrażenie, że jesteśmy z kompletnie różnych planet – westchnął Witold. – Z Niną jeszcze sobie porozmawiam, może ona wyciągnie z tej lekcji jakieś wnioski, bo wysyłanie do szkoły życia ciebie mija się z celem. Jesteś uparta i niereformowalna. Mam tylko nadzieję, że ten twój absztyfikant zmył ci głowę…

Eugenia nagle oklapła, tak jakby słowa Witolda niczym ostra szpila przekłuły wielki balon, w którym skumulowała energię. Kostrzewscy spojrzeli na siebie znacząco.

– Czyżby Broniwoj Maria Witwicki dał drapaka? Nie poznał się na nowoczesnych metodach przekupniczej negocjacji? – zadrwił bezlitośnie Witold.

Eugenia bojowo zadarła podbródek.

– Na to wygląda – mruknęła. – Dzisiejsi mężczyźni to mięczaki. Bez wyjątku. Dlatego mam nadzieję, że przynajmniej nasza Nina znajdzie sobie kawalera, który będzie ją wspierał na dobre i na złe. A teraz zróbcie mi kawę, bo w gardle mi już zaschło od tej słownej szermierki. Dwoje na jedną, naprawdę nie macie wstydu!

Nina zaparkowała swój rower przy niewielkim stojaku usytuowanym pod rozległym kasztanem, przy polnej drodze. Z przymocowanego do kierownicy koszyka wyjęła płócienną torbę z wilgotnym ręcznikiem. Przed dziewczyną rozpościerała się wielobarwna łąka, ciągnąca się szerokim pasem aż do położonej pięć kilometrów od Deventer malowniczej wioski Gorssel. Nina przez chwilę podziwiała przepiękne widoki, po czym schyliła się i przypięła rower. Już miała ruszyć wąską ścieżką w głąb pola, gdy nagle pojawił się obok, wzbudzając tuman kurzu, kolejny jednoślad. Na jego siodełku zobaczyła… Martę. To właśnie ona powiedziała jej o tym miejscu, ale Nina nie miała pojęcia, że dzisiaj o tak wczesnej porze ją tu spotka. Dziewczyna bez słowa otworzyła podobny do Ninowego koszyk na kierownicy roweru i zaczęła w nim grzebać, pozornie pochłonięta tą czynnością.

– Nie zamierzasz się już do mnie odzywać? – Nina chrząknęła znacząco. – To dziecinada, Marta, a my przecież jesteśmy dorosłe.

– Doprawdy? – Oczy Marty błysnęły. – Nie zachowujesz się jak dorosły człowiek, tylko…

– …tylko jak rozkapryszona księżniczka sterująca ludźmi na prawo i lewo. Wiem, wiem. – Nina machnęła ręką. – Już mi o tym mówiłaś, ale chyba nie powinno cię dziwić, że kompletnie się z tym stwierdzeniem nie zgadzam i nadal będę się bronić, bo to bzdura. Marta, czy ty naprawdę uważasz, że powinnyśmy się rozstać w gniewie? Poza tym konfliktem zawsze świetnie się dogadywałyśmy. Zrobiłyśmy razem tyle fantastycznych rzeczy, miałyśmy tyle cudownych kreatywnych pomysłów… Szkoda to wszystko zaprzepaścić. Potrzebuję cię i… naprawdę przepraszam za to, co się stało. Nie chciałam cię urazić, musisz mi uwierzyć.

Nina z całych sił starała się nie rozpłakać, ale czuła, że jeżeli Marta znowu ją zaatakuje, nie będzie umiała powstrzymać łez. Nie cierpiała się rozklejać i mazgaić, a w ostatnich dniach coraz częściej zdarzało jej się reagować płaczem na stresujące sytuacje. Tymczasem Marta, o dziwo, wcale nie zamierzała jej niczego wyrzucać. Wyglądała na zmęczoną, tak jakby nie spała przynajmniej dwie noce. Miała bladą twarz bez grama makijażu, jej rysy jakby się wyostrzyły. Nina miała ochotę złapać ją za rękę i mocno przytulić. Chyba obie nieco się pogubiły.

– Masz rację – nieoczekiwanie potaknęła. – I wiesz co, Nina, ja wcale nie chciałam rzucać pracy w Bombonierce. Jestem głupia i narwana.

– Nie mów tak…

– Ale to prawda! Emocje opadły, kiedy wróciłam do domu. Najpierw działam, potem myślę… A co tutaj masz? Ręcznik? – zainteresowała się nagle trzymanym przez Ninę tobołkiem. – Nie uwierzysz, ale też przyszłam tutaj zbierać kwiaty – wyznała. – Wiedziałam, że po tych warsztatach cukierniczych złapiesz kwiatowego bakcyla. Tutaj niedaleko rosną całe kępy koniczyny białej i czerwonej. Śmiało możemy szamać jej główki, są bardzo słodkie za sprawą sporej ilości nektaru – paplała, jakby chciała zagłuszyć wyrzuty sumienia. – A tam dalej, w kierunku Gorssel, znajdziemy krwawnik pospolity. To dla tych, którzy kochają lekko gorzkie klimaty. Moja mama używała go do mięs.

– No właśnie… – Nina się roześmiała. Ogromny kamień spadł jej z serca. – Jak ja mogłam myśleć, że poradzę sobie bez ciebie. Jedyne kwiaty, o których myślałam, to maki. Widziałam kiedyś ich czerwone płatki zamrożone w kostkach lodu, wyglądało to spektakularnie.

– Nie każdy lubi ich wyrazisty smak, ale na wszystko jest sposób! – Marta od razu się ożywiła. – A teraz chodź, nie mamy czasu. Zaraz zjadą się tutaj turyści z całej prowincji. To

bardzo popularna ścieżka rowerowa. Pamiętaj tylko, że musimy delikatnie zbierać płatki, a potem okryć je wilgotnym ręcznikiem, żeby nie straciły kształtu. Potem posmarujemy je pianą z białka i obsypiemy drobno zmielonym cukrem.

– Giulia na kursie mówiła, że można je też zakonserwować, używając syropu cukrowego i gumy arabskiej. – Nina pochwaliła się świeżo nabytą wiedzą.

– Tak, robiłam już to. Kwiaty zanurza się w mieszaninie tych dwóch składników, posypuje cukrem i suszy. Takie konserwowanie powtarza się kilkakrotnie, żeby na płatkach zebrała się odpowiednia warstwa cukru. Zrobimy to po powrocie do Bombonierki… o ile chcesz, żebym dalej z wami pracowała. – Marta nerwowo zaginała rogi wilgotnego ręcznika. Jej dłonie lekko drżały.

– Nie tylko chcę, ja wręcz cię o to błagam! – zawołała Nina. – Musisz się zgodzić. Bez ciebie sobie nie poradzimy. Tylko musisz mi coś powiedzieć…

Marta spojrzała na nią pytająco.

– Co się tak właściwie stało? Dlaczego wtedy tak wybuchłaś? Nie wierzę, że chodziło tylko o mnie, Marta…

– Nie, nie chodziło tylko o ciebie. Nie będę ukrywać… Po prostu się zakochałam. Jak nastolatka. Mocno i na amen.

– To cudownie! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Ale to chyba nie powód, żeby fukać na cały świat?

– To nie takie proste… – westchnęła. – Obawiam się, że to uczucie jest jednostronne. Ja kompletnie oszalałam na jego punkcie.

– Jesteś cudowną, atrakcyjną dziewczyną. Każdy facet chciałby z tobą być.

– Nie musi być każdy, wystarczy ten jeden konkretny. Ale to nie takie proste – powtórzyła Marta.

– Dlaczego? – zdziwiła się Nina. – Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jest żonaty?

– Nie. – Marta potrząsnęła przecząco głową. – Nie wyobrażam sobie bycia tą trzecią w związku. On… po prostu jest inny. Uczciwy, bezkompromisowy, z zasadami. W dodatku cholernie przystojny. Takich facetów już nie produkują, matryca się wyczerpała. Dlatego zrobię wszystko, żeby z nim być.

– Może mogłabym ci jakoś pomóc? Znam go? – zapytała Nina. Marta ogromnie ją zaintrygowała.

Przyjaciółka przez chwilę nie odpowiadała, jakby ważyła w myślach słowa, a potem nagle wypaliła:

– Znasz, nawet bardzo dobrze. Nazywa się Romeo Jeurissen.

Pociąg pośpieszny z Berlina wtaczał się właśnie wolno na dworzec kolejowy w Deventer. Marianna nie mogła uwierzyć, że znowu wrócili do Holandii i że wszystko dobrze się skończyło. Teraz musiała tylko wyładować na peron ten cały majdan, który wieźli z Beniem. Z lekkim przerażeniem popatrzyła na wielkie walizy nad głową synka, który z nosem przyklejonym do szyby obserwował dachy domów stojących w symetrycznych rzędach wokół torowiska. Obok chłopca stał plecaczek w kształcie Misia Puchatka, który dostał od „babci" Marii. Wypełniały go ulubione ciasteczka, które lekarka upiekła im wczoraj na drogę. Maślane z dżemem z pigwy rosnącej w ogrodzie za domem. Babcia pokazywała mu to drzewo i nawet pozwoliła na chwilę na nie wejść. Ale tak, żeby mamusia nic nie widziała.

– Dlaczego nie jedziesz z nami? – zapytał dziś rano, kiedy Maria wlewała do termosu kawę dla Marianny. – Moja ciocia Nina ma sklep z czekoladą, wiesz? Mogłabyś u niej pracować. Lubisz czekoladę, babciu Marysiu?

– Bardzo lubię, syneczku. – Wyciągnęła rękę i pogłaskała chłopca po głowie.

Dla niego świat był prosty i kolorowy. I oby tak zostało jak najdłużej. Ten mały już tyle przeszedł. Maria poczuła bolesne ukłucie w sercu. Pojawiało się zawsze, kiedy dotykała czule synka Marianny. Na sekundę wróciły wspomnienia sprzed lat. Cholera, a miała nadzieję, że te obrazy już dawno straciły swoją ostrość. Musiała wziąć się w garść. Nie mogła o tym myśleć. Teraz ani nigdy. Jakkolwiek by nie żałowała swojej decyzji, nic już nie mogło zmienić biegu losu, który sama przed kilkudziesięcioma laty sobie wybrała.

– To dlaczego zostajesz tutaj, ciociu-babciu? – Benio patrzył na nią niewinnie tymi swoimi czarnymi ślepiami. – Będziesz sama. Nikt nie powinien być sam. A ty jesteś dobra. Kocham cię, wiesz? I będę za tobą tęsknił.

Maria poczuła, że zdradzieckie łzy napływają jej pod powieki. Szybko odwróciła głowę i wytarła oczy w rękaw swetra.

– Niedługo cię odwiedzę, obiecuję – szepnęła. – A ty obiecaj mi, że będziesz dbał o mamę, dobrze? Ona cię teraz bardzo potrzebuje. A gdyby coś było nie tak, pamiętaj, że zawsze możesz do mnie zadzwonić.

Benio z powagą pokiwał głową. Teraz to on był odpowiedzialny za mamusię. Tatuś zostawał w ich starym domku, ale mały nie miał mu tego za złe. Musiał zarabiać pieniążki, żeby opłacić ich pobyt w Holandii. Sam mu to powiedział.

Marianna delikatnie dotknęła ramienia synka.

– Zaraz wysiadamy, kochanie! – zawołała. – Ciocia Nina na pewno już na nas czeka na dworcu. A przynajmniej taką mam nadzieję, bo inaczej nie dam sobie rady z tymi walizami.

Stęknęła głośno, próbując ściągnąć jedną z nich na siedzisko. Ramiona jej mdlały, ale gigantyczny kufer ani drgnął. Napięła wszystkie mięśnie. Czuła, że po jej czole zaczyna spływać cieniutka strużka potu. Z przerażeniem pomyślała, że podczas gdy ona będzie tutaj walczyć z bagażami, pociąg ruszy w dalszą drogę. Jeszcze raz szarpnęła mocno za rączkę walizki. Nagle poczuła czyjś ciepły oddech na karku i silne męskie ramiona, które sprawiły, że cały jej bagaż w cudowny sposób wylądował na podłodze. Przedział wypełnił mocny zapach lawendy i drzewa sandałowego. Z przyjemnością pociągnęła nosem. Znała się na perfumach, gdyż na studiach dorabiała sobie w eleganckiej drogerii.

– Mamo, mamo, zobacz, to mój przyjaciel! Ten pan, który robi najlepsze bułeczki. Prawie tak samo pyszne jak cioci-babci Marii.

Na rozpromienionej buzi Benia nie było śladu zmęczenia podróżą. Przez ostatnią godzinę marudził i cicho popłakiwał, ale teraz wyglądał znowu na pełnego energii i radości życia.

– Co za spotkanie! I pomyśleć, że klątem na cały świat, kiedy nawalił mi samochód i musiałem jechać na spotkanie biznesowe do Zwolle pociągiem. Właśnie wracam, a tu taka niespodzianka. – Romeo się roześmiał.

Miał na sobie białą koszulę i sportową marynarkę. Pasma lekko wijących się ciemnych włosów wpadały mu do oczu. Odgarniał je raz po raz miękkim, bezradnym ruchem dziecka. Marianna patrzyła na niego ciepło. A Benio… Benio dopadł jego kolan i objął je mocno obiema rączkami.

– Cześć, przyjacielu – powiedział do małego Romeo.

Chłopiec ziewnął szeroko. Mężczyzna wyciągnął ramiona i podniósł małego jak piórko. Benio przekrzywił lekko głowę, dotknął umorusaną ciastkami łapką nosa mężczyzny, a potem położył głowę na jego ramieniu. W tym momencie pociąg zahamował gwałtownie. Romeo objął dziecko muskularnym ramieniem, a drugą ręką chwycił jedną z walizek. Marianna zauważyła na jego przedramieniu wytatuowaną czarną różę.

– Wysiadamy! – Uśmiechnął się do niej szeroko.

Powoli przesuwali się korytarzem w kierunku drzwi wraz z kilkoma innymi pasażerami. Marianna zerknęła przez okno na stojących na peronie ludzi. W tym momencie dostrzegła biegnącą wzdłuż pociągu Ninę. Przyjaciółka miała na sobie piękną czerwoną sukienkę i słomkowy kapelusz. Zatrzymała się kilka metrów od ich wagonu. Wiatr szarpał za cienki

materiał sukienki, odsłaniając jej długie opalone nogi. W tym momencie Romeo również ją zobaczył. W jego oczach pojawiło się światło, a potem nagle spochmurniały, jakby przysłonił je cień. W końcu rozglądająca się na wszystkie strony Nina zauważyła wychodzącą z pociągu Mariannę. Zaśmiała się w głos i podbiegła do wagonu. Trzymała bukiet ukochanych przez przyjaciółkę żółtych tulipanów. Na widok Romea, tulącego w ramionach Benia, zatrzymała się jak wryta, a tulipany wysunęły się jej z rąk.

Marianna i Romeo? Razem w pociągu? Jak to życie czasami potrafiło zaskakiwać! W najśmielszych snach nie przewidziała takiego szczęśliwego scenariusza. Tylko był jeden problem. Marta… Jak to dobrze, że musiała zostać w Bombonierce. A tak bardzo chciała odebrać Mariannę ze stacji. Gdyby to zrobiła, pękłoby jej serce!

ROZDZIAŁ 37

Romantyczne bajki o czekoladowym deszczu

Val stanął przy kuchennym blacie i machinalnie nacisnął guzik ekspresu do kawy. W całym domu panowała kojąca cisza. Taką lubił najbardziej. Kiedy był mały, mama już od rana nastawiała stary adapter na płyty winylowe dziadka. Wychowywała go wśród muzyki i kwiatów. Jeszcze zanim w rodzinie Jeurissenów pojawił się Romeo, chodzili razem na targ kwiatowy na amsterdamskim Jordaanie. Miliony barw, zapachów, ludzi i rowerów w magicznym miejscu, oplecionym pierścieniem kanałów. Tęsknił za tym bardzo, ale rzadko odwiedzał stolicę. Z tym miastem wiązało się zbyt wiele bolesnych wspomnień. Kiedy mama odeszła, nie chciał w swoim domu żadnego koloru. Otaczała go industrialna szarość i beton. To właśnie wtedy postanowił, że już nigdy nie postawi w tym miejscu żadnego kwiatu ani nie pokocha żadnej kobiety. Gdyby go zostawiła, umarłby po raz drugi. Tak samo jak wtedy, kiedy dowiedział się, że mamy już nie ma.

Val ocknął się ze wspomnień, a właściwie ocucił go z nich aromatyczny zapach świeżo mielonych ziaren. Chwycił kubek z kawą i przeszedł boso na wybetonowany taras, z którego rozciągał się widok na miasto i rzekę IJssel. Z dołu dochodziły go dziarskie pokrzykiwania miejscowych sklepikarzy, którzy wystawiali na zewnątrz swoje towary. Te odgłosy życia najzupełniej mu wystarczały. Tak naprawdę w swoim apartamencie wolał być sam. Z garderoby już przedwczoraj zniknęły fatałaszki Nicolette, a marmurowy blat pod lustrem w łazience znowu przypominał normalną półkę, a nie wystawę w najdroższej miejskiej perfumerii. Nicolette nadawała się do pozowania do zdjęć na Instagramie, ale nie do prawdziwego życia, w którym sztuczne uśmiechy nie są na sprzedaż. Będzie musiał na jakiś czas dać sobie spokój z kolejnymi miłostkami. Chyba że… Val zmarszczył czoło. „Nie!

Zapomnij o tym – upomniał się. – To się nigdy nie uda, a ty zabierasz się tylko za projekty, które mają szansę powodzenia. To zasada numer jeden, Jeurissen”.

Upił spory łyk kawy i wyciągnął się wygodnie na rattanowym fotelu.

– Co to ma być?

Zza pleców wydobył aksamitną różową poduszkę w kształcie serca. RÓŻOWĄ! Skrzywił się niemiłosiernie i nie zastanawiając się ani chwili, cisnął ją poprzez metalowe barierki tarasu na dół. Po chwili doszedł go okrzyk miejscowej kramarki Barbary.

– Na Boga! Ja to mam powodzenie, ludziska! Nie dość, że sprzedaję najlepsze kapelusze w mieście, to jeszcze pluszowe serca spadają mi z nieba prosto na głowę. Jeżeli to nie jest znak od losu, to, proszę państwa, co nim jest? To różowe cudo wygląda zupełnie tak samo jak mój najnowszy model panamy! Chodźcie panie na kapelusze, bo rozchodzą się jak świeże bułeczki od Jeurissenów!

Val zaśmiał się pod nosem i znowu pomyślał o mamie. Kiedyś kupiła u Barbary wielki słomkowy kapelusz. Opasała go szeroką białą wstążką. Wyglądała tak pięknie… Ojciec oniemiał. Był taki dumny ze swojej pięknej, mądrej żony. Dlaczego nie było już takich kobiet? Oddanych swojej pasji, ale i rodzinie. Bezkompromisowych, ciepłych, odważnych, niebojących się nowych wyzwań. Pyskatych i czułych. Takich, z którymi można bez końca moknąć w… czekoladowym deszczu.

Amsterdam, 1998

– Tato, jak właściwie poznaliście się z mamą?

– Opowiadałem ci o tym dziesiątki razy, synu.

– Wiem, ale lubię o tym słuchać.

– Przed kilkunastoma laty, kiedy ty i Romeo hasaliście sobie jeszcze na niebiańskich chmurkach, wybraliśmy się całą paczką przyjaciół do Olten w Szwajcarii. Twoja mama nie była mną w ogóle zainteresowana. Traktowała mnie jak kumpla, z którym można wypić kufelek heinekena na de Brink, ale na pewno nie budzić się z nim rano w tym samym łóżku.

– I co się stało?

– Tego poranka, kiedy reszta grupy odsypiała nocną imprezę, poszliśmy z Verą na długi spacer. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, podziwiając odległe szczyty Alp, górujące nad miasteczkiem. W ferworze rozmowy nie zauważyliśmy nawet, jak nagle nad naszymi

głowami pojawiła się wielka kakaowa chmura. Zdumieni obserwowaliśmy, jak całe miasteczko pogrąża się w brązowej mgle, która pachniała ziarnami kakaowca. Pył oprószył wszystkie ulice, auta, witryny małych sklepików i kafejek. Wyobrażasz to sobie, synu? Na twoich rodziców spadł czekoladowy deszcz. Złapaliśmy się wtedy za ręce i pocałowaliśmy po raz pierwszy. Usta mamy smakowały jak najlepsza szwajcarska tabliczka Lindta…

– A potem? Co było potem?

– Wielka miłość. I wy…

Val nie byłby sobą, gdyby kilkanaście lat później nie dogrzebał się do prawdziwego powodu dziwnego zjawiska atmosferycznego, które zaskoczyło jego rodziców w szwajcarskich Alpach. Okazało się, że w tamtym czasie w Olten wydarzyła się awaria w miejscowej fabryce czekolady[9]. Uszkodzeniu uległ system wentylacji służący do chłodzenia śruty kakaowej, czyli uprażonych ziaren kakaowca. Wydobywający się z fabryki gęsty proszek kakaowy rozprzestrzenił się nad całym miasteczkiem, ku zdumieniu mieszkańców, a przede wszystkim dzieci. Wolałby nadal wierzyć, że rodziców naprawdę połączył czekoladowy deszcz, ale jego pragmatyczna natura wzięła górę nad romantyzmem.

Być może jego problem w relacjach z kobietami brał się z tego, że traktował miłość jako matematyczny wzór, w którym nie było miejsca na bajkę. Może powinien pozwolić sobie uwierzyć w to, że czekoladowe deszcze wspólnych pasji, podobnego spojrzenia na świat i miłości naprawdę istnieją? I że łączą ludzi tak samo jak połączyły Marka i Verę, i nie na skutek fabrycznej usterki, a po prostu awarii dwóch serc, których w żadnym wypadku nie trzeba naprawiać.

„Cholera, jak słodko. No nie, to nie moje klimaty! Dobra, Jeurissen – przykazał sam sobie w duchu. – Ustatkujesz się w momencie, w którym spadnie na ciebie ta cholerna czekoladowa ulewa. Dziewczyna, którą wtedy pocałujesz, już na zawsze będzie twoja. Umowa stoi!”. Roześmiał się gorzko. Szansa na czekoladowy deszcz w Holandii wynosiła równe zero procent, wszystko wskazywało więc na to, że już na zawsze pozostanie sam.

[9] To wydarzenie rzeczywiście miało miejsce w szwajcarskim Olten, ale wiele lat później, dokładnie w sierpniu 2020 roku, kiedy to z powodu awarii systemu wentylacyjnego w fabryce Lindt & Sprüngli całe miasteczko pokryło się

czekoladowym pyłem.

ROZDZIAŁ 38

Ganasz z zazdrości i kłamstwa

Zurych, 1980

Emilia była zrozpaczona surową decyzją przełożonej. Na próżno próbowała przekonać ją, że ta sytuacja nigdy się nie powtórzy i nie będzie się już potajemnie spotykać z Alexandre'em Caillerem. Zakonnica była nieprzejednana. Emilia miała jak najszybciej spakować swoje rzeczy i skoro świt wsiąść do pociągu do Rzymu. W czekoladowej fabryce Petites Sœurs nie było już dla niej miejsca.

Kiedy zapłakana dziewczyna wróciła do swojej celi i zobaczyła przygotowaną na łóżku otwartą walizkę, poczuła, że jej życie straciło sens. Zawiodła tyle osób! Co powie na ten niespodziewany powrót siostra Lukrecja, która tak w nią wierzyła? I jak zareaguje Alexandre, kiedy jego podopieczna nagle zniknie bez słowa wyjaśnienia? Poświęcił jej tyle serca, uwagi, pokazał tyle nowych rzeczy… Emilia nadal nie rozumiała, dlaczego ktokolwiek mógł uważać, że to było złe. Nie wierzyła, że Bóg mógł potępiać ją za to, że chciała się uczyć i dawać ludziom szczęście. Przecież to o wiele bardziej potrzebne niż wielogodzinne modlitwy w zimnej i pustej kaplicy, które nikomu niczego nie dawały.

Kiedy powiedziała o tym przełożonej, ta spurpurowiała i uderzyła ją w twarz.

– Bluźnisz! – krzyknęła i przeżegnała się dwukrotnie. W tej chwili przypominała Emilii rozzłoszczoną Michalinę Dobrzycką. – Powinnam wydalić cię z zakonu! – zagrzmiała przełożona. – Tylko ze względu na Lukrecję pozwolę ci zostać, ale jak najdalej stąd. Niech ona się z tobą biedzi w Rzymie. I nigdy więcej nie waż się mówić o Bogu w ten lekceważący sposób. Rozumiesz? A teraz zejdź mi z oczu.

Emilia stała nad walizką, a z jej oczu płynęły łzy. Nie mogła się pogodzić z tak niesprawiedliwym wyrokiem, odsuwającym ją od manufaktury i sióstr, które zdążyła już pokochać. Na pewno przełożona przedstawi ją w jak najgorszym świetle, jako niewdzięcznicę, a przecież wcale tak nie było. Siostry pokazały jej świat czekolady, a jej winą było tylko to, że chciała zobaczyć więcej, intensywniej, mocniej…

Nagle za swoimi plecami usłyszała ciszy szmer. Odwróciła się wystraszona, że w drzwiach ujrzy ponownie skrzywioną twarz przełożonej, ale w progu stała siostra Konstancja.

– Pst, cicho, nic nie mów – szepnęła. Obejrzała się trwożliwie za siebie i najciszej jak umiała, przymknęła drzwi. – Nie chcę, żeby ktoś mnie tutaj nakrył. Przełożona kategorycznie zabroniła nam z tobą rozmawiać. To sprawka Łucji… ona cię wydała.

– Dlaczego? Co jej zrobiłam?

– Od początku była o ciebie zazdrosna. To ona zbierała zawsze najwięcej pochwał od klientów manufaktury, a odkąd pojawiłaś się ty, pytali, co się stało, że czekoladki są coraz lepsze. Partie pralinek przygotowywanych przez ciebie schodziły najszybciej. Łucja skarżyła się już kilkakrotnie przełożonej, że dodajesz coś do ganaszy, ale ponieważ wszyscy wychwalali cię pod niebiosa, nie mogła nic zrobić. Aż w końcu przyłapała cię na kłamstwie.

– Nie kłamałam. – Emilia opuściła głowę.

– Ale nie powiedziałaś nam całej prawdy, a to jest równoznaczne z kłamstwem, Emilio.

– Wiem, że zachowałam się karygodnie, ale błagam cię, nie gniewaj się na mnie. Mogę pójść choć na chwilę do manufaktury? Chcę wam to wszystko wyjaśnić przed wyjazdem. Błagam, Konstancjo, chociaż na kilka minut.

– Wykluczone. – Zafrasowana zakonnica pokręciła głową. – To za duże ryzyko. Ja ci wierzę, Emilio, ale niektóre z sióstr są bardzo zawiedzione. Już za późno na żal i skruchę.

Emilia skrajem cienkiego habitu otarła mokre oczy.

– A czy mogłabym mieć do ciebie jedną małą prośbę?

– Zrobię, co w mojej mocy. Polubiłam cię, Emilio, i naprawdę dobrze ci życzę. Ale nie wiem… naprawdę nie wiem, czy klasztor to jest miejsce dla ciebie. Powinnaś się zastanowić, co tak naprawdę chcesz zrobić ze swoim życiem, bo wszystkich możesz oszukać, ale Pana Boga i samej siebie nigdy. A teraz mów, jak mogę ci pomóc.

– Muszę pilnie zadzwonić i poinformować kogoś o moim nagłym wyjeździe. To bardzo ważne – wyznała Emilia.

– Jedyny telefon w budynku znajduje się na biurku przełożonej. – Konstancja zmarszczyła brwi. – Gdybyś mogła wyjść na zewnątrz, nie byłoby problemu, bo pięćset metrów stąd jest

budka telefoniczna, ale na to nie ma szans. Chyba że wymknęłabyś się w nocy, tylko jak? O dziesiątej klasztor zamykany jest na trzy spusty.

– To się nigdy nie uda – jęknęła Emilia i zrezygnowana usiadła obok walizki.

– Poczekaj, nie poddawaj się tak szybko. Po obiedzie przełożona zwykle udaje się na drzemkę. Tylko musiałybyśmy wykraść jej klucz do gabinetu. Poczekaj tutaj, ja coś wymyślę. Tylko z nikim już nie rozmawiaj, pamiętaj! Przyjdę do ciebie niedługo. No już, nie martw się, jakoś to będzie. Głowa do góry, Emilio!

Dwie godziny później Emilia i Konstancja, przemykając się wymarłym korytarzem (wszystkie siostry zgromadziły się w lawatarzu na wielkim sprzątaniu), pobiegły do północnego skrzydła klasztoru, gdzie mieściła się prywatna cela przełożonej. Konstancja delikatnie uchyliła drzwi i obie usłyszały dobiegające z wnętrza głośne chrapanie.

– Stój tu na czatach – przykazała Konstancja i weszła do środka.

Na szczęście wpadająca przez okiennice smuga światła pozwalała jej myszkować bez przeszkód, ale gdyby siostra przełożona uchyliła choćby jedną powiekę, od razu dostrzegłaby jej obecność w celi. Ryzykowała wiele, ale naprawdę polubiła Emilię i jako jedna z nielicznych uważała, że odsyłanie jej z klasztoru w Szwajcarii tylko dlatego, że spotkała się kilka razy z tym mistrzem czekolady, jest zbyt surową karą. Dlatego postanowiła pomóc dziewczynie.

Konstancja cichaczem zaczęła przeszukiwać pokój, aż w końcu w szufladzie komody stojącej przy łóżku przełożonej natrafiła na rzemienny pas z przytwierdzonym do niego pękiem najróżniejszej wielkości kluczy. Nie miała pojęcia, który z nich będzie pasował do drzwi gabinetu, dlatego musiała zabrać ze sobą wszystkie. Włożyła szybko ciężkie żelastwo do kieszeni habitu i wyszła.

– Chodźmy, szybko! – Konstancja chwyciła pod ramię Emilię i w te pędy pobiegły w kierunku gabinetu. Miały szczęście, gdyż na korytarzu nadal nie było żywej duszy.

Kiedy lekko zdyszane stanęły przed drzwiami gabinetu przełożonej, Konstancja wyciągnęła ciężki pęk i zaczęła przymierzać kolejne klucze do zamka. Miała wrażenie, że jest ich niezliczona ilość, ale żaden nie pasował. Czas uciekał, za chwilę niechybnie zobaczy je jakaś siostra i narobi krzyku! Kiedy obu zdawało się, że stoją pod drzwiami bez mała sto lat, w końcu jeden z kluczy wszedł gładko w zamek i drzwi do gabinetu stanęły przed nimi otworem. Ciężkie wrota zaskrzypiały głośno, a echo poniosło się po całym holu. Tym razem obie weszły do środka. Konstancja przekręciła włącznik i ostre światło zalało pomieszczenie.

Na środku wypolerowanego biurka stał czarny ebonitowy aparat telefoniczny z długim, poskręcanym sznurem.

– Szybko, masz kilka minut! – poleciła Konstancja.

Emilia bez wahania podeszła do telefonu. Z kieszeni habitu wyciągnęła podłużną kremową wizytówkę z wykaligrafowanym starannie ozdobną czcionką imieniem i nazwiskiem.

Alexandre Cailler
Maître de chocolatier
Tel. 013587466

Musiała mu podziękować i powiedzieć, że już nigdy się nie zobaczą…

ROZDZIAŁ 39

Twarzą w twarz z wrogiem

Maria Grodnicka nie przypuszczała, że po tylu latach znowu nadejdzie moment, kiedy będzie zmuszona stanąć twarzą w twarz ze swoim największym wrogiem. Rany w jej sercu nigdy się nie zabliźniły, ponieważ to właśnie on zmarnował jej doskonale zapowiadającą się karierę młodej lekarki w szpitalu psychiatrycznym Świętej Urszuli w Trzebieszynie. Po wyrzuceniu jej z placówki z wilczym biletem jej kariera się załamała, gdyż żaden szpital w okolicy nie chciał zatrudniać psychiatry, w dodatku kobiety, która przeciwstawia się decyzjom i neguje diagnozy swoich bardziej doświadczonych przełożonych. To właśnie od tego czasu piękna i atrakcyjna Maria zaczęła powoli przeistaczać się w „Filomenę", kobietę o długim nosie i zgryźliwej naturze.

Kiedy w końcu znalazła pracę w oddalonym od jej miejsca zamieszkania o prawie sześćdziesiąt kilometrów małym prowincjonalnym szpitalu, z dala od wszechobecnych macek mściwego ordynatora Obarskiego, nawet to zajęcie nie zdołało naprawić jej przetrąconej w tak niesprawiedliwy i podły sposób kariery. I pomyśleć, że zaczynając pracę, myślała, że będzie doktorem Judymem w spódnicy i zbawi świat, uwalniając go od wszelkich trosk i chorób. Ech, naiwna i głupia! Zawsze musiała stawać w obronie słabszych, nawet jeżeli doskonale wiedziała, że to wtrącanie się może kosztować ją głowę.

Gdy stanęła w końcu przed drzwiami opatrzonymi wizytówką z nazwiskiem znienawidzonego wroga, poczuła, jakby wsiadła do kapsuły czasu. Kolana zaczęły jej drżeć, a dłonie się pocić, tak jakby ordynator znowu wezwał ją do siebie na dywanik i patrzył na nią z wyższością i pogardą zza grubych szkieł swoich szylkretowych okularów.

Cofnęła się pamięcią o kilkadziesiąt lat. Tak jak dziś, również wtedy świeciło słońce, a szpitalny korytarz śmierdział medykamentami i lizolem. Tylko ona była inna. Wydawało się jej wtedy, że może wszystko. W najdrobniejszych szczegółach pamiętała ich ostatnią rozmowę…

Trzebieszyn, 1984

– Doszły mnie słuchy, że pani doktor podważa wśród personelu moje kompetencje? – zagrzmiał Obarski, nawet nie proponując, żeby usiadła.

Miał na sobie śnieżnobiały kitel, który z trudem ukrywał jego mocną i muskularną sylwetkę. Wyglądał jak doktor Kildare, którego losy w amerykańskim serialu medycznym z zapartym tchem śledziło w telewizji pół Polski. Wszystkie pielęgniarki na oddziale do niego wzdychały, ale on zdawał się żadną z nich nie interesować. Potem ta ich miłość nieco zwiędła, bo pomimo swego wdzięku, postury i niezwykle pięknej twarzy o regularnych męskich rysach Obarski miał wredny charakter. Każdy się go bał i wolał mu schodzić z drogi.

– Czy mógłby pan doktor sprecyzować, o co dokładnie chodzi? – Maria Grodnicka bez pytania rozsiadła się na wąskim krzesełku stojącym tuż przed jego biurkiem. Skoro był niewychowanym gburem, musiała radzić sobie sama.

– Niech pani nie udaje Greka! – warknął. – Doskonale pani wie, że chodzi o tę młodą wariatkę zbiegłą z zakonu!

Maria zrobiła zdumioną minę. Gdyby nie wybrała medycyny, na pewno zostałaby aktorką.

– Lekarz, w dodatku ordynator, nie powinien wypowiadać się w tak lekceważący sposób o pacjencie, nie sądzi pan?

– Nie przyszła tu pani udzielać mi nauk, szanowna pani doktor. Nie zapominajmy, że to właśnie ja jestem pani przełożonym i wezwałem panią, żeby ją ostrzec. Proszę zakończyć jak najszybciej tę wrogą propagandę dotyczącą mojej osoby. Jestem doświadczonym psychiatrą i wiem, co robię. W przeciwieństwie do pani, pani Grodnicka!

– Oboje wiemy, że tej dziewczynie nic nie jest! – Twarz Marii poczerwieniała. – Jej pobyt w Urszuli to jakaś chora i niezrozumiała wendeta jej matki. Ubzdurała sobie, że zrobi z córki Świętą Faustynę! A pan faszeruje ją ciężkimi barbituranami. To dlatego ma te napady lęków! Z każdym dniem jest coraz gorzej… Apeluję, żeby jak najszybciej zmienić jej kurację. Święta Urszula to nie miejsce dla Emilii. Powinna jak najprędzej wyjść do domu i zostać otoczona

miłością, czułością i dobrą opieką. – Maria mówiła coraz głośniej. – Tylko wtedy z tego wyjdzie. Przypinanie jej pasami do łóżka nie jest dobrą drogą. Ona tutaj umrze! I pan doskonale o tym wie!

– Proszę spuścić nieco z tego agresywnego tonu! Pani doktor chyba nie zdaje sobie sprawy z powagi zarzutów, którymi mnie pani obciąża? – Obarski wstał. Jego oczy miały teraz barwę czystej stali. – Ja nie mam sobie nic do zarzucenia.

– Widziałam, jak rozmawiał pan z jej matką. – Maria nie dawała za wygraną. – Naprawdę nie zastanawia pana, jako psychiatry, dlaczego ona tak nienawidzi swoją córkę? Może to właśnie starą Dobrzycką powinniśmy tutaj leczyć? To bardzo ciekawy przypadek kliniczny. Słyszał pan może o zespole Münchhausena?

– Szuka pani kogoś? – zza pleców Grodnickiej rozległ się nagle kobiecy głos.

Maria drgnęła i powróciła ze świata swoich wspomnień. Machinalnie poprawiła przekrzywiony nieco beret i biorąc głęboki oddech, nacisnęła w końcu klamkę.

Obarski stał na środku swojego gabinetu, odwrócony plecami do drzwi. Pomimo upływu lat nadal miał szczupłą sylwetkę i tylko przygarbione znacznie plecy i przerzedzone włosy świadczyły o tym, że czasy jego świetności jako najprzystojniejszego ordynatora w okolicy już dawno minęły. Na dźwięk otwieranych drzwi drgnął i spojrzał zdziwiony na wchodzącą kobietę. Wyglądała tak pospolicie i mizernie w granatowej garsonce, która zsuwała się brzydko z jej kościstych ramion. Tylko te oczy… Zaraz, zaraz… Obarski zmarszczył brwi. Wydawało mu się, że gdzieś już takie widział. Miały barwę zachmurzonego letniego nieba.

– Nie poznajesz mnie, prawda? – zapytała cicho Maria.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy byli na ty! – zaprotestował dziarsko Obarski.

Grodnicka zaczęła się śmiać.

– Nigdy nie „paniuję” ludziom, do których nie mam szacunku. Do ciebie nie mam. Jesteś przeżartym złem starcem, na którego już czeka w piekle gorący ruszt. To jedno mnie pociesza. Że już wkrótce będziesz się na nim smażył.

Obarski zdębiał. Najwyraźniej miał przed sobą jedną ze swoich niepoczytalnych pacjentek. Jak najszybciej powinien zadzwonić po ochronę. Już sięgał po leżący na biurku telefon, gdy nagle kobieta szybkim susem znalazła się tuż obok i położyła kościstą rękę na jego srebrnym smartfonie.

– Nigdzie nie będziesz dzwonił – powiedziała głucho. – I nie bój się, nie jestem wariatką, choć ty przez tyle lat próbowałeś ją ze mnie zrobić. Nazywam się Maria Grodnicka. Mówi ci to coś? Złamałeś mi życie tylko dlatego, że odkryłam niewygodną dla ciebie prawdę. Nic z tym nie zrobiłam przez wszystkie te lata, ale w końcu nadszedł dzień zapłaty.

Obarski patrzył na nią z niedowierzaniem. Był przekonany, że ten duch z przeszłości już nigdy nie pojawi się w jego życiu.

– Milczysz? – Grodnicka przewiercała go na wylot bezlitosnym wzrokiem. – Nie zapytasz, co u naszego syna? A, byłabym zapomniała... Przecież ty nawet nie wiesz, że w wyniku tego brutalnego gwałtu, wtedy, w magazynie tej cholernej Urszuli, zaszłam w ciążę…

Obarski osunął się na krzesło i na sekundę przymknął powieki.

– Chłopiec urodził się z ciężką wadą serca. Żył tylko kilka miesięcy. Miał na imię Krzysztof.

– Dlaczego mi to mówisz? – wykrztusił w końcu Obarski. – Po co przyszłaś? Przecież moja skrucha teraz i tak już niczego nie zmieni.

– W dupie mam twoją skruchę! Zresztą ty i tak nigdy jej nie okażesz. A aktorem jesteś marnym. Przecież widzę, że najchętniej posłałbyś mnie do stu diabłów.

– To czego ode mnie chcesz?

Maria przybliżyła się do niego na odległość oddechu. Miał na skórze brzydkie brązowe plamy. Najchętniej zacisnęłaby obie dłonie na jego suchej pomarszczonej grdyce.

– Przestań w końcu prześladować rodzinę Emilii Dobrzyckiej – powiedziała. – Wiem, że masz kontakt z tym Holendrem, jej pasierbem, i obiecałeś mu jakieś kłamliwe rewelacje na temat jej przeszłości. Doskonale wiesz, że nie była chora. To ty i jej matka zrobiliście z niej wariatkę!

– Już za późno, złożyłem zeznania. – Obarski wzruszył ramionami.

– Wycofasz je – odpowiedziała twardo Grodnicka. – Inaczej powyciągam z szafy parę trupów. Wiesz, że to zrobię, bo w przeciwieństwie do ciebie ja nie mam nic do stracenia. Wszystko mi już zabrałeś.

ROZDZIAŁ 40

Nowy kraj, nowe wyzwania

Holandia, 1982

Relka!

Tak dawno do Ciebie nie pisałam… Musisz mi wybaczyć, ale dzieje się tak dużo, że nie wiem, od czego zacząć. Ostatnie wiadomości wysyłałam ze Szwajcarii, ale już dawno tam nie jestem. Zostałam wyrzucona na zbity pysk. Przepraszam, może nie powinnam się tak wyrażać, ale tak właśnie było. Pomimo to naprawdę dziękuję Bogu, że pozwolił mi choć na moment tam się znaleźć, bo gdyby nie Szwajcaria, nigdy nie poznałabym Alexandre'a, który teraz – wiem to już na pewno – odmienił na zawsze moje życie…

Emilia podniosła uważnie głowę. Po latach pobytu w klasztorze jej słuch tak się wyostrzył, że potrafiła obudzić się nawet na dźwięk cichego szurania myszy pod szafą. Przez chwilę nasłuchiwała uważnie, a potem wróciła do swoich zapisków. Na korytarzu panowała niezmącona cisza, tym razem więc musiała się przesłyszeć.

Od kilku miesięcy znajdowała się w niewielkim klasztorze sióstr brygidek w Weert, w holenderskiej Limburgii. Trafiła tutaj po kilkumiesięcznym pobycie w Rzymie, gdzie po nagłej śmierci ukochanej siostry Lukrecji nie mogła znaleźć sobie miejsca. Dobrze, że zdążyły jeszcze ze sobą porozmawiać i dlatego też Emilia była pewna, że droga, którą zamierzała podążyć, była ze wszech miar słuszna. Musiała tylko jeszcze powiadomić o wszystkim matkę i Aurelię. W końcu miała je znowu zobaczyć po tylu latach zagranicznej tułaczki. Czuła radość i podekscytowanie. Zamierzała im zakomunikować, że występuje z zakonu i chce otworzyć własną cukiernię z czekoladkami. Matka na pewno będzie zrzędzić, ale w końcu się z tym

pogodzi, tym bardziej że Emilia miała wystarczająco dużo środków na założenie własnego biznesu. To wszystko było możliwe dzięki jej mentorowi i nauczycielowi – Alexandre'owi Caillerowi.

Kiedy poinformowała go, dzwoniąc w tajemnicy z telefonu matki przełożonej, że musi natychmiast opuścić Szwajcarię, był zszokowany i zawiedziony, choć w pierwszej chwili, słysząc jej przerażony głos, nie dał niczego po sobie poznać. Kilka tygodni później na adres domu zakonnego w Rzymie przyszedł list polecony, w którym prawnik rodziny Caillerów informował Emilię o specjalnym funduszu opiewającym na gigantyczną sumę kilkudziesięciu tysięcy franków szwajcarskich, który został utworzony na jej nazwisko. Alexandre nie miał dzieci, a niezwykle uzdolniona Polka tak zapadła mu w serce, że postanowił jej pomóc w spełnianiu marzeń.

Kiedy Emilia wbiegła do kuchni i przeczytała pismo od szwajcarskiego notariusza siostrze Lukrecji, ta westchnęła cicho i przysiadła na niskim stołeczku tuż obok wielkiego pieca.

– Wiedziałam, że tak będzie, moja duszko – powiedziała.– Kochasz Boga, ale twój Bóg nie mieszka w kościele, tylko w pasji, którą musisz rozwijać i pielęgnować. Wierzę, że ci pomoże. Już pomógł, zsyłając na twoją drogę Alexandre'a.

– Czyli siostra nie jest na mnie zła? – zapytała Emilia. – Tak się bałam, że nie dostanę siostry błogosławieństwa. Jest siostra dla mnie jak mama… Nawet więcej niż mama…

– Tylko bez takich sentymentów. – Zakonnica pogroziła jej kraciastą lnianą ściereczką, ale i ona była wzruszona. – Tylko musisz mi obiecać, że zostaniesz tutaj jeszcze trochę, póki nie znajdziemy na twoje miejsce jakiejś godnej i ogarniętej następczyni. – Siostra Lukrecja urwała i rozkaszlała się gwałtownie. Na jej czoło wystąpiły grube i ciężkie krople potu.

– Co się dzieje? Czy wszystko z siostrą dobrze? – zaniepokoiła się Emilia.

– Niczym się nie martw, dziecko – odpowiedziała szybko Lukrecja i przetarła czoło. – A teraz zabierajmy się w końcu za dekorowanie tego tortu, bo Watykan zostanie bez deseru.

Kilkanaście dni potem, od razu po porannej mszy, na której nie dostrzegła dobrej, jasnej twarzy swojej ukochanej mentorki, postanowiła zajrzeć do jej celi, usytuowanej tuż nad kuchnią. Drzwi do pomieszczenia były na wpół otwarte, paliła się lampa na suficie. W środku Emilia dostrzegła dwie siostry, które krążyły po pokoju Lukrecji i przetrząsały każdy kąt. Rozpruły nawet materiał materaca i wkładały tam dłonie, wyszarpując sprężyny, włosie i gąbkę. Zniknęły wszystkie osobiste rzeczy Lukrecji. Oprócz łóżka nie było ani szafy, ani klęcznika, brakowało nawet drobiazgów, takich jak Biblia, brewiarz czy wiszący na ścianie portret papieża.

– Co się stało?! – krzyknęła przerażona Emilia. – Gdzie jest siostra Lukrecja?

– Umarła dziś rano. Miała zaawansowaną gruźlicę – odpowiedziała sucho siostra Bonifacja. – Zostawiła dla ciebie jakiś pakunek, jest u siostry Ernesty, możesz do niej iść.

Przerażona i oszołomiona Emilia pobiegła do gabinetu przełożonej. Czekały tam na nią koperta i mały złoty medalik szkaplerzny. W liście Lukrecja prosiła ją, żeby przed definitywnym wystąpieniem z zakonu pomogła jeszcze przez kilka miesięcy siostrom z Holandii, które w małym Weert prowadziły dom dla gości i jadłodajnię dla bezdomnych. Lukrecja sama miała tam jechać, ale ze względu na stan zdrowia musiała zrezygnować z wyprawy.

Zrób to dla mnie, dziecko. Naucz je wypiekać najlepsze czekoladowe torty, a może jeżeli będą chciały i umiały – robić własne pralinki. Wierzę, że potrafisz je zachęcić do tego pomysłu. Inwencję twórczą pozostawiam Tobie. Wspólnota z Weert już od kilku lat boryka się z problemami, chcą ją zamknąć i przebudować klasztor na kompleks apartamentów do wynajęcia, ale ja głęboko ufam, że uda się go jeszcze uratować. Mam nadzieję, że mi pomożesz, Emilio.

Zostań z Bogiem. On Ci pobłogosławi.

Emilia nie mogła odmówić prośbie kogoś, kogo tak bardzo kochała i kto zrobił dla niej tak wiele. Bez namysłu spakowała małą walizkę i znalazła się w deszczowej Holandii. Już od samego początku wzięła się do pracy i razem z pozostałymi członkiniami wspólnoty przygotowywały teraz słodkie wypieki w wielkiej, ale bardzo skromnie wyposażonej kuchni. Emilia sama zapłaciła za uprażone ziarno, a potem wspólnie z siostrami wyłuskiwały je ręcznie wieczorem przy palących się świecach. Łupinki kruszyły się łatwo, ale praca była wyjątkowo żmudna i monotonna, jak to określała sama Emilia, taka „kopciuszkowa". Jednak żadna z sióstr nie narzekała, ciesząc się w duchu, że w końcu pojawiła się szansa na uratowanie ich zgromadzenia.

Kolejne dni pokazywały, że siostra Lukrecja bardzo im sprzyja z nieba. Cudem udało się znaleźć na strychu plebanii miejscowego księdza prymitywny młynek żarnowy, w którym można było ściskać i rozcierać ziarna. Już po kilku dniach intensywnego użytkowania młynek wyzionął ducha, ale Emilia nie zamierzała się poddać. Znalazła w kuchni solidny moździerz, w którym siostry, zmieniając się co kilka minut, bo ich mięśnie nie dawały rady, zgniatały ziarna.

Emilia każdego wieczoru kładła się do łóżka wykończona ciężką fizyczną pracą i zasypiała w ciągu kilku sekund. Jeszcze nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa. A Limburgia chowała dla niej w zanadrzu jeszcze jedną niespodziankę. Ta niespodzianka miała na imię Julian. Julian van Toorn.

Otmuchów, 1983

Michalina Dobrzycka siedziała przy stole, z założonymi na piersiach rękami. Tuż obok niej tkwiła skulona Aurelia. Wydoroślała przez te lata, wyszczuplała i wypiękniała. Jej splecione w gruby warkocz długie włosy spływały na lewe ramię. Była ubrana w swoją najlepszą niedzielną bluzkę z haftowanym kołnierzykiem. Przed nimi na stole stała porcelanowa waza z zupą. Na talerzu leżał wyschnięty już nieco chleb, a kompot z rabarbaru kusił zapachem w wysokich szklankach. W pokoju było przerażająco cicho. Nawet zaplątana w pajęczynę nad oknem mucha przestała natrętnie brzęczeć, tak jakby wyczuwała napiętą rodzinną atmosferę.

– Gdzie ona się podziewa? – mruknęła w końcu Dobrzycka i zerknęła na przegub prawej dłoni. – Nawet w zakonie nie nauczyli tego krnąbrnego dziewuszyska punktualności.

– Mamo, przecież Emilia stanęła na głowie, żeby w stanie wojennym móc się z nami zobaczyć. Ksiądz proboszcz mówił, że uruchomiła wszystkie swoje kontakty, żeby dołączyć do papieskiej pielgrzymki.

W tym momencie drzwi wejściowe się otworzyły i do środka wpadła przepiękna dziewczyna w granatowej sukience w grochy. Widząc Emilię, Aurelia zerwała się z krzesła, o mało go nie przewracając. Siostry wpadły sobie w ramiona, płacząc i śmiejąc się na przemian. Nie mogły uwierzyć, że nastał w końcu kres ich rozłąki.

– Relka, jesteś już dorosła! Gdzie się podziała moja mała siostrzyczka? Nie wierzę, że to ty! – Emilia czule głaskała Aurelię po jasnej głowie. – Zaraz ci pokażę, co dla ciebie mam. Prawdziwe dżinsy, nigdy nie uwierzysz. I płyty, i słodycze.

Siedząca sztywno przy stole Michalina chrząknęła znacząco.

– A z własną matką to nie łaska się przywitać? – huknęła i wyciągnęła w kierunku starszej córki spracowaną rękę.

Emilia po sekundzie wahania dopadła do dłoni matki i ucałowała ją z szacunkiem.

– Czemu jesteś tak cudacznie ubrana? Gdzie twój habit? – Michalina zgromiła ją wzrokiem. – Przebieraj mi się tu szybko, bo zaraz idziemy pokłonić się księdzu proboszczowi.

Podziękujesz dobrodziejowi za tyle łask i błogosławieństw, bo gdyby nie on, kto wie, gdzie byłabyś dzisiaj. I my z Aurelią również. Ksiądz bardzo się o nas troszczył.

Aurelia rzuciła siostrze ostrzegawcze spojrzenie, ale rozpromieniona Emilia nie dostrzegła tego sygnału. Usiadła na krześle naprzeciwko matki i poprawiając szybkim ruchem dłoni potargane nieco włosy, powiedziała spokojnie:

– Nie pójdę do żadnego księdza, mamo. Wystąpiłam z zakonu. Mam inne plany. Poznałam w Holandii pewnego chłopaka. Chcemy się pobrać…

Michalina gwałtownie pobladła, a potem osunęła się na dywan pod ich stopami.

– Mamo, coś się dzieje?! – Przerażona Emilia uklękła tuż obok niej. – Mamo! Boże, ona straciła przytomność. Relka, dzwoń natychmiast na pogotowie, ale już!

Aurelia narzuciła na zziębnięte ramiona gruby sweter i stąpając cichutko, stanęła pod drzwiami pokoju matki. Pogotowie, które przyjechało na sygnale pół godziny po tym, jak zadzwoniła do szpitala, wywołało w ich sennej kamienicy nie lada sensację. Sąsiedzi, spragnieni atrakcji i niezdrowo podekscytowani, wylegli na klatkę schodową, by zobaczyć, co też takiego wydarzyło się w mieszkaniu Dobrzyckich.

Od czasu, kiedy Michalina została z dziewczynkami sama, odcięła się od ludzi i praktycznie z nikim nie rozmawiała. Kobiety plotkowały, że wysłała starszą córkę do zakonu, żeby podnieść swój podupadły status materialny i społeczny, ale czy z tym zakonem to nie była bujda? Dziewczyna zniknęła, co prawda, na jakiś czas, a jej matka rozpowiadała, że jest w zgromadzeniu w samym Rzymie i nawet widuje papieża, ale teraz wróciła nagle i nosiła normalne ciuchy, a nie żaden habit. Może Dobrzycka kłamała, tylko w jakim celu? Czyżby miała nadzieję, że ta mistyfikacja nigdy się nie wyda? Głupia! W takim małym miasteczku wszystkie plotki rozchodziły się z prędkością błyskawicy.

Młody lekarz, który przyjechał na wezwanie wraz z ubraną w płócienny krochmalony czepek pielęgniarką, wyminął bez słowa tłumek sąsiadów zabranych na schodach oraz Emilię i Aurelię, stojące na korytarzu. Po zbadaniu Dobrzyckiej wypytywał, czy te omdlenia zdarzają się częściej i kazał wyjąć wszystkie fiolki z lekami, które zażywała. Kiedy Aurelia drżącymi rękoma podała mu buteleczki z medykamentami, zerknął pobieżnie na etykiety i mruknął:

– Serce… Powinna unikać stresu i jak najszybciej skonsultować się z kardiologiem. Kto wypisuje pani matce recepty? – zwrócił się do Emilii.

Dziewczyna stała z nieprzeniknionym wyrazem twarzy na środku pokoju, nie wykazując żadnego zainteresowania stanem Michaliny, tak jakby była dla niej kompletnie obcą osobą.

– Nie mam pojęcia – mruknęła. – Nie mieszkam w tym domu, a poza tym mama nie konsultuje z nami swoich chorób. Prawda, Aurelio? – Szturchnęła młodszą siostrę w bok.

Ta energicznie pokiwała głową. Na jej policzkach widniały ślady łez. Nagła zapaść Dobrzyckiej naprawdę ją przeraziła.

– Tych leków jest zdecydowanie za dużo. Zabieramy panią Dobrzycką na obserwację do szpitala – zdecydował lekarz i schował aparat do mierzenia ciśnienia do wielkiej podręcznej torby. – Jeżeli któraś z was chce z nami jechać, to proszę się pośpieszyć.

– To nie będzie konieczne – odparła szybko Emilia. – Mama jest w dobrych rękach. Poczekamy na nią tutaj, tak będzie lepiej.

Aurelia chciała coś powiedzieć, ale pod wpływem groźnego spojrzenia siostry zamilkła. Po odjeździe karetki Emila jak gdyby nigdy nic wyciągnęła ze swojej walizki opakowaną w kolorowy papier paczkę i położyła na biurku Relki.

– Odpakuj, póki jej nie ma – rzuciła i otworzyła jedno skrzydło swojej starej szafy. Szybko przejrzała kilka wiszących w środku starych sukienek i skrzywiła buzię. – Chyba już żadna z nich na mnie nie pasuje. Wyciągnęłam się w tym klasztorze. Możesz je sobie wszystkie wziąć, Relka, teraz jesteś o wiele bardziej kobieca niż ja.

– Naprawdę już tam nie wrócisz? – zapytała Aurelia. Usiadła na kanapie i podwinęła pod siebie nogi.

Emilia potrząsnęła stanowczo głową.

– Pojadę do Holandii. Zgodnie z obietnicą daną siostrze Lukrecji pomagam miejscowym brygidkom.

– A jak zareagowała przełożona? Nie była na ciebie zła, że odchodzisz? To tak w ogóle można?

– Nie powiedziałam jej o tym – mruknęła Emilia. – Przyjeżdżając tutaj, zabrałam wszystkie swoje rzeczy, a w celi zostawiłam tylko stary sweter i kilka książek. Nie sądzę, żeby ktokolwiek po mnie płakał. Lukrecji już nie ma, a siostra Konstancja, która bardzo mi pomogła w Szwajcarii, rozumie moją decyzję. Przynajmniej tak powiedziała.

– Ale przecież śluby… – Aurelia patrzyła na nią z powątpiewaniem.

– Na szczęście nie zdążyłam ich złożyć, więc z zakonem tak naprawdę nie łączą mnie definitywnie żadne formalności. Ciężko pracowałam na swoje utrzymanie. Dużo im zawdzięczam, nigdy o tym nie zapomnę, ale nie będę się już umartwiać, Relka. Ten etap mam

definitywnie za sobą. Chcę otworzyć własną cukiernię i wytwarzać w niej prawdziwą czekoladę. Alexandre mi pomoże. Już mi pomógł, gdy podarował mi tyle pieniędzy. Chcę je zainwestować w naukę, a potem zobaczę. Alexandre bardzo we mnie wierzy. Poza tym… jest Julian. To też dla niego wracam do Holandii. On pomoże mi coś znaleźć na miejscu.

– Dlaczego nie w Polsce? Tak bardzo go kochasz?

Aurelia odwróciła wzrok. Długo nie odpowiadała.

– Miłość… czym jest miłość? – odpowiedziała w końcu. – Jak się ją rozpoznaje?

– Jak to jak? Masz motylki w brzuchu, wieczną gorączkę i fruwasz nad ziemią! – zakrzyknęła Aurelia i zaczerwieniła się aż po nasadę włosów.

– To wszystko czuję, kiedy myślę o czekoladzie i o mojej cukierni. – Roześmiała się. – A ty skąd to wszystko tak dobrze wiesz, siostra? Czyżby pojawił się ktoś?

– Rozmawiamy o tobie, a nie o mnie – wykręciła się Aurelia. – To co z tym Julianem?

– Powiedziałam mu o swoich planach, o zapisie Caillera i obiecał mi pomóc. Jest bardzo wpływowym człowiekiem, wojskowym. Co prawda z przeszłością, bo ma już dziecko, synka. Pobierzemy się…

– Zaraz, chwileczkę… – Aurelia zamrugała szybko. – To miłość czy biznes? Co się z tobą stało, Emilka?

– Ja już w swoim życiu bardzo kogoś kochałam i zobacz, jak na tym wyszłam. Teraz nadeszła pora, żebym pomyślała o sobie. I o tobie… Gdy już się urządzę, to do mnie przyjedziesz. Nie zostawię cię tutaj samej. Obiecujesz, Relka? Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie, nigdy o tym nie zapominaj. A teraz otwieraj w końcu ten prezent, który ci kupiłam…

Aurelia spojrzała z radością na długie nogi odziane w prawdziwe amerykańskie dżinsy, które przywiozła jej z Holandii Emilia, i przyłożyła ucho do szklanej szyby w drzwiach prowadzących do pokoju matki. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Dotknęła klamkę zimną dłonią i przez chwilę wahała się, czy ją nacisnąć, ale po kilku sekundach cofnęła rękę i poszła do kuchni. Przy nakrytym ceratą stole siedziała Emilia i bazgrała coś w swoim kajecie. Nie rozstawała się ze swoim pamiętnikiem nawet na minutę. W ciągu dnia nosiła go ze sobą w chlebaku, a w nocy chowała pod materac łóżka, na którym spała.

Widząc wchodzącą do kuchni siostrę, Emilia zamknęła notatnik i spojrzała zatroskana.

– Nie widziałaś mojego złotego medalionu od siostry Lukrecji? Jestem pewna, że schowałam go do pudełka w szufladzie. Może chciałaś go przymierzyć i zapomniałaś odłożyć na miejsce? Powiedz prawdę, nie będę zła.

– Nie brałam twojego naszyjnika. – Aurelia pokręciła głową. – Nigdy nie ruszam twoich rzeczy. Nie martw się, na pewno się znajdzie.

– Mam nadzieję. To bardzo cenny przedmiot, choć dla mnie ma przede wszystkim wartość sentymentalną. Ech, Relka, mam dość tej szarzyzny. W naszej cukierni na rogu nie ma żadnych pralinek, tylko napoleonki i keks. Kiedy zapytałam, czy dostanę sernik wiedeński, sprzedawczyni spojrzała na mnie jak na ducha i burknęła, że chyba jestem z innej planety, bo serniki są u nich tylko od święta. Relka, ja nie umiałabym się już tutaj odnaleźć…

Przez kolejne dni Emila chodziła przygnębiona, a potem nagle stała się agresywna. Tego wieczoru po kolacji, kiedy matka zbierała talerze ze stołu, kilka kropel zupy kapnęło na rękaw błękitnej bistorowej bluzki Emilii. Ta, nie namyślając się długo, zdzieliła matkę otwartą dłonią po przedramieniu.

– Uważaj! – krzyknęła, a w jej oczach błysnęła złość. – Trzęsą ci się ręce, jakbyś miała parkinsona! To pewnie kara za to, co mi zrobiłaś. Twój Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy! – rzuciła.

Odsunęła krzesło od stołu i wybiegła z kuchni. Po chwili drzwi wejściowe trzasnęły tak mocno, że szyby w oknach zadrżały. Dobrzycka zrobiła przerażoną minę i bez słowa odniosła talerze do zlewu.

Aurelia nie mogła uwierzyć, że Emilia zachowała się w taki sposób! To było do niej niepodobne. Po zapaści matka nie wracała już do sprawy odejścia z zakonu, obie praktycznie ze sobą nie rozmawiały. Dobrzycka biegała codziennie do kościoła, a po mszy odwiedzała księdza proboszcza. Z plebanii wracała bardzo późno, kiedy obie jej córki leżały już w łóżkach. Gdy wstawały rano, matka klęczała przy wersalce, w długiej koszuli nocnej, z różańcem w dłoniach, i szeptała półgłosem koronki do Matki Boskiej. Aurelia praktycznie już siedziała na walizkach, jej autobus do Amsterdamu odjeżdżał za kilka dni. Codziennie pakowała do walizki jakieś swoje drobiazgi i myszkowała po przepastnych szufladach wiekowego kredensu, szukając starych przepisów babci.

– Martwię się o twoją siostrę, Aurelio – powiedziała w końcu Michalina i usiadła ciężko przy stole, naprzeciw córki. Patrzyła na nią z nieukrywaną troską. – Ja wiem, że po tym wszystkim, co zrobiłam, ale przecież w dobrej wierze, z miłości, ona mnie nienawidzi, ale czy zasłużyłam sobie na takie traktowanie? Jestem jej matką, a ona… od pewnego czasu

zachowuje się co najmniej dziwnie. Nie mówiłam ci o tym wcześniej… – matka zawiesiła na moment głos – …ale dostałam list z Rzymu. Po jego przeczytaniu włos mi się zjeżył na głowie.

Aurelia spojrzała na nią zdumiona.

– O czym ty mówisz, mamo?

Michalina, stękając, wstała od stołu i podeszła do kredensu, po czym wydobyła spod chlebaka podłużną białą kopertę z granatowo-czerwoną szachownicą na brzegach i nalepką BY AIR MAIL.

– Czytaj! – rzuciła. – Nie mam przed tobą żadnych tajemnic. To pismo od siostry przełożonej.

Aurelia wyciągnęła ze środka cienką kartkę zapisaną wysokimi, spiczastymi literkami.

Szanowna Pani Dobrzycka!

Długo myślałam nad tym listem, wahałam się, czy powinnam burzyć Pani spokój, ale dobro tych młodych dusz powierzonych opiece naszego Zgromadzenia leży mi na sercu nawet bardziej niż moje własne.

Od samego początku byłam bardzo życzliwa i pomocna Emilii, która wydawała się zagubiona i nieszczęśliwa. Otrzymała ode mnie wszechstronne wsparcie poparte gorącą modlitwą. Emilia odnalazła dość szybko swoje miejsce w naszej wspólnocie. Oddałam ją pod troskliwe skrzydła śp. siostry Lukrecji, której pomagała w kuchni, przy wypiekach. Siostra nie mogła się nachwalić jej talentu, zaangażowania i kreatywności. Po pewnym czasie na specjalną prośbę Lukrecji przenieśliśmy Emilię do Szwajcarii, gdzie mogła rozwijać swoje umiejętności cukiernicze w zakonnej manufakturze czekolady. Dostała niezwykłą szansę, dar od Boga, który ku naszej największej rozpaczy i rozczarowaniu… zmarnowała.

Emilia zachowywała się w Szwajcarii skandalicznie. Najpierw negowała wszystkie polecenia, nie tylko moje, ale również sióstr, z którymi pracowała. Zmieniała receptury, narażając na szwank dobre imię pracujących w manufakturze przyklasztornej sióstr. A potem, niech dobry Bóg jej wybaczy, zaczęła potajemnie umawiać się z obcymi mężczyznami. Nieustannie kłamała i kręciła, traktowała nas bez należnej estymy i respektu. Kiedy została w końcu przyłapana na kłamstwie, zrobiła się bezczelna i agresywna. Pomimo tego dostała kolejną szansę na powrót do Rzymu. Niestety, również w tak pełnym świętości i przebaczenia środowisku miarka zła może się przebrać. Kiedy odkryliśmy, że Emilia okradła kasetkę

z biżuterią siostry Lukrecji w momencie, kiedy jej ciało nie zdążyło jeszcze ostygnąć w kaplicy…

– Mamo, to jakieś wierutne kłamstwa! Chyba w to nie wierzysz?! – krzyknęła Aurelia. – Emilia dostała ten naszyjnik w spadku, ona nigdy niczego nie ukradła.

– Tak samo jak nigdy wcześniej nikogo nie uderzyła! A jednak dzisiaj podniosła na mnie rękę… To nie jest Emilia, którą znamy. Z nią dzieje się coś niedobrego, dlatego od tej pory musimy działać wspólnie. Inaczej obie ją stracimy.

Aurelia poczuła zimną strużkę potu spływającą wolno wzdłuż kręgosłupa.

– Co mam zrobić, mamo? – zapytała przerażona.

– Musisz z nią porozmawiać. Powinna jak najszybciej pójść do szpitala, do Świętej Urszuli w Trzebieszynie. Tam jej pomogą, a ona ci kiedyś podziękuje, że uratowałaś jej życie.

– Mamo, ale Urszula to zakład dla obłąkanych. Czy ona naprawdę musi się tam leczyć?

– Tak, kochanie. Wyzdrowieje i szybciej do nas wróci. Uwierz mi. Tylko musisz ją przekonać, że to dla jej dobra.

Aurelia długo nie odpowiadała, aż w końcu zapytała:

– Mamo, Emilia szukała tego naszyjnika. To ty jej go zabrałaś?

Dobrzycka wstała.

– Tak, to ja go skonfiskowałam. Ponieważ jego prawowita właścicielka nie żyje, postanowiłam go spieniężyć, a środki uzyskane ze sprzedaży zainwestować w przyszłość Emilii. Musisz mi zaufać...

Aurelia wyszła z kuchni. Chyba udało się ją przekonać! Dobrzycka otworzyła szafkę i zza stosu garnków wydobyła małe kartonowe opakowanie. Musiała się pośpieszyć. Tabletki, które rozkruszała w moździerzu i dodawała do zup swojej starszej córki, właśnie się kończyły. Emilia robiła się po nich agresywna i o to chodziło. Ta durna Aurelia musiała uwierzyć, że z jej siostrą naprawdę jest źle. „Cel uświęca środki, pani Dobrzycka”. Tak mawiał wielebny proboszcz, a ona wierzyła mu bezgranicznie.

– Relka, dlaczego mi to robisz? Ja nie chcę tutaj być! Oni mnie tu faszerują jakimiś prochami. Przypinają do łóżka. Dzień w dzień. Ja chcę stąd wyjść. Pomóż mi. Nie zostawiaj mnie… Ja muszę do Holandii…

– Emilka, lekarze wiedzą, co robią. Jesteś chora, a oni cię tutaj wyleczą, rozumiesz?

– Matka…

– Ona cię bardzo kocha. Zaufaj jej. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. A teraz śpij, słyszysz? Śpij…

ROZDZIAŁ 41

Spojrzenie słodkie jak sernik

– Nina, masz chwilę? Mam niecierpiącą zwłoki sprawę. – Na zaplecze Bombonierki zajrzała Marta. Trzymała jakieś wydruki. Na włosach zawiązała fantazyjnie granatową opaskę w grochy, która pięknie kontrastowała z jej oliwkową cerą.

Nina zaczęła dziś pracę przed piątą, gdyż wcześnie rano lepiej potrafiła się skoncentrować. Nie lubiła papierkowej roboty, ale musiała uporządkować piętrzący się na biurku stos faktur. Teraz w końcu zasłużyła na przerwę. Słysząc pytanie Marty, podniosła nieprzytomny wzrok znad pamiętnika Emmy. Przeczytała właśnie fragment, który koniecznie musiała skonsultować z Larsem, ale notariusz musiał chwilę poczekać.

– Co się stało? Co to za lektura? – Wskazała brodą luźne kartki w dłoni dziewczyny.

– Wczoraj do sklepu wpadła mecenasowa Klundert… – zaczęła Marta.

– I to jest ta ważna sprawa? Przychodzi tutaj codziennie – powiedziała Nina i zerknęła tęsknym wzrokiem w stronę trzymanego na kolanach brulionu ciotki. – Chwila, poczekaj... – Zawahała się. – Przez ostatni tydzień chyba jej nie widziałam.

– Dokładnie o to mi chodzi. – Marta pokiwała głową. – Nie widziałaś jej, bo leżała chora w łóżku. I jej przyjaciółka dyrektorowa Gies przyszła do nas z pytaniem, czy mogłybyśmy wysłać chorej wiadomość.

– Nie rozumiem… A co my mamy wspólnego z pocztą?

– Na razie nic – odparła Marta. – Ale co powiesz na telegramy z czekoladowych literek, oczywiście gustownie zapakowane? Nie chodzi tylko o chorych. Takie słodkie listy można by wysłać z okazji Dnia Matki albo walentynek czy nawet żeby kogoś przeprosić lub za coś podziękować!

– I to wszystko wyczytałaś w tych wydrukach?

– Coś ty, to wszystko z głowy! – Roześmiała się. – Tu mam dane na temat popularności personalizowanych produktów wykonanych na specjalne zamówienie klienta. Powinnyśmy inwestować w ten rynek. Co powiesz na firmowe logo na pralinkach albo czyjeś imię wytłoczone na naszych tabliczkach? Nasi klienci mogą sami wybierać etykiety, nalepki, formę nadruków na czekoladkach…

– Albo nawet ich kształt! – Nina zapaliła się do projektu.

Spojrzała z uznaniem na przyjaciółkę. Marta jak zwykle miała świetne pomysły. Odzyskała dawną energię i nawet jakby… wypiękniała. Nina dopiero teraz zauważyła jej nową sukienkę, w biało-czerwone róże, przepasaną czerwonym paskiem.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała, unosząc prawy kciuk.

– Tak, tutaj po sąsiedzku, po kilka croissantów z marmoladą. – Puściła oczko i odruchowo poprawiła włosy. – Rano widziałam przez okno, jak Romeo szedł do pracy. Na pewno stoi za kontuarem. Mówił mi niedawno, że uwielbia pogawędki z klientami. W przeciwieństwie do swojego brata, który ich raczej odstrasza.

– Val również potrafi być miły – wyrwało się Ninie i poniewczasie ugryzła się w język.

– Nie zauważyłam! – Marta położyła kartki na stoliku przy komputerze. – Mogę się założyć, że właśnie teraz obmyśla jakąś promocję, żeby uszczknąć choć trochę z naszego zysku. Za chwilę wracam i biorę się za pakowanie zamówienia dla burmistrza. Mówię ci, mam ostatnio tyle energii! Wczoraj wyczytałam w horoskopie, że gwiazdy mi sprzyjają. I właśnie w tym miesiącu będę miała szczęście w miłości. Dlatego muszę kuć żelazo, póki gorące, inaczej jakaś obrotna Holenderka sprzątnie mi go sprzed nosa – powiedziała i już jej nie było.

Nina westchnęła i odłożyła pamiętnik. Wyjrzała przez uchylone drzwi i zerknęła w kierunku kontuaru, za którym uwijały się Kristen i Isa. Potem zakasała rękawy i postanowiła, że przygotuje błękitne wstążeczki, którymi owijały pudełka ze specjalnymi zamówieniami. Sięgnęła do szafy, w której dziewczyny trzymały ozdoby. Jedna z rolek z wstążką potoczyła się gdzieś pod biurko. Nina opadła na kolana i na czworakach weszła pod stół. W tym momencie usłyszała głos Kristen:

– Tak, oczywiście, szefowa gdzieś tutaj powinna być.

Zaciekawiona Nina wyjrzała zza stołu. Kristen stała przy wejściu na zaplecze w towarzystwie mężczyzny ubranego w niemiłosiernie poplamiony jakimś smarem niebieski kombinezon roboczy. Trzymał w ręku poobijaną skrzynkę na narzędzia z metalowymi zatrzaskami.

– Zraszacze żem zainstalować przyszedł! – rzucił. – Beukens. Henk Beukens jestem. Firma instalacyjna Loohuis.

– Jakie zraszacze? – zdębiała Nina.

– Takie do czujek przeciwpożarowych. Gdzie się mogę rozłożyć w tych czekoladach? – Rozejrzał się z ciekawością po pomieszczeniu. – Muszę pani powiedzieć, że fikuśne macie te bomboniery, ale nie tknę tego jednym palcem. Od małego powtarzam, że ze wszystkich słodyczy najbardziej lubię śledzie. Nie ma to jak tłusty holenderski *haring* prosto z beczki.

– A wie pan, że śledzie i gorzka czekolada idą w parze? – Nina się roześmiała.

Pragmatyczna Kristen, nie czekając na polecenie, zaczęła rozkładać na blatach folie ochronne.

Beukens spojrzał na Kostrzewską jak na wariatkę.

– Co mnie tu pani tako banialuki wciska! Toć matiaski słone jak beczka soli!

– Właśnie o to chodzi! Gorzka czekolada idealnie komponuje się z solą. To zestawienie smaków jest bardzo intrygujące dla podniebienia. Niech pan spróbuje.

Beukens nie wydawał się przekonany.

– E tam, wkręca mnie paniusia jak śrubokręt! – Łypnął spod oka na Ninę, po czym otworzył swoją skrzynkę i zabrał się do pracy.

Nina patrzyła, jak fachowiec wyjmuje narzędzia, zastanawiając się, czy powinna zostać i patrzeć mu na ręce, ale po chwili ciekawość dalszych losów ciotki zwyciężyła. Dziewczyna wzięła brulion pod pachę i pobiegła na górę. Z ulgą usiadła na kanapie i spojrzała na portret Emilii wiszący na ścianie w salonie. Przez te zapiski, które podczytywała z wypiekami na twarzy, siostra matki stała się jej jeszcze bliższa. To niewiarygodne, ile przeżyła młoda Emilia Dobrzycka! Los jej w niczym nie oszczędzał, a pomimo tego nigdy się nie poddała, nigdy nie skarżyła na swoją trudną codzienność. Umiała z niej wycisnąć to, co najlepsze. Jej życie było jak tabliczka gorzkiej czekolady, którą tak bardzo kochała. Pomimo cierpkości i goryczy jadła pełnymi garściami po to, żeby w końcu poczuć na języku aksamitną słodycz spełnionych marzeń.

Val znalazł w końcu chwilę, żeby usiąść przy stoliku w ogródku cukierni. Od rana jak zwykle użerał się z lokalnymi dostawcami, ale sam sobie zawinił, zawieszając wysoko poprzeczkę. Już na samym początku wymyślił sobie, że po wejściu do croissanterii każdego klienta oczaruje zapach cynamonu, brązowego cukru i prawdziwego masła. A tak pachnieć

mogły tylko najlepszej jakości produkty (równocześnie najdroższe). Przez szybę oddzielającą ogródek od wnętrza cukierni widział fragment kontuaru, za którym stał Romeo. W lodówce po jego lewej stronie ustawiono blachy z sernikiem na kruchym spodzie oraz pleśniakiem z czarną porzeczką i dwoma rodzajami bezy. Na ladzie pyszniły się koszyki pełne doskonale wypieczonych, lekkich jak piórko croissantów z chrupiącą skórką. Val lubił najbardziej te wypełnione masą migdałową i pistacjową. Romeo, od czasu kiedy oszalał na punkcie chocolatierki, wybierał te z czekoladą. Val postanowił wypróbować nową recepturę, z koperkiem i wędzonym łososiem, który tak lubiła Vera Jeurissen. Jego brat chciał nawet nazwać croissanta z tym wytrawnym nadzieniem imieniem mamy, ale Val nawet nie chciał o tym słyszeć.

– Matka nie jest na sprzedaż! – zgasił brata ostro i definitywnie zakończył temat croissantów Vera.

Romeo z kitką ściągniętą czerwoną gumką układał teraz stosy ciemnego i jasnego pieczywa na zakwasie. Po warsztatach Vala na temat zdrowej żywności wprowadzili do sprzedaży różne dodatki do chleba – maślankę, orzechy, kaszę gryczaną, kozieradkę i czosnek. Romeo pakował właśnie wypieczony bochenek dla jakiejś ładnej dziewczyny w czerwonej sukience. Zaraz, zaraz… Val wytężył wzrok. To chyba była ta nowa z teamu Czekoladki. Marta? Tak, Marta! Pyskata, ale niebrzydka. Wpatrywała się w jego brata rozkochanym spojrzeniem, takim czułym i miękkim. Valentijn poczuł lekkie ukłucie w sercu. Miał mnóstwo dziewczyn, ale żadna nie patrzyła na niego jak Marta na Romea.

– Na stare lata robisz się sentymentalnym idiotą – mruknął pod nosem i zagłębił się w lekturę lokalnej gazety „Stentor”.

Przerzucał nieuważnie kolejne stronice, aż nagle jego uwagę przykuło duże zdjęcie. Przedstawiało znajomą malinową kamienicę. Znowu ta Bombonierka! Panna Czekoladka, jak widać, nie zasypiała gruszek w popiele i reklamowała swój biznes również na łamach lokalnej prasy. Val zagłębił się w tekst artykułu. Po kilku pierwszych zdaniach uniósł głowę i zmrużył oczy. To niewiarygodne! Ten człowiek, którego spotkał po raz pierwszy kilka tygodni temu, dopiął swego! Był wtedy świadkiem jego kłótni z klientką, udawał oburzonego jej zachowaniem, a potem zamówił kawę i przedstawił mu propozycję nie do odrzucenia. Val słuchał go z coraz większym niesmakiem, a potem grzecznie podziękował za jego szemraną ofertę. Chciał konkurować z Niną w uczciwy sposób, choć i on miał w przeszłości niejedno na sumieniu. Teraz jednak uznał dziewczynę za pełnoprawnego partnera w interesach, a tych należało traktować poważnie. Świetnie dawała sobie radę, była kreatywna, pracowita

i zasługiwała w jego oczach na szacunek. Tak, to uczucie, które go ogarniało od niedawna na samą myśl o niej, to na pewno był szacunek. No bo cóż innego, jak nie to?

Val, nie zastanawiając się ani chwili, wstał, zwinął gazetę w rulon i skierował się do wyjścia. Ciekawe, czy Nina miała już okazję zapoznać się z tym kłamliwym artykułem? Wiedział jedno – na pewno będzie wściekła. Najwyraźniej ten człowiek chciał jej zaszkodzić i robił to w bardzo skuteczny i sprytny sposób. Przechodząc obok kontuaru, po chwili wahania zatrzymał się na moment.

– *Hoi*! Nina jest w Bombonierce? – rzucił w kierunku Marty.

Dziewczyna niechętnie oderwała wzrok od Romea. Patrzyła na niego jak sroka w gnat, a raczej, zważywszy na okoliczności, jak łasuch w… sernik!

– Tak, walczy z Henkiem Beukensem, tym od sprinklerów. Przyszedł je w końcu zainstalować, dlatego w całej chocolatierce mamy niezły kipisz – powiedziała, przekrzywiając lekko głowę. – Jeżeli chcesz, to możesz jej pomóc, na pewno się ucieszy… – dodała nieco złośliwie.

Val z trudem stłumił ziewnięcie. Całą noc przewracał się z boku na bok, walcząc z sennymi marami, które po śmierci rodziców nawiedzały go coraz częściej.

– Jasne, zrobię, co w mojej mocy – powiedział.

„Wpadnę tylko do domu, żeby zmienić koszulę i odpisać na parę maili” – dodał w myślach.

– Nie musisz się śpieszyć. Gdy wychodziłam, Ninka czytała pamiętniki Emmy – odparła Marta. – Twierdzi, że ciotka objaśnia jej w nich swój czekoladowy świat, a na pewno jego początki, kiedy to mełła ziarna w starym młynku do kawy.

„Marta zdecydowanie ma za długi język – pomyślał Val. – Na nią chyba też trzeba będzie uważać”.

ROZDZIAŁ 42

Ucieczka pod osłoną nocy

Trzebieszyn, 1984

– Szybko, nie mamy czasu! – Szczuplutka doktor Maria Grodnicka pośpiesznie otworzyła metalową szafkę przy łóżku. – Gdzie trzymasz torebkę? Dokumenty? Tutaj? A, już mam!

Oszołomiona Emilia kiwała głową. Lekarka jednym ruchem wyjęła z jej przegubu gumowy wenflon i odpięła skórzane pasy, którymi pielęgniarki krępowały na noc każdego pacjenta na oddziale. Emilia podniosła się na posłaniu i patrzyła wystraszonym, zdezorientowanym wzrokiem na energiczną lekarkę.

– Co pani chce ze mną zrobić? – zapytała słabym głosem.

Trochę kręciło jej się w głowie. Dzisiaj rano zwiększono jej dawkę leków. Zgodnie z instrukcją Marii trzymała tabletki pod językiem do momentu, aż pielęgniarka wyszła z sali, po czym wypluła je na otwartą dłoń i wcisnęła do woreczka umieszczonego bezpiecznie pod materacem.

– Która godzina? – Dziewczyna rozglądała się błędnym wzrokiem.

Grodnicka objęła ją mocno i troskliwie pomogła podnieść się z łóżka. Pacjentka oparła się całym ciężarem na jej ramieniu.

– Kilka minut po północy – stęknęła, choć Emilia była lekka jak piórko. Przypominała teraz cień samej siebie sprzed kilku miesięcy. – Musimy się pośpieszyć. Siostry oddziałowe piją teraz kawę w dyżurce. Nie mogą nas zobaczyć. Mamy kwadrans.

– Dokąd mnie pani zabiera, pani doktor?

– W bezpieczne miejsce. Nie możesz tutaj zostać. A teraz idziemy! Trzymam twoją torebkę, resztę rzeczy musimy zostawić.

Grodnicka wyjrzała ostrożnie na korytarz oświetlony trupio bladym światłem podwieszonych pod sufitem jarzeniówek. Z dyżurki po lewej stronie dochodził cichy szmer rozmowy i stukanie szklankami.

– Teraz – szepnęła Maria i przytrzymując mocno Emilię, skierowała się w stronę schodów.

Przemknęły niezauważone na parter. Na dole przerzucony przez poręcz schodów wisiał granatowy płaszcz i kapelusz. Grodnicka obejrzała się za siebie.

– Załóż ten płaszcz i nasuń kapelusz na głowę. Nikt nie może zobaczyć, że w środku nocy wychodzisz ze szpitala w koszuli. Zaraz nabierze podejrzeń i zrobi raban. Pokaż się. – Lekarka przyjrzała się krytycznie swojej pacjentce. – Zapnij się tylko i włóż moje okulary. Kapelusz nasuń bardziej na czoło… Tak, teraz będzie dobrze. Tutaj masz mój identyfikator. Przy wejściu machniesz nim cieciowi przed nosem. On i tak przysypia i łypnie na ciebie jednym okiem, ale lepiej być przygotowanym na wszystko.

– Dokąd mam pójść? – zapytała cicho Emilia.

– Po wyjściu z budynku skieruj się do bramy głównej – odpowiedziała Grodnicka. – Tam już czeka taksówka. Granatowy wartburg. Zawiezie cię do mojego domu. Na piętrze masz przygotowane łóżko. Ja przyjdę rano po dyżurze. A, byłabym zapomniała, klucz leży pod doniczką z pelargonią stojącą na parapecie przy drzwiach. Wszystko jasne? Postaraj się iść najszybciej jak możesz. Wiem, że jesteś osłabiona, ale musisz zacisnąć zęby. Dasz radę, słyszysz? Dasz radę!

– Pani doktor… Dlaczego pani to robi…? Pomaga mi? – Emilia złapała Grodnicką za rękę. Jej oczy błyszczały.

Maria odrzuciła do tyłu długie, proste włosy.

– Jestem lekarzem, ale przede wszystkim człowiekiem. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś na moich oczach kogoś niszczył. Jeżeli teraz stąd nie wyjdziesz, zostaniesz tu na zawsze. A teraz pośpiesz się. I pamiętaj, nic nie mów. Wystarczy, że przy wyjściu pokażesz identyfikator…

ROZDZIAŁ 43

La grande finale

Nina zamknęła pamiętnik Emmy, wstała z kanapy i stanęła na środku pokoju. Kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze na korytarzu. Patrzyły na nią młode oczy Emilii Dobrzyckiej. Jej własne oczy… Naprawdę była podobna do ciotki. Miały takie same wydatne kości policzkowe, lekko zadarty obsypany piegami nos, długie płowe włosy z rudymi refleksami i ten sam upór, który pozwalał im wierzyć, że nawet po najczarniejszej nocy zawsze wstanie nowy dzień.

Nina wzuła białe trampki i postanowiła sprawdzić, jak Henk Beukens poradził sobie z instalacją przeciwpożarową. Zbiegła po schodach. Po hydrauliku nie było śladu, a wszędzie panował nienaganny porządek. Kristen posprzątała już folie ochronne, którymi przykryła marmurowe blaty z ułożonymi równo pralinkami. Nina podeszła do stołu i sięgnęła po leżącą z brzegu pistacjową czekoladkę. To właśnie te były pierwszymi, które zaczęła produkować w swojej własnej manufakturze Emila Dobrzycka, wtedy już van Toorn. Na początku nie miała jeszcze własnego melanżera. Korzystała ze starego młynka do kawy i przebierała ziarna ręcznie, nawet trzy kilogramy naraz. Skórę jej dłoni pokrywały wielkie bąble, ale była szczęśliwa, pomimo tego cholernego i niszczycielskiego paktu, który zawarła ze swoim mężem Julianem.

Nina włożyła do ust czekoladkę. Na jej wargach pozostała aksamitna słodka smuga. W tej chwili na zaplecze wszedł Valentijn Jeurissen. Dziewczyna drgnęła i spojrzała na niego zaskoczona. Val podszedł blisko i wyciągnął przed siebie trzymaną w ręku gazetę.

– Musisz to koniecznie przeczytać. TERAZ! – powiedział dziwnym głuchym głosem.

A potem zerknął na czekoladową smugę na jej ustach. Jego oczy pociemniały. Nina wyglądała jak psotna dziewczynka, która dobrała się do ukrytej w spiżarni bombonierki. Val przełknął ślinę i otworzył usta, gdy nagle ze ścian i sufitu zaczęła gwałtownie tryskać woda. Nina krzyknęła i odruchowo nakryła dłońmi oczy. Pod wpływem silnego strumienia półpłynna kakaowa masa w konszownicach zamieniła się w czekoladową mżawkę, która błyskawicznie osiadała na stołach, meblach, ścianach i na ich ubraniach. Po kilkunastu sekundach nagle wszystko ucichło. Zszokowani Val i Nina stali, ociekając strugami zabarwionej czekoladą wody, i zerkali na siebie tak, jakby zobaczyli się po raz pierwszy. Nina jęknęła i otarła obiema rękoma twarz.

– Jakim cudem te tryskacze uruchomiły się właśnie teraz?! – wyjąkała. – Już ja sobie pogadam z tym Henkiem. Partacz! To przez niego ta cholerna awaria. I kto teraz posprząta to pobojowisko?

Val postąpił krok naprzód. Nagle poczuł, że już się nie boi zaryzykować. Że właśnie teraz nadeszła jego chwila.

– To nie awaria, Nino. To przeznaczenie – powiedział. – Właśnie spadł na nas czekoladowy deszcz. Wypatrywałem go całe lata i w końcu zdarzył się cud. Teraz jesteś tylko moja – powiedział i bez wahania mocno przyciągnął ją do siebie.

Zaskoczona dziewczyna nie zdążyła zaprotestować. Znalazła się w jego silnych ramionach. Po sekundzie ciepłe wargi Vala dotknęły jej ust. Szukali się nawzajem zaborczo, zachłannie, tak jakby za chwilę miał się skończyć świat. Nina objęła Valentijna w pasie, z całych sił wtulając się w jego mokrą koszulę. Pachniała pistacjami i czekoladą.

– Nic z tego nie rozumiem – szepnęła. – Jaki czekoladowy deszcz?

– Nie gadaj tyle, Czekoladko, bo chciałbym cię znowu pocałować! Tak długo na to czekałem!

W tym momencie… komórka w kieszeni jego dżinsów zawibrowała kilkakrotnie. Val otworzył zaspane oczy, przetarł je szybko i zamrugał. Zerknął na zegarek. Nie do wiary, dochodziła piętnasta! Przysiadł tylko na chwilę z laptopem na kanapie, żeby odpisać na zalegle maile, i zasnął jak dzieciak na prawie dwie godziny. A ten sen… był tak realistyczny, niewiarygodne jak bardzo…

Val oblizał szybko spierzchnięte wargi, ale nie poczuł smaku czekolady. Poderwał się z kanapy. Jego bajka okazała się mrzonką. Teraz jednak musiał jak najszybciej zobaczyć się z Niną.

Telefon zadźwięczał ponownie. Val niecierpliwie sięgnął do kieszeni. Na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość od Nicolette.

Do diabła, Jeurissen, oddzwoń do mnie w końcu!
Mam wielki problem. A właściwie to mamy go oboje!

Deventer, 1988

Po raz kolejny skręciła w wijącą się wybrukowaną uliczkę ciągnącą się wzdłuż malowniczych kolorowych budynków z kamiennymi schodkami i poręczami oplecionymi pnącą różą. Przychodziła tutaj zawsze wtedy, kiedy było jej źle. Tym razem nałożyła duże słoneczne okulary, mimo że na zewnątrz mżyło. Ludzie mogliby pytać, skąd ten ogromny siniak tuż przy jej lewym oku. Bolało… Bardzo bolało… Ale nie chciała teraz o tym myśleć. Chciała znowu ją zobaczyć.

Kamienica miała nietypowy odcień czerwieni. Obramowane białym gzymsem okna i zaokrąglony na kształt dzwonu szczyt domu z wbitym w środek hakiem lśniły w deszczu. Emilia podeszła do budynku i kilka razy pogładziła jego chropowatą fasadę. W witrynie sklepu z pasmanterią na dole budynku wyeksponowano akcesoria do szycia, kolorowe wstążki i tasiemki oraz skrawki materiałów o różnych fakturach. Na kamienicy zaledwie wczoraj przymocowano drewnianą tabliczkę z napisem „Te koop”[10].

Emilia przymknęła oczy. Z witryny jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęły kolorowe wyroby pasmanteryjne, a pojawiły się pralinki, ułożone w równe stożki.

– Niedługo będziesz moja – szepnęła dziewczyna. – I już wiem, jak się będziesz nazywać… Malinowa Bombonierka.

Koniec części drugiej

[10] hol. na sprzedaż

OD AUTORKI

Czekoladę, moi mili Państwo, podobnie jak pomidory czy ziemniaki biały człowiek ukradł plemionom zamieszkującym Amerykę, bo chociaż dziś najwięcej kakaowca uprawia się w Afryce, to do XVI wieku nie znano go poza Ameryką Środkową i Południową. Podobno kakao odkrył ciekawski wojownik z plemienia Olmeków, który po rozgryzieniu ziaren ukrytych w miąższu owocu krzewu kakaowca poczuł nagły przypływ sił witalnych. Poinformował o tym cudzie swoich współplemieńców żyjących na obszarze przy Zatoce Meksykańskiej. Odtąd ziarna kakaowca traktowano z ogromnym szacunkiem, prawie jak relikwie. Wierzono, że zostały ofiarowane światu przez bogów. Początkowo ucierano je po uprażeniu w podgrzewanych kamiennych żarnach, a powstałą w ten sposób miazgę mieszano z chłodną wodą i dodawano do niej między innymi ostre papryczki. Jak widać, pomysł Niny z pralinkami piri-piri nie był taki nowatorski i jest – jakby nie patrzeć – swoistym powrotem do czekoladowej prehistorii. Z czasem tereny plemienne Olmeków zaczęły zamieszkiwać inne ludy. Cywilizacja Majów wykorzystywała ziarna kakaowca jako środek płatniczy, handlując jego owocami. Jedynie wyższe klasy społeczne mogły sobie pozwolić na to, aby cieszyć się wybornym smakiem kakao w formie gęstego płynu. W tamtych czasach dodawano do niego chili oraz pieprz. Z kolei Aztekowie traktowali kakao jako święty napój. Używali go podczas religijnych obrzędów.

Europa zawdzięcza ziarno kakaowca Krzysztofowi Kolumbowi, który napadł na jeden ze statków Majów, ale sam nie miał przyjemności odkrycia smaku czekolady. Dopiero hiszpański konkwistador Hernán Cortés w 1528 roku przywiózł ze sobą do Hiszpanii ziarna kakaowe.

Chociaż czekolada nadal podawana była w formie napoju, jej hiszpańską wersję wzbogacono cukrem i miodem, aby złagodzić naturalnie gorzki smak.

Czekolada szybko zyskała popularność wśród bogatych i zamożnych. Nawet katoliccy mnisi przepadali za nią i pili ją podczas praktyk religijnych. Uważano, że to napój wzmacniający odporność i zwalczający zmęczenie. Plotkowano, że filiżanka tego cennego płynu sprawia, iż można funkcjonować cały dzień bez jedzenia. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że była jak afrodyzjak…

Teraz pytanie, czy Nina przyciągnęła Valentijna swym wdziękiem, czy może jak średniowieczna czarownica rzuciła na niego czekoladowy czar? Odpowiedź odkryjecie już niedługo, w trzecim tomie mojej słodkiej sagi. Czekajcie cierpliwie, najlepiej przy smakowitej bombonierce, pełnej wybornych pralinek. Te pistacjowe są najlepsze!

Wasza Agnieszka

Czekoladowe receptury bohaterów (ściśle tajne!)

HENKA BEUKENSA ŚLEDŹ W CZEKOLADZIE

Składniki:

- 4 grubiutkie tłuste matiasy
- 100 g gorzkiej czekolady, oczywiście najlepszej jakości
- sok z wyszorowanej na cacy cytryny
- jabłuszko, najlepiej antonówka
- suszone owocki – morele, śliwki, żurawina, rodzynki
- kilka liści świeżutkiej mięty
- dla lubiących pikantne wyzwania – oczywiście szczypta chili

Wykonanie:

Matiasy namocz na około pół godziny. Następnie osusz, skrop dokładnie sokiem z cytryny i odstaw na jakieś dwie godziny. Do osobnej miseczki włóż suszone owoce i zalej wrzątkiem. Odstaw na około pół godziny. Potem nie zapomnij ich odcedzić.

Do roztopionej w kąpieli wodnej czekolady dodaj garść umytego i startego winnego jabłka. Dokładnie wymieszaj. Żeby podkręcić smak i wyczarować trochę pikanterii, dodaj szczyptę chili.

Filety ułóż na talerzu, polej czekoladą z jabłkiem i oprósz odsączonymi suszonymi owocami. Udekoruj miętą i rozkoszuj się smakiem rodem prosto z Holandii. Niebo w gębie!

WYTWORNY TORT CZEKOLADOWY SIOSTRY LUKRECJI

Składniki

- 160 g miękkiego prawdziwego masła (broń Boże żadnych mixów)
- 160 g zmielonych na aksamitną gładką masę migdałów
- 130 g cukru
- 80 g mąki
- 2 tabliczki nieziemsko dobrej czekolady (1 x gorzka, 1 x mleczna)
- 4 jajeczka od szczęśliwych kur
- 10 goździków
- 2 łyżeczki mielonego cynamonu
- ulubiona konfitura do przełożenia masy
- pyszne orzechy do dekoracji

Wykonanie:

Oddziel sprawnie żółtka od białek, goździki utrzyj w moździerzu na pył. Pół tabliczki gorzkiej i pół tabliczki mlecznej czekolady roztop w kąpieli wodnej. Odstaw do przestudzenia.

W tym czasie mikserem utrzyj do białości masło z czterema żółtkami i cukrem. Dodaj ostudzoną czekoladę, cynamon i goździki i dokładnie wymieszaj. Stopniowo dodawaj mielone migdały.

Z pozostałych czterech białek ubij sztywną pianę i wraz 80 g mąki dodaj do masy migdałowej.

Ciasto możesz upiec w całości w jednej tortownicy, ale – jak radzi siostra Lukrecja – lepiej podzielić je na trzy porcje i każdą wypiec osobno. Piecz w nagrzanym do 180^0C piekarniku w tortownicy o średnicy 21 cm przez około 35–40 minut (jeśli pieczemy pojedynczo trzy biszkopty, czas w piekarniku skrócić do ok. 18–20 minut!).

Po wystudzeniu przełóż kolejne warstwy konfiturą oraz oblej lekko przestudzoną czekoladą (pozostałą czekoladę rozpuść w kąpieli wodnej z kilkoma łyżeczkami masła).

Tort udekoruj migdałami lub posiekanymi orzechami.

Po spróbowaniu pierwszego kawałka bardzo możliwe, że usłyszysz nad głową chóry anielskie, zachwycone twoim talentem.

SŁAWNE NA CAŁE DEVENTER CZEKOLADKI Z PAPRYCZKĄ PIRI-PIRI

Składniki:

Na czekoladki

• 150 g dobrej jakości czekolady (pół na pół mleczna i deserowa)

Na nadzienie

• 50 g czekolady mlecznej

• 50 g czekolady deserowej

• 1/4 szklanki śmietany kremówki 30%

• skórka otarta z 1 małej niewoskowanej pomarańczy

• szczypta chili w proszku

Wykonanie:

Nadzienie

Czekoladę i śmietanę umieść w kąpieli wodnej, nie mieszając. Gdy czekolada się rozpuści, dodaj skórkę otartą z małej pomarańczy i trochę chili (odrobinę, na czubku łyżeczki). Całość połącz w gładką masę i zostaw na kilka godzin do stężenia (można umieścić w lodówce).

Korpusy

Czekoladę wrzuć do kąpieli wodnej (w żaroodpornej salaterce umieszczonej nad rondelkiem z gotującą się wodą, dno miski z czekoladą nie powinno stykać się z powierzchnią wody).

Do zagłębień silikonowej foremki wlej czekoladę (do 1/3 wysokości), a po wypełnieniu wszystkich obróć foremkę w taki sposób, aby czekolada dokładnie oblała jej ścianki. Aby usunąć nadmiar czekolady, foremkę obróć do góry nogami nad miską z czekoladą i czekaj, aż część czekolady do niej spłynie.

Po wykonaniu tych czynności upewnij się, czy wszystkie ścianki są dokładnie pokryte czekoladą i uzupełnij ewentualne braki (np. pędzelkiem). Nadmiar czekolady należy usunąć z góry formy, przesuwając po jej powierzchni packę do wyrównywania boku tortów lub po prostu nóż.

Tak przygotowaną foremkę umieść w zamrażalniku na około 15 minut.

Wykończenie czekoladek

Zastygnięte korpusy wypełnij masą, najlepiej za pomocą woreczka cukierniczego, zostawiając ok. 2 mm od brzegu foremki.

Foremkę umieść w zamrażalniku na 10 minut. Po tym czasie wierzch pralinek zalej pozostałą czekoladą, wyrównaj, przeciągając packę do dekorowania tortów lub nóż po wierzchu foremki. Chłodź kilka minut, a po tym czasie delikatnie wyciśnij czekoladki z foremki.

Nina Kostrzewska gwarantuje, że po spożyciu tych specjałów zrozumiecie, dlaczego mecenasowa Klundert i dyrektorowa Gies rozgrzały swoich mężów pod pierzyną!

NIEZWYKLE LEKKIE I MAŚLANE CROISSANTY VALENTIJNA JEURISSENA

Składniki:

- 600 g mąki
- 2 łyżeczki suszonych drożdży
- 180 ml zimnego mleka
- 2 łyżeczki prawdziwego masła
- 40 g cukru
- szczypta soli

Dodatkowo:

- 300 g masła
- 2 i 1/2 łyżeczki mąki
- 1 rozmącone jajeczko

Wykonanie:

W dużej misce połącz 550 g mąki, cukier, sól i drożdże. Powoli dodawaj mleko i delikatnie mieszaj. Następnie dodaj masło i zagnieć ciasto. Zawiń ciasto w folię i schłodź w lodówce przynajmniej przez godzinę.

Przygotuj masę, którą będziesz przekładać ciasto. Dobrze połącz 300 g masła z 2½ łyżeczkami mąki. Schłodź w lodówce przez 30 minut.

Wyjmij ciasto z lodówki i rozwałkuj na kwadrat o szerokości ok. 30 cm. Na środku po przekątnej połóż masło. Zawiń brzegi ciasta, zakrywając masło. Ponownie rozwałkuj ciasto na prostokąt.

Złóż ciasto na croissanty jak list, aby powstał z niego prostokąt, i po raz kolejny rozwałkuj je, aby przybrało kształt kwadratu. Zawiń ciasto przezroczystą folią i wstaw do lodówki na 2 godziny.

Później powtórz proces rozwałkowywania ciasta, a potem włóż do lodówki na 2 godziny i znów je rozwałkuj. Zawiń ciasto w przezroczystą folię i wstaw do lodówki na całą noc.

Wyjmij ciasto i na posypanej mąką powierzchni rozwałkuj na kształt prostokąta o długości 30 cm i szerokości 20 cm i przetnij na pół. Każdy z dwóch kawałków rozwałkuj tak, aby uzyskać ciasto o długości 60 cm i szerokości 30 cm. Potnij ciasto na trójkąty. Każdy z nich zawiń, aby powstał croissant.

Przełóż croissanty na posmarowaną tłuszczem blachę. Przykryj przezroczystą folią i odstaw na 45 minut, aby croissanty urosły.

Rozgrzej piekarnik do temperatury 190ºC. Posmaruj ciastka rozmąconym jajkiem i piecz ok. 20 minut, aż croissanty nabiorą złocistego koloru.

Croissanty mają być lekkie i puszyste jak chmurka na błękitnym niebie. Podawaj z ulubioną konfiturą lub czekoladą. Valentijn gwarantuje, że po konsumpcji tych przysmaków być może spadnie na was… czekoladowy deszcz!

SPIS TREŚCI

Okładka
Karta tytułowa
Cytat

ROZDZIAŁ 1. Duszący zapach Pani Walewskiej
ROZDZIAŁ 2. Pakt milczenia
ROZDZIAŁ 3. Nina na tropie afery
ROZDZIAŁ 4. Pora na Manianę
ROZDZIAŁ 5. Aurelia odkrywa karty
ROZDZIAŁ 6. Kłamstwo ma krótkie nogi
ROZDZIAŁ 7. Mata Hari made in Poland
ROZDZIAŁ 8. Nadmorscy Romeo i Julia
ROZDZIAŁ 9. Tajemniczy klient
ROZDZIAŁ 10. Biznesy Eugenii i duchy przeszłości
ROZDZIAŁ 11. Prezydent czekoladowej republiki
ROZDZIAŁ 12. Siostry kontra świat
ROZDZIAŁ 13. Coś wisi w powietrzu
ROZDZIAŁ 14. Dziarska staruszka wkracza do akcji
ROZDZIAŁ 15. Kontrakt z Panem Bogiem
ROZDZIAŁ 16. Blond harpia i komedia pomyłek
ROZDZIAŁ 17. Kolacja z wielkim finałem
ROZDZIAŁ 18. Kac i katastrofa
ROZDZIAŁ 19. Światełko w tunelu
ROZDZIAŁ 20. Jak skutecznie odstraszyć klientelę

ROZDZIAŁ 21. Rzymskie wakacje
ROZDZIAŁ 22. Cmentarne konwalie i szpitalna kapusta
ROZDZIAŁ 23. Dyplomacja i łowy
ROZDZIAŁ 24. Zakazany owoc
ROZDZIAŁ 25. Pierwsza Bombonierka
ROZDZIAŁ 26. Odkrycie i pojednanie
ROZDZIAŁ 27. Rzeźby z czekolady i kwiatowy projekt
ROZDZIAŁ 28. Tykająca przesyłka szefa mafii
ROZDZIAŁ 29. Tort dla papieża
ROZDZIAŁ 30. Piekielne pokusy
ROZDZIAŁ 31. Tęsknota o zapachu wanilii i cynamonu
ROZDZIAŁ 32. Pociąg zwany przeznaczeniem
ROZDZIAŁ 33. Absztyfikant, arystokracja i pospolite ruszenie
ROZDZIAŁ 34. Szwajcarska bajka i marzenia
ROZDZIAŁ 35. Kłótnie ostre jak piri-piri
ROZDZIAŁ 36. Przyjaciółka incognito
ROZDZIAŁ 37. Romantyczne bajki o czekoladowym deszczu
ROZDZIAŁ 38. Ganasz z zazdrości i kłamstwa
ROZDZIAŁ 39. Twarzą w twarz z wrogiem
ROZDZIAŁ 40. Nowy kraj, nowe wyzwania
ROZDZIAŁ 41. Spojrzenie słodkie jak sernik
ROZDZIAŁ 42. Ucieczka pod osłoną nocy
ROZDZIAŁ 43. *La grande finale*
OD AUTORKI
Czekoladowe receptury bohaterów (ściśle tajne!)

Reklama
Karta redakcyjna

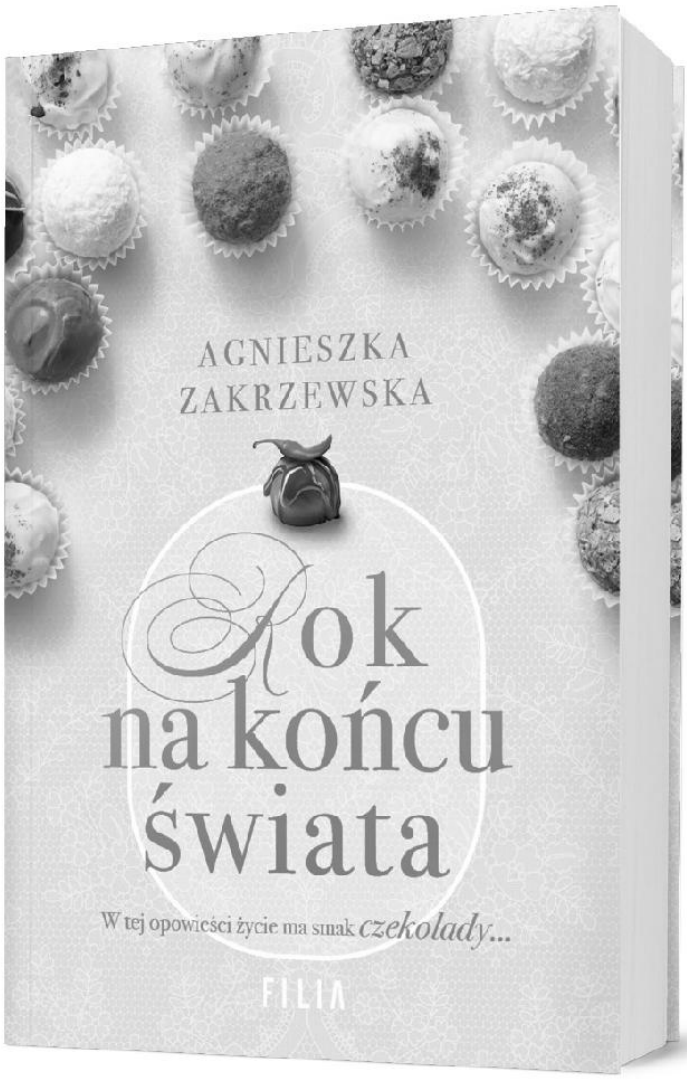

W tej opowieści życie ma smak *czekolady...*

FILIA

Copyright © by Agnieszka Zakrzewska, 2022
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Zdjęcia na okładce: © Marlena Bielinska

Redakcja: Magdalena Koch
Korekta: RedKor Agnieszka Luberadzka
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART"
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-307-5

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.